







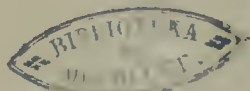


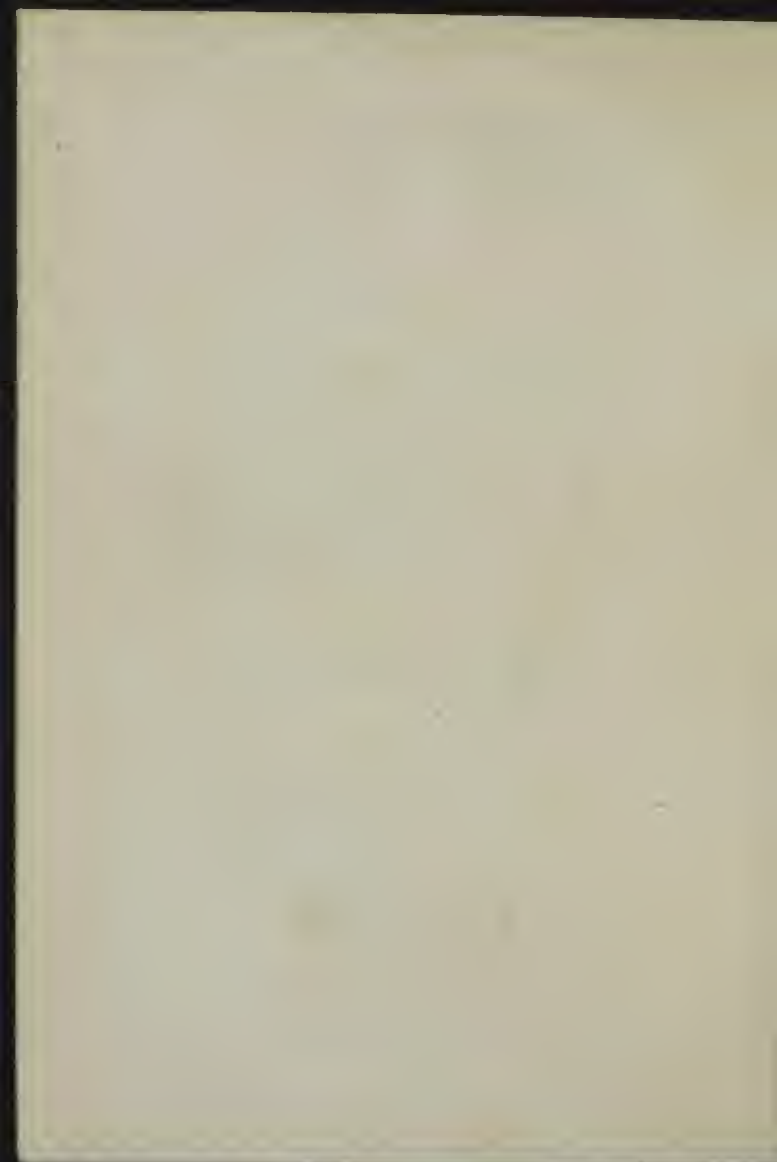
B. 44. w. w.

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dziewięćdziesiąty trzeci i czwarty.





KORDECKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

I świętości Twoje podeptane są, i splugawione są.
Kapłani Twoi stali na placz i na poniżenie.

A oto poganie zebrali się na nas aby nas, wygładzili, Ty wiesz co myślą przeciwko nam.

Jakoż się będziem mogli ostać przed obliczem ich
jeśli Ty Boże nas nie ratujesz.

Macchab. Xię. I. R. 3. w. 51. 53.

Cztery tomy we dwóch

I. i II.



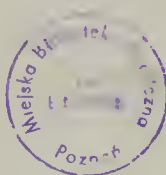
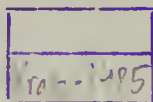
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Pillera i Gubrynowicza i Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1015 0 35

Słowo autora.

Nikt się nam dziwić nie powinien, żeśmy zuchwale rzucili się na taki przedmiot jakim jest Kordecki: dość przeczytać Gigantomachią, aby uczuć się pociągniętym ku niemu. Nie żałujemy też wcale uczynionej próby, jakkolwiek krytyka zarzucić jej mogła wiele, i my sami odczytując, więcej może jeszcze upatrujemy w niej niedostatków. W dziejach naszych jestto karta tak cudowna i pociągająca jak historia dziewicy Orleańskiej dla Francji: — im bardziej się w nią wpatruje, tem więcej bije w oczy ogrom i piękność tego niepojętego faktu. Stanąwszy w Częstochowie pod wpływem wrażenia jakiego się tam doznaje, historia Kordeckiego przybiera cudowniejsze jeszcze barwy. Miałem tego przykład na sobie, zwiedzając po raz pierwszy to miejsce święte w roku 1855. Dziś jeszcze można sobie zdać sprawę z oblężenia, środków obrony cudownej i dotykałnie przekonać, że tylko wiarą natchnieni ludzie, pod wodzą takiego bohatera jak Kordecki, mogli skuteczny stawić opór w słabej i małej twierdzy, przeciw nierównie przemagającej sile nieprzyjaciela. Z klasztoru oglądając na okolicę, oznaczysz dziś jeszcze stanowisko wojsk, teatr wszystkich wypadków, i rozmierzysz niebezpieczeństwo w jakim zostawała mała załoga heroicznych Paulinów.

Szukaliśmy wewnątrz pamiątek po Kordeckim, i z żalem nie znaleźliśmy ich prawie: — postać ta idealna cała się ulotniła i rozplynęła, nic nie zostawiając po sobie. Jest tylko w szeregu przeorów lichy portret wielkiego człowieka, u którego stóp malarz położył hełm i zbroję, jako godła rycerza Boga-rodzicy —

i to wszystko. Nowy portret w skarbcu równie jak ten nie zaspokaja, wszakże dobry malarz może by potrafił odgadnąć rysy Kordeckiego z nieforemnej próby. Pytaliśmy troskliwie o popioły przeora, ale pokora chrześcijańska nie dozwoliła ich oddzielić; zmieszały się dawno z kośćmi innych zmarłych we wspólnym grobie. Nic zresztą, ani jednego szczątku, ani najdrobniejszego okruchu, któryby przypominał księdza Augustyna. Nie sądzę żeby współcześni lub bliscy jego epoki tak byli obojętni, raczej bym się domyślał własnej jego woli w tem zaparciu się sławy ziemskiej. Zresztą cała Częstochowa pełną jest Kordeckiego, wszystko go tu silnie i wymownie przypomina. Domyślać się można celi, w której się modlił, a gdziekolwiek stąpisz, nie rozminiesz się ze śladem jego stopy.

Pisałem Kordeckiego jak najściślej trzymając się źródeł, to jest, najprzód własnej jego *Gigantomachii* i historii wydanej przez Kobierzyckiego. Nie wiele więcej znalazłem w późniejszych *Odrobinach stołu*, które ma-luczko faktów tradycyjalnych nowych przywodzą. Wiemy, że w przepyszej księdze Pufendorfa wzmianki nie ma o oblężeniu i jego skutkach; inni też współcześni nawet krajowi pisarze milczą lub kilku słowy zbywają fakt tak potężny. Z nowszych źródeł, jedne pamiątniki Jemiołowskiego cokolwieczek o tem mówią. Pomógł mi także plan oblężenia, przy Kobierzyckiego historii umieszczony, sztychowany przez Benstejmera. Na większą skalę rytował go J. A. Gorczyn, ale pierwszy raz przyklejony na jednej z szaf w skarbcu Częstochowskim, trafił mi się dopiero ten plan teraz, gdym Częstochowę odwiedzał; nie znałem go wprzód. Zresztą rozmiary tylko powiększone, więc nie różni się wcale od Benstejmerowskiego.

Z tak małemi zasoby, nie znając Częstochowy, z gorącym tylko pragnieniem przedstawienia żywo tego wypadku, przedsięwziąłem napisanie Kordeckiego, a z *Gigantomachii* łatwo było życie zaczerpnąć. Ilem go wlać potrafił w tę powieść — nie do mnie sądzić należy; mało tu właściwie mojego, dziejowego więcej, jest to

Gigantomachia rozszerzona i zepsuta. To wiem tylko, że uczucie religijne z jakim Kordeckiego pisałem, było szczere i głębokie, że go nie wdział jako stroju do odegrania roli, ale wypowiedział co było i jest w sercu mojem. Jeśli niem trafiłem do wygasłego, zastygłego, skrzepłego uczucia choć jednego czytelnika, dość mi na tem.

Krytyka artystyczna tylko byłaby może niesprawiedliwością względem książki, w której napisaniu sztuka jak najmniej miała udziału, pojęli to recenzenci nasi i Kordecki został prawie przez nich nietkniętym. Ci co się o nim odzywali, raczej obojętnie lub niechętnie niżeli z współczuciem go przyjęli. Dla nas, czytelników kilku sympatja aż nadto wynagrodziła zresztą iatwo wytłumaczony chłód Arystarchów. Dodamy tu jeszcze, że przed napisaniem Kordeckiego, wydając Athenaeum, pomieściliśmy w niem treściwy opis obłęzenia, wzięty z Gigantomachii i Kobierzyckiego.

Żytomierz, d. 3. Października 1855. r.

Panu Karolowi Drzewieckiemu.

Za te obrazy, któreś mi przysłał z podróży, z nad brzegów Nilu, pozwól się wywdzięczyć obrazkiem z odleglejszej jeszcze krainy przeszłości, do której tylko myślą i westchnieniem dopłynąć może. Wielkie to zachwalstwo z mojej strony porwać się na przedmiot tak wielki, bez tej czarodziejskiej siły, co umie z grobu wywołać umarłych i nakazać im nowe życie. Lecz cóż począć miałem? Długo opierałem się tej pokusie, na koniec jej uległem, ze strachem, z drżeniem i z radością razem.

Nie chcę wskazywać olbrzymiości przedmiotu, aby przy niej jeszcze się drobniejszym nie wydał mój obrazek; szczęściem dla mnie, sama rzecz z siebie była tak żywo dramatyczną, tak całą, że do niej nic prawie

dotwarzać, by ją dopełnić, nie potrzebowałem. Zdaleka tylko na bliższy plan przeniósłem kronikę tego pamiętnego wypadku. Zdawało mi się, że chcieć ją ubarwić wykwintniej byłoby grzechem, gdy ją *Bóg* dał tak piękną samą przez się i wspaniałą. Nie zmyśliłem nic, tylko z pomocą rysów rozpieczętych we współczesnych opowiadaniach, złożyłem co czytać będziesz.

Masz prawo być ostrym krytykiem panie Karolu, boś sam artystą znakomitym; ale przyjm mojego Kordeckiego z pobłażaniem; przyjm go nadewszystko jako dowód współczucia dla ciebie, pisarza i człowieka. Z obu tych stron lepiej niż inni może umiałem cię ocenić, i poznać drogie dary umysłu twego i serca; chciałbym choć na tej znikomej kartce zapisać dowód mojego szacunku i szczerzej dla ciebie przyjaźni.

Hubin, d. 5. Listopada 1850. r.

J. I. Kraszewski.

Kordecki pisany był w r. 1850. w Hubinie a stał się autorowi pamiętnym — przebaczenie — bo pisząc go miał na karku plaster emetykiem posypany, który najokrutniej narywał. Jeśli więc co w Kordeckim złego jest, winien pewnie po części piekielny ból, który wytrzymać było potrzeba i starać pisać o nim zapomnieć. — Na ból gardła nie pomogło owe lekarstwo, a powieści zaszkodziło pewnie. *Habent sua fata libelli*. Zaci ni Paulini Częstochowscy przysłali mi za Kordeckiego wpis do bractwa swego, za który niech im *Bóg* płaci. — Nie mam tu co dodać dziś więcej oprócz pozdrowienia temu któremu Kordecki był przypisany, choć go ono nie dojdzie pewnie.

Drezno, d. 6. Stycznia 1874. r.

I.

Na podniosłem, kamienistem wzgórzu, wśród okolicy zasianej wioskami, pagórkami, na których sterczą zamków zwaliska piaszczystymi przestrzeniami, wśród wido-kregu opasanego w dali sinych wzgórków pasmem, wznosi się klasztor i kościół Częstochowski, około którego siedziły ludzi, lasy, pola, grody, kaplice, zdają się jak ciżba posłuszne przed panem pochyłać czoło. Stary ten gmach warowny, zamczysko Marji, budowany powolnie przez długie wieki, obwiedziony murem jak rycerskim pasem, którego brama zdaje się zdala klamrą ozdobną, ścianami kościoła wybiegł wysoko po nad inne budowy, a wyżej jeszcze nad nie wieżycą z gankami, spięła się pod obłoki, na ramionach krzyż piastując złocisty. Nieco niżej, pod cieniem jego, na dachu kościelnym, w promienistym kole, obraz Najświętszej Panny, wskazuje mnogim zdaleka pielgrzymom, że tu ich opiekunki starry a święty wizerunek złożono. Do koła gmachu kościelnego cisną się przybudowane kaplice, ule z których jak brzęki pszczoł dolatują głosy modlących się zakonników, pszczołek tej Bożej pasieki. Tuż blisko kilką facjatami bieleje klasztor obszerny i piękny, po którym znać, że go królewskie i książęce wznosiły dłonie, że go troskliwa wiernych zdobiła pobożność, że go rozszerzała gorliwość ludu o chwałę Bożą i chwałę Marji. Wcześniej to święte miejsce, w rycerskim kraju na pograniczu stojąc, kilkakroć napadane i rabowane, przywdziało zbroję murową. Po rogach kortyn strażnice krągłe i czworogranne, różnych lat i pochodzenia, z kolei przysły pilnować Jasnej-Góry, i zwrócone w różne strony poglądają jakby czuwały od nieprzyjaciela.

U podnóża góry, o kilkaset kroków od twierdzy

Jasno-górskiej, nie wielki kościółek św. Barbary, świeżej jeszcze budowy, bo lat zaledwie kilkadziesiąt liczący, błyszczy się po nad nowicjatu klasztornego kamienicą. Z drugiej strony kościół św. Rocha, patrona od morowej zarazy, łączy niejako twierdzą z miasteczkiem klasztorne, którego fara starożytna po nad czarne dachy mieszczańskich domostw dźwiga się poważnie. Do koła murów (znać dawno nie widziały wojny i nie służyły za ochronę), poczepiały się swobodnie drewniane kłетки, jak gniazda jaskółek, coraz rozprzestrzeniając się dalej a szerzej. Są to kramiki przekupniów, którzy pod murami klasztoru stoją czekając na pielgrzymów z pamiątkami Jasnej-góry, znajdziesz u nich obrazki Bogarodzicy wielkie i małe, drogie i tanie, złociste i skromne, na blasze i na papierze; pobożne książeczki, pieśni na chwałę Bożej Matki, szkapłerze z Jej imieniem, krzyżyki, paciorki, różańce i owe listy misternie sztychowane, w których środku błyszczy obraz cudowny, i tysiące innych drobnostek, co je w każde święto i niedzielę święcą Paulini u ołtarza, ocierają o cyprysową deskę i rozdają nazad wędrowcom. Znaczna tu część uboższych mieszczań pod płaszczem swej opiekunki na życie zarabia, żywiąc się pobożnością tłumów, które falami płyną do cudownego obrazu.

I dziś tu nie pusto; lecz jakże to było w święte owe, w złote wieki wiary niezachwianej jeszcze i gorącej czci Bogarodzicy. Nietylko Polska cała, Ruś, Litwa, Szląsk pograniczny dostarczały pobożnych pątników, szły je Czechy, Morawy, Węgry i Niemcy i dalsze świata kraje, bo obraz Częstochowski na cały świat słynął. I jak do Rzymu z południa, tu z całego północo-wschodni Europy długie karawany pielgrzymów szły z modlitwą i pieśnią do Orędowniczki strapionych. Jak u ogniska wielkiego koła skupiają się promienie, tak tu jednoczyły się i spotykały ze wszech stron biegnące tłumy, schodząc pod Jasną-górą z jednemi łzami, z jedną modlitwą: Poratuj!

Ci szli pieszo, bogate wiodąc za sobą cugi i liczne dwory, których pomocy dobrowolnie się wyrzekali; dru-

dzy powolniej jeszcze, trzy kroki naprzód dwa nazad postępując, sunęli się z gorliwemi prośbami, iuni pielgrzymowali o chlebie i wodzie, inni o jałmużnie i ubóstwie umyślnem, ofiarowanem Bogu, inui pokutując wlekli się na kolanach, dźwigając na sobie krzyże i ciężkie łańcuchy: a wszyscy ci cierpiący boleścią i cierpiący grzechem, zboleli i potrzebujący pomocy, schodzili się ubogi z bogatym, wieśniak z senatorem razem u jednego ołtarza, równemi dziećmi jednej matki. Piękny to był i rozrzewniający widok, gdy naprzeciwno strudżonym pielgrzymom wychodzili Paulini z krzyżem. chorągwiemi, witając ich i wiodąc do przybytku, którego straż powierzona im była. Znużonym naówczas przybywało siły, wyplakane oczy łąz się świeżą zlewały, modlitwa gorliwszą i gorętszą wyrwała się z ust spiekłych, i każdy padając na twarz przed odsłonionym obrazem uczuwał jakby mu brzemię wielkie z ramion się stoczyło, jakby cały ciężar boleści złożył u stóp Najświętszej Matki.

Obraz ten na Jasnej-górze od wieków już przyświecał Polsce błogosławionem światłem cudu, bndząc w sercach wiarę, przywołując grzeszników ku sobie. sypiąc jak promieuiami łaskami do koła. Nie było nikogo coby ztąd odszedł niepokieszony, nierozrzewuiony, nieuspokojony na duszy, maluczką ofiarę swej boleści złożywszy przed matką tego, który Bogiem będąc chciał dla nas cierpieć jak człowiek, i jak złoczyńca umierać. Wpatrując się w obraz tej Matki Bolesnej, tego ukrzyżowanego *Boga*, malało i drobniało cierpienie ludzkie, wspomnieniem wielkiej, krwawej, tajemniczej ofiary. Od XIV. wieku obraz piastowała Jasna-góra, a królowie i książęta, ubodzy i żebracy zarówno z możnemi. dla podniesienia tego tronu patronki królestwa się przyczynili. Każdy tu przyniósł co mógł, król dał garść złota, hetman buławę swoją wieszał u obrazu, ubogi święcił mu pierścień swój ślubny, żebrak woskową nogę lub rękę lnem obwiniętą kładł z groszem u skarboxy. Biskup przekazywał swój kielich złoty, szlachcie zawieszał lampę; każdy stroił, ubierał, bogacił to miej-

sce, imie swe zapisując dobrodziejstwem. I z tych ofiar tysiącznych wznosił się powoli kościół, dźwignęły mury klasztorne, wyrosła wieżyca, zabłyśły ołtarze, lane ze srebra posagi świętych stały orszakiem przy obrazie Bogarodzicy, a skarbiec stał się istotnie skarbcem, bo w nim droższe od klejnotów gromadziły się pamiątki.

Nie było domu, nie było kościoła, gdziebyś Najświętszej Panny Częstochowskiej nie znalazł, a cudami wstawione jej wizerunki rozsiane były po całym kraju; w Głogówku na Szląsku, w Sokalu na Rusi, w Topolnie Pruskim, w Uchaniu na Wołyniu, w Oporowie księstwie Łowickiem, w Mstowie, Krakowie, w Neustadt w Austrii, w Rzymie nawet pobożni niemogący dostać się do Częstochowy, znajdowali obrazu świętego Łukasza kopje, równie cudowne jak cyprysowa deska, na której wedle podania ewangelista w chwili natchnienia odtworzył oblicze Najświętszej niewiasty. Drobne obrazeczki były wszędzie, w chatach wieśniaków, nad łóżem ubogiem, na zbroi szlachecka, na pierścieniach kobiet, u mniszych różańców.

Możem - że nie powiedzieć choć słów kilku o dziejach tego miejsca i obrazu?

Jak wszystkie starożytne pomniki, Częstochowska Bogarodzica ma swoją historję, na wpół poemat-legendę, na wpół kronikę; nie brak tu, jak w każdym wianku, co go plotły wieki, różnego rodzaju kwiatów, prawdziwych i robionych. Z ust do ust przechodząc, podanie wykrzywiło się w jednych, wyrosło w drugich na pieśń pobożną; a cico je spisywali, chcąc pogodzić historję z marzeniem bogobojujących, zagmatwali więcej jeszcze tajemnicze dzieje świętego wizerunku. Przebył on różne i dziwne koleje.

Wieść niesie, że św. Łukasz malarz - ewangelista, ów patron artystów, twarz Bogarodzicy sam w zachwycie odmalował na stoliku cyprysowym, który służył świętej dziewicy, na którym wedle słów legendy „roboty odprawowała i pismo święte czytała o tajemnicach i rzeczach niebieskich rozmyślając. Stolik ten, „tablicę tę, łzami swemi świętymi skrapiała i poświę-

„ciła, a gdy posiłku było potrzeba, przy nim używała pokarmu.“

Na tej to desce cyprysu, którą sam Jezus, przybrany syn ubogiego cieśli, miał ręką wszechmocną na prosty stół dla matki wyciosać, dając nam przykład pracy, malarz święty twarz Bogarodzicy z synaczkiem na ręku wyrył dla pobożnych niewiast Jerozolimskich. Obraz w ciągu wieków przechodził rąk wiele, nim się do Polski dostał. Miała go sobie objawionym cesarzowa Helena (gdy i w zburzeniu Jeruzalemu przez Tytusa cudownie ocalał). I uwiozła go z sobą do Konstantynopola. Ireua ocaliła go od wścieklej zjadłości Ikonoklastów. Nicefor cesarz nareszcie uczynił z niego ofiarę Karolowi Wilhelmowi (803 — 810). Później wizerunek ten towarzyszył wojownikowi w jego wyprawach; lecz jak przeszedł od tego podbójcy Słowian do słowiańskiego na Rusi książęcia, Bóg to wie jeden. Znajdujemy go później w ręku Władysława księcia Opolskiego, wedle podania w Bełżu, lub prawdopodobniej na innym jakim zamku w jego posiadłościach. Częstochowa, późniejsza strażniczka tej relikwii, która miała Polsce patronkę zachować, była naówczas niewielką osadą, w pobliżu potężnego Olsztyna. Olsztyn, dzieło ręki ludzkiej, dziś w gruzach i upadku, dojrzysz go z wieży szczyrbami murów rozsypanych ciemniejącego w dali; — Częstochowa, pobożności wieków córka, przeżywa jego ruinę, coraz się wyżej podnosząc. W czternastym zdaje się wieku miejsce to silniej wzrosnąć musiało, znaczniejsza utworzyła się tu osada, a Władysław Opolski, który za niespokojne posiadanie Rusi zamienił w r. 1377 księstwo Dobrzyńskie, Bydgoszcz, ziemię Wieluńską i starostwo Olsztyńskie, pierwszym był zakładcą przyszłej wielkości świętego miejsca.

Czy na zamku w Bełżu, czy gdzieindziej, bo te podania trudno z historją pogodzić, Władysław obleżony został przez Tatarów — ów bicz boży na słowiańskie ziemie, którego chłosta wyrobić miała w ludach rycerskiego ducha, męstwo i siły na przyszłość. Najście tatarskie było gwałtowne, niespodziane i zastało księcia

z garścią ludzi, bezsilnego, więcej rachującego na pomoc Bożą niż na odwagę załogi. Obraz był naówczas w domowej księcia kapliczce; przed nim padł na twarz z rzewnymi modły, błagając o ratunek Władysław. Gdy na modlitwie klęczy, a załoga jak może opiera się jeszcze tatarskiej nawale, strzała pogauina brzękła oknem kaplicy, świsnęła nad głową księcia i uwięzła w szyi obrazu. Na widok tego świetokradztwa, którego ślady nosi deska do dziś dnia, książę ze łzami zawołał o pomstę do *Boga*. I oto, burza z gromami i wichrem ogromnym przyszła w odsiecz obleżonym; popłoch się wszczął między oblegającymi; załoga wsparta piorunami i ciemnością wyskoczyła, księcia mając na czele. Tatarzy uciekli rozbici. Po tem zwycięstwie nad niewiernymi, Władysław cudu pamiętny, obraz chciał uwieść z sobą na Szląsk do Opola, ale objawienie we śnie wskazało mu, by go w Częstochowie zostawił.

W r. 1382 wizerunek święty stanął na miejscu przeznaczenia i przeznaczony został straży Paulinów, zakonu w Węgrzech z pobożności i gorliwości wsławionego. Wśród rozległej płaszczyny, którą przepływa Warta dążąc ku Odrze, na wzniosłej skalistej górze, panującej szerokiej okolicy, pobudowano pierwsze domostwa dla zakonników, a stary kościółek już tu istniejący, opromienił się nową świętością i stał zarodem gmachów, które wieki powolnie wznosić miały.

Paulini, zakon zwany *braćmi śmierci*, mieli sobie nadane niektóre wsie w okolicy, czynsze, dziesięciny i dochody z młynów i miodów. Po śmierci Ludwika, Olsztyńskie starostwo z Częstochową powróciło do Polski, choć nie rychło. Władysław Jagiełło z królów naszych był pierwszym dobroczyńcą tego miejsca. Paulinom dodano Częstochowę starą, kilka wsi bliższych i roczny dochód z czynszów miejskich. Uwolniono klasztor od ciężkich naówczas obowiązków podejmowania własnym kosztem urzędników i posłów. Pobożny Jagiełło w lat kilkadziesiąt później stanowił swoje nadania, gdyż już sława Częstochowskiego obrazu rozszerzając się coraz głośniej, nie tylko z Polski, ale ze sąsiedniego Szlą-

ska, Morawii, Prus i Węgier zwabiała tysiące pielgrzymów.

Jak niegdyś za Chrobrego, lud jeszcze świeżo z pogańskiego błędu do wiary przyszedłszy, zdjęty chciwością, napadał na świeżo założoną pustelnię, o bryle złota w niej posłyszawszy; tak i tu znowu mnogość ofiar, rozgłos skarbów, wznieciły w ludziach zarażonych niewiarą Hussytów, a nie wiele pojmujących świętości, żądę rabunku i łupieży. Nieszczęściem swoi to nawet pod imieniem Hussytów ukryci, zebrawszy włóczęgów i rabusiów z pogranicznych krajów, byli sprawcami tego napadu na Częstochowę. Niejaki Jakób Nadobny z Rogowa Działosza, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa Sreniawita i inni jacyś, zebrawszy ciurów ze Szląska. z Czech i Morawji, w sam dzień Wielkiej Nocy wpadli na Jasną-górę. nieobronną wówczas jeszcze i stojącą otworem, bo nieobawiającą się napaści, tak ją zdawała się świętość obrazu osłaniać. Szukali oni skarbów, a znaleźli to tylko, co pobożność w ofierze złożyła na ołtarzu: kielichy, krzyże, blachy okrywające cyprysową tablicę, i poświęcone naczynia kościelne. Jeli się więc tego rabusie i sam nawet obraz z ołtarza wydarłszy unieśli, zapewne dla bogatych jego sukni, których zerwać nie mogli chcąc odbić blachy, szablami i rapirami cieli kilkakroć starożytny wizerunek, ale nie mogąc tego dokonać, choć połamali deskę, rzucili ją i uciekli. Zbrodnia ta ukryć się nie mogła, dwaj naczelnicy i z nimi spółnicy ich w więzieniu lub pod mieczem życie skończyli. Poczciwi mnisi później, niechcąc przypomnieniem występku kazać rodzin niewinnych, złożyli to na Hussytów, i choć Działosza i Sreniawa dowodzili napadem, wina spadła na innowierców.

Podanie mówi, że świętokradzcy wielkością swej zbrodni przejęci, jakby obłąkani, czy to dla ciężaru jakim cudowny obraz na wóz rzucony od porwania się bronił, czy z innego powodu, o ziemię nim cisnąwszy rozłupali go między Krowodrzą a Dźbowem, a sami w większej części nagłą śmiercią poginęli. Zakonnicy ochłonawszy z przestachu, biegli zapewne szukać śladu zloczyn-

ców, gdy natrafili na obraz w błocie leżący i strzaskany. Dla obmycia świętego wizerunku wytrysło źródło, gdzie później stanął kościółek świętej Barbary. Napróżno starano się cięcia mieczów i ślady uderzeń zamalować, pozostały one na świadectwo o występku wiekuiste; stokroć zakryte, zawsze na wierzch wracały, i odtąd są jakby męczeństwa obrazu blizną.

W piętnastym wieku Paulini, z tej szkółki i rozsadnika Częstochowskiego, rozeszli się po Polsce, niosąc z sobą wszędzie cześć Matki Bożej Częstochowskiej: do Pinczowa, do Wielunia, Włodawy i innych miejsc. Nowy napad Czechów w r. 1466 spustoszył Częstochowę i okolice, mnisi jednak okupić mu się mogli i świętokradzkie dłonie nie dotknęły obrazu. Odtąd cicho było na Jasnej-górze, rosły tylko nadania, cisnęli się tłumnie pielgrzymi, sypały pobożnych ofiary. Kazimierz Jagiełłończyk przybywa z rodziną i dworem, pomodlić się przed opiekunką Polski, niosąc Jej nowe dary królewskie, nadania włości i swobód. Królowie wszyscy potwierdzają przywileje poprzedników, pomnażają je i bogacą kościół i klasztor. Sama osada Częstochowska pod skrzydłami Orędowniczki wzniosła się znacznie, urosła i pomnożyła w ludność, z mieściny na gród poważny wychodząc.

Zygmunt pierwszy wzorem braci złożył na ołtarzu nie tylko kartę confirmacyjną, ale droższe dzieło rąk swoich. Król ten artysta, co kochał się w tworach sztuki, i sam je w chwilach odpoczynku dokonywał z pomocą biegłych kunsztmistrzów, ofiarował relikwiarz w kształcie krzyża misternej roboty, z częścią drzewa krzyża świętego, i wielką piękną monstraucję. Skarbiec Częstochowski musiał już wówczas zawierać mnóstwo szacownych darów i drogich pamiątek, których część do naszych czasów dochował, gdy Zygmunt umyślnym listem upominał Pauliuów, aby ich nie trwonili *).

*) Zygmuntowskie owe słowo spełniło się i spełnia do dziś dnia; w całym kraju nie mamy skarbcza, któryby nietylko bogactwem, ale pamiątkami sprostał Częstochowskiemu.

Odtąd wznosiła się, budowała tylko i stroiła Częstochowa.

Za Zygmunta III., gdy smak w budownictwie nowem coraz się bardziej upowszechniał, a stare drobnych rozmiarów kościółki gotyckie, po całej Polsce na wielkie gmachy zmieniać poczęły; w chwili może gdy najmniej modlić się miano, a najbardziej pobożnemi okazywali wszyscy, częstochowski kościół i klasztor, zapragnąwszy zrównać się z innymi, poczęły dźwigać do góry.

Świątynię murem otaczać, wznosić budowy okazalsze i trwalsze czynnie zaczęli Paulini, w samą porę, bo znów napady i niepokoje do czuwania zmusić ich miały. W końcu pierwszej ćwierci XVII. wieku, już mur okolny przynajmniej otaczał Jasnej-góry szczyty. Rzym obdarzył ją przywilejami i odpustami domu Loretańskiego, którego szczątek zachowywała, bo stolu brakło w Lorecie.

Ofiara ubogiego zakonnika, ostatniego mowcy, co gorzał płomieniem wiary, księdza Piotra Skargi, godną jest wspomnienia; przysłał on do ołtarza gromnice ręką swoją zlepioną; — dopaliła się z nim razem i zgasała w chwili jego zgonu *).

Na cóż w tych wspomnieniach Częstochowej, musimy zapisać i zjazd Arcyksięcia Karola Rakuskiego z Zygmuntem III; gdzie w wojnę nieszczęśliwą wciągniony został król Polski, za sprawę niemiecką?

Syn Zygmunta, pobożny i waleczny Władysław IV. obsypał darami Częstochowę; sam on w r. 1633 jakby błagając o sily nieba na trudne panowanie nad krajem, upadł twarzą i westchnął do Matki Bożej. On także, jakby przeczuwał przyszłe wichry i burze, przyspieszał ukończenie rozpoczętej twierdzy i otoczył przybytek ten od napaści, którą nie wiem czy przewidział. Prorocze chyba miał oko i serce prorocze, a może tęskne

*) Nie widziałem w skarbcu tej relikwji, szkoda, bo najkosztowniejszy kamień w sukienkach Bogarodzicy nie zrównałby mu wartości.

przeczcucie mówiło mu, że nie zostawi potomka i w ręce słabego Jana Kazimierza odda Jagiellońskie berło.

Bytność Władysława IV., złamanego chorobą, bezsilnego przed starością, jakąż przedstawia sprzeczność z odwiedzinami Jagiellończyka, którego kwitnąca otaczała rodzina i jasne nadzieje. Oba byli jakby nosobieniem przyszłości; — tu spokój i wesele, tam smutek i obawa, znękanie, boleść i straszne widma dnia jutrzejszego.

Już na szczycie Jasnej-góry, wzniosły się poważne ściany nowego kościoła, kaplicy i klasztoru; u stóp jej na miejscu, gdzie wytrysło źródło, wystawiono mały kościółek św. Barbary; z drugiej strony jakby na straży stanęła kapliczka św. Rocha, z trzeciej św. Jakóba. Kaplica obrazu Marji rozszerzyła się i powiększyła znacznie, a z darów i skarbów przyzbieranych przez wieki, pomyślano o ulaniu srebrnych posągów, o ubraniu w czarny heban i srebro wielkiego ołtarza, na podniecie łakomstwa nowych Hussytów.

Władysław IV., po raz drugi jadąc za zwłokami żony, wstąpił popłakać w Częstochowie, ale jeszcze u boku jego stał pocieszyciel syn, którego mu wkrótce niebo odebrać miało. Piszą, że dziecię dwa razy nie przestrzeżone, upadło z uczuciem przed obrazem Marji, jakby wyprasząc się śmierci, jakby modląc niewinną duszę za kraj, nad którym panować miało; ale Bóg nie chciał zostawić go na męczeństwo za żywota i po śmierci, na walkę z ludem i wspomnieniem; wziął je do siebie nim dotknęło korony ojców swoich, czystej, smutnej, świętej, ale cierniem przeplecionej.

Poprzednik Jana Kazimierza, był jednym z królów, którzy najwięcej po sobie pamiątek zostawili w Częstochowie; kilka razy sam zwiedzał to miejsce, a dogorywający już na łożu śmierci, doznawszy ulgi w cierpieniach, słał tu jeszcze wota i modły dziękczynne — ostatnie. Umarł; po nim Jan Kazimierz słabą dłonią wziął ciężką puściznę. Jadąc na koronację, pobożny Jagiellonów potomek, nie minął obrazu Bogarodzicy; powtórnie potem, żonaty już, przyszedł po błogosła-

wieństwo małżeństwa, które, wielkie poszanowanie całego narodu dla praw kościelnych, czyniło w oczach wszystkich nie ledwie występem. Wołano na Zygmunta III., że wziął siostrę po siostrze, więcej jeszcze na Jana Kazimierza, gdy żonę brata, niedawno mnichem będąc, poślubił. Ale gdy się to dokonało, wrzawa ucichła westchnieniem żalu przerwana. Chciano od króla naówczas poszanowania ścisłego praw kościelnych i krajowych, aby zaświeciło przykładem, bo przychodziły czasy rozprzężenia i upadku.

W Częstochowie tymczasem ozdabiano kaplicę, wznoszono ołtarz, lano posągi srebrne, a wieść o bogactwach przybytku Marji, rozchodziła się daleko na nieszczęście. Chmurzyło się niebo nad Polską, złowrogie znaki, które w owych czasach, pełen wiary lud za oznajmienie litościwego *Boga* uważał, przepowiadając chłostę nim nadeszła, mnożyły się co chwila. Na kilka lat przed chwilą, o której mowa, spłonęła podpalona przez złoczyńców, Częstochowa miasteczko; rokiem przed wielkimi najazdy, ogień przypadkowy zniszczył wyniosłą wieżę kościelną. Na niebiosach iskrzyły się miotły i tajemnicze błyskały postacie; przestrach uciskał serca wszystkich.

Pobożni z przerażeniem upatrywali tych znamion wróżebnych na ziemi i niebie, na twarzach gwiazd i słońca; wierzyli jeszcze, że Ojciec wprzód nim dopuści karę, przestrzega. I nie próżne były obawy, bo straszne zbliżały się czasy, niebyłych klęsk, niewidzianego upokorzenia i niedoli.

Żaden z cudownych obrazów, których prawowierna Polska pełną była, nie wslawił się tak rozgłosnie i szeroko, do żadnego miejsca nie płynęło tyle ludu. Jakkolwiek położona na pograniczu, wabiła Częstochowa pielgrzymów ze wszystkich dawnej Polski krańców. Nawet reforma, co rozdzierając kraj na dwoje raz pierwszy i szarpiąc go na bojujące stronnictwa, zaród śmierci rzuciła w zdrowe jego ciało; nie potrafiła odjąć Matce Bożej gorliwych czcicieli i oderwała tylko

ostygłych, lecz goręcej jeszcze przywiązała prawdziwe Jej dzieci.

A ileż to wyrzeczeń się błędu, ile powrotów do wiary widział czarny ołtarz Bogarodzicy. Jakby po chwilowem obłąkaniu, kraj pod panowaniem Zygmunta III. począł znowu, rzekłbyś rozcięte ciało, pracować nad zrośnieniem się i zjednoczeniem; odszczepieńcy tłumami powracali na łono kościoła, synowie odstępców wyrzekali się błędów ojcowskich, rodziny zdawna heretyckie, po raz pierwszy uczuwały prawdę katolicyzmu. Zdawało się to rokować szczęśliwie; ale kraj, w którego łono padnie nasienie niewiary, coraz ostygnie i kosztuje owoc śmierci, prędzej lub później konać musi w powolnych męczarniach, dopóki ten brak żywota, nie uleczy się odrodzeniem religijnem.

I zmarł Zygmunt III., niepojęty przez nikogo, gdy nad zjednoczeniem narodu pracował nadaremnie, przeklinany, gdy nawracał, powitany krzykiem i buntem, gdy chciał w swych rękach skupić władzę, aby jej użyć na spotężnienie Polski; zmarł nieopłakiwany, dając następcy dwie korony, jedną lekką bo imieniem tylko koronę, drugą za ciężką niestety! Wojownik i rycerz nadewszystko, Władysław pomimo sławionych zwycięstw swoich, uczuł, że ani straconej odzyskać, ani posiadanej dźwignąć los mu nie pozwoli. Dziwnie czasem *Bóg*, w nieprzejranej mądrości swej splata królestw przeznaczenie; tu, brakło potomków, gdy ich najwięcej było potrzeba, nie dostawało siły, niekładało życie, gdy na niem zależała przyszłość kraju. Wstąpił na tron brat drngi, mnich, żołnierz, lecz nie na władzę stworzony, i w chwili gdy się o czczy tytuł upierał, prawdziwe królestwo jego, los mu miał wydrzeć z rąk słabych. Zewsząd chmurny był widokrąg nad utrapioną Polską, sąsiedzi godzili, by ją rozszarpać i zniszczyć, gmach wiekowy chwiał się łamany wewnątrz i zewnątrz, młot przeznaczenia kruszył ściany jego wyniosłe. Kozacy z Rusi porwali się, długo tłumionej puszczając wodzę niechęci; Car zawojował Wilno, którego Radziwiłł nie bronił, czy że był przystań do

Szweda, czy że pilniej mu było pójść włości swoje od grabieży zastaniać. Karol Gustaw podbechtany przez zdrajcę Radziejowskiego, aż nadto dobrze znającego Polskę, pod czczym pozorem wylądowywał dla podbicia jej i zawładnienia królestwem, stojącym otworem zamachom nieprzyjaciół, których tylko sława dawnej potęgi w dali jeszcze trzymała. Polska nie miała obrońcy, sprzymierzeńców, przyjaciela — cała jej nadzieja była w *Bogu*.

Wieść o napadzie Karola Gustawa zdawała się w początku fałszem, tak dziwnem sądzono, by się odważył posunąć na kraj, którego wszystek lud mógł powstać jak jeden człowiek w obronie rodzinnego ogniska. Mówiono z początku: nie przejdzie Noteci i Warty! ale *Bóg* chciał ukarać i za narzędzie swej plagi użył — zdrajcy. Zuchwalstwo Karola Gustawa, całkiem się tłumaczy Radziejowskim.

Jeszcze się ze Szweda śmiano, a już podkanclerzy swemi praktyki w Wielkiej Polsce, uroczyste mu przyjęcie gotował; nagle krzyk i przestrich rozległy się szeroko, Karol Gustaw już przeszedł Notec i Wartę, a Grudziński wojewoda Kaliski, Opaliński Poznański, połączyli się z nim! Wielko-polanie wyprzysiągłszy się swojego Króla, szeroko otwarli wrota najeźdźcy, podawszy mu dłoń zbrojną.

Moralny wpływ tego nieszczęśliwego oblakania był wielki i zgubny.

W Wielkiej Polsce najwięcej podobno było różnowerców, których serce lgnęło do przyszłego reformy protektora: Arciszewscy, Pileccy, Stankarowie i inni cieszyli się z tego najazdu. Sprawa kraju nie tyle ich obchodziła, co chęć wzięcia góry nad katolikami i pozyskania swobód, których im co chwila zaprzeczano. Karol Gustaw wszystko co chciano obiecywał. Byli tam i katolicy pomiędzy pierwszymi adherentami jego, ale tych lub tłum z sobą i zgorszenie pociągnęło, albo to byli ludzie, co wiarę mają za rzecz oddzielną od praw jej i przepisów kierujących życiem.

Jeszcze Polska nie ochłoneła, zdumiona wnijsiemiem Szweda, gdy ten już zagarnął Poznań, Kalisz, Kościan, Kruszwicę, Bydgoszcz i sunął się szybko ku stolicy, Warszawie. Żrada Wielkopolan była hasłem wszystkich nieszczęść późniejszych, bo była przykładem, bo wskazywała możność tego, o czem nikt wprzód, krom Radziejowskiego, nie pomyślał — wyrzeczenia się króla swego, złamania przysiąg, poddania się dobrowolnego najeźdźcy bez praw, bez żadnego związku i sympatji z Polską, przychodzącego nią zawładnąć.

Jan Kazimierz zwątpiwszy o królestwie, którego synowie na pierwszym wstępie, kropli krwi nie przeławszy, przeszli w szeregi napastnika, z tęsknem sercem i uczuciem swej bezsilności, ustąpił do Krakowa, ale i tu nie było się czem bronić. Mężtwo Stefana Czarneckiego i garści jego towarzyszków, nie mogło ocalić stolicy, a naraziło drogi ten klejnot na zniszczenie; więc z Krakowa król wygnaniec, na Spisz odjechał; a Kraków, bronil się jeszcze sił ostatkiem i potężniejszą od sił swych nadzieją.

Ostatni sprzymierzeniec Polski katolickiej, płatny jej przyjaciel Chan Tatarski, co dziś Chmielnickiemu, jutro służył hetmanom, widząc rozgrabiony kraj, zalane prowincje, a króla na wygnaniu, poszedł w swe stepy czekać a patrzeć, na kogo miał napaść, z kim wojować. Dla niego wszyscy niewierni byli równi; lepszy tylko kto płacił.

Trudno sobie wystawić, jak straszny był stan kraju w tej chwili przerażającej i sobą i tem co zwiastowała: nie było króla, brakło obrońców, zewsząd czernieli najeźdźcy, ze wszystkich stron zjawiali się nieprzyjaciele, i rozerwana puścizna Jagiellonów, rozpadała się na części. W Wilnie rządził Chowański, Krakowa Wittemberg dobywał; w Warszawie gubernatorował Szwed ze zdrajcą, po województwach przysięgi Karolowi Gustawowi sypały się co dnia gęstsze i serdeczniejsze. Nie było otuchy, nie było ratunku, a ostatnia godzina długiego, jasnego żywota, zdawała się wybijać i brzmieć dźwiękiem grobowym nad głowami przelękłych dzieci,

które się nie miały do kogo przytulić. Stan umysłów był taki, że ostatek uchylał nadziei; garnęli się niemal wszyscy do zdrajców, do nieprzyjaciół, — reszta wzdychała, wyglądając posilku... od Tatara. Chodziły z rąk do rąk podawane i przepisywane listy, oznajmujące o tym sprzymierzeniu, a tymczasem zamek po zamku, gród po grodzie poddawały się przerażone.

Na pograniczach wszędzie wrzał bój, a raczej srożyły się najazdy nad bezbronnymi. Ukraina we krwi się kąpała, Kamieniec oblegał Chmielnicki, Ruskie miasta już klucze dla kozackich złościły hetmanów, drżał szlachcic w drewnianym dworku, choć go często-kolem opasał i śmigownicami najeżył; modlono się po kościołach, zguba zdawała być nieuchronna.

Szwed tymczasem w zajętej przez siebie części Polski gospodarował po swojemu; jednano szlachtę jak było można, datkiem i pięknemi słowy, rozdawaniami w przyszłości dostojenstw, pochlebstwem, obietnicami, groszem, co go kościelne dostarczyły srebra i poszanowaniem doczesnem wiary a prawa. Trochę wierniejszych garść, choć nie wielką a straszną, Karol Gustaw chciał wyłębnić uniwersałem, który wszystkim niższemu, wszystkiemu ludowi, najnieoświecenniejszej a namiętnej klasie społeczności, dawał moc nad panami, dozwalając posądzonych za ledwie o niesprzyjanie sobie, żywych lub martwych dostawiać Szwedom i przyrzekając nagrody. Szczęściem ta zachęta do łupieży i mordów, rozprzegająca zasadnicze towarzystwa ogniwa, więcej oburzyła, niżeli serce pozyskała. Po pierwszym szale, ze smutkiem i żalem, ze zgryzotą poglądali wszyscy, którzy by się wrócić nazad, na czystsiejszą powinności drogę.

Byli wszakże ludzie, co po pierwszych, acz wielkich klęskach, nie stracili nadziei w *Bogu*, nie wyrzekli się męskiej odwagi, i skłonieni pod mściwą rękę Wszechmocnego, karzącą za grzechy, oczekiwali by Ojciec co dotknął, przebaczył.

Do Częstochowej zewsząd dochodziły wieści stra-

szliwe o Szwedach; goniec za gońcem, posel za poslem, nieśli nowiny coraz bardziej przerażające. Spodziewano się już co chwila napaści, i na wierzchołku wieży siedzący strażnik, braciszek klasztorny, niespokojnem okiem przebiegał dalekie obszary; każdy dymek w polu, każdą gromadkę jeźdźców, biorąc za nieprzyjacielską wycieczkę. Znikli liczni pielgrzymi, co dawniej tłumami nawiedzali święte miejsce, głucho tu było i pusto; wszędzie Szwed gościł, lub obawiano się kozaków, nikt z domu nie ruszał, chyba do obronnych grodów z życiem i mieniem, lub w głębokie lasy i góry się chroniąc. Szlachta, tylko sąsiedzi, kiedy niekiedy zjechali się do przeora, nie kwapiąc jeszcze z rzuca-
niem domu, a już prze widując, że będą musieli szukać pod skrzydłem Matki Bożej bezpieczniejszego przytułku; nie jeden wiózł już z sobą skrzyneczkę głęboko w wózek ukrytą, w której złożył klejnoty swoje i żony, papiery lub trochę sreberka i rządził jaki ozdobny, co go miał jeszcze od pradziada.

Wcześniej oddawano je na skład Paulinom, a ojcowie przyjmowali te depozyta sami jeszcze nie wiedząc, jak ich *Bóg* obroni. Słychać to było wprawdzie, że Karol Gustaw zapewniał kościołom i klasztorom bezpieczeństwo ich własności, opiekę dla wiary i jej obrzędów, ale zarazem Częstochowa jako miejsce obronne, panując do koła, na pograniczu Szlęska, na drodze Szwedów do Krakowa, mogła im być potrzebnem stanowiskiem. Pobożniejsi myśleli, że choć różnowierca, o tak sławne świętością nie pokusi się miejsce, by od siebie serc katolików tą napaścią nie odstręczyć. Inni wnosili i nie bez przyczyny, że łupieżców przyciągnąć tu musi rozgłos o skarbach zgromadzonych na Jasnej Górze, zarówno z potrzebą umocnienia się na tym punkcie. Nic jednak dotąd nie zwiastowało, żeby Szwedzi pomyśleli już o Częstochowie, u której podnóża, nikt się jeszcze z Gustawowskich żołnierzy nie pokazał. Ale ta cisza miała coś w sobie strasznego; odgłos wrzawy dalekiej, wybitniej coraz brzmiał w uszach zakonników, a nocny wichur jesienny, każdy

huk oddalony, każda u wrót wrzawa, zdawała im się oczekiwanych nieprzyjaciół oznajmywać.

Szara a smętna pora roku, to powolne przejście od skwarów lata, do mroźnej zimy, dodawała jeszcze obrazowi ponurej i złowrogiej barwy. Lasy zrzuciły już były pożółkłe liście i suchemi sterczały gałęźmi, pola jedne świeciły majowymi szaty zasiewów, drugie przy nich smutniej jeszcze czerniały i płowiały obnażonemi piaski, zdeptanemi ścierniami; niebo okrywały zasłony sine lub szare, a wiatr przynosił tylko chłodne deszcze, mroźne podmuchy i burze, dzikimi głosy wśród gajów wyjące. Mnisi przywykli do częstych odwiedzin, do coraz nowych twarzy, napróżno teraz poglądali na wszystkie drogi; rzadki się tylko przywłókł żebrak o kiju, mieszczanin z klasztornego miasteczka, lub szlachcic z bliskiej wioski. Płynęły jednostajne godziny na modlitwie, na tęsknej rozmowie i modlitwach znowu i rozmyślaniach ponurych; dzwony tylko z wieżycy, w pewnych godzinach dnia i nocy zwołujące do chóru na nabożeństwo, przerywały długą i posepną ciszę.

Rano dnia pierwszego Listopada 1655 roku przeor, ksiądz Augustyn Kordecki, siedział w swej celi i odmawiał pacierze, gdy do niej zapukano w sposób nagły; pozwalając wniknąć, złożył kapłan książkę z westchnieniem jak gdyby bołał, że go z lepszego świata odrywano na ziemię, i spojrzał na obraz ukrzyżowanego, niby go prosząc o posiłek i radę.

W tem wszedł ksiądz Piotr Lassota, zakonnik, z kilką listami, i ucałowawszy rękę przełożonego jak to dawniej było w zwyczaju dla przypomnienia posłuszeństwa, oddał mu je milczący, ale z twarzą widocznie strapioną i zamgloną smutkiem. Ksiądz przeor spojrzał na pieczęcie i zapisy, nie spieszył z rozpieczętowaniem i usiadł.

Był to średniego jeszcze wieku człowiek, wzrostu miernego i twarzy wcale nie bohaterskiej: rysy jego znamionowały tylko silną duszę, charakter nieugięty i rozum jasny; dobroduszna łagodność łączyła się

w nich z mężstwem i wytrwałością. Siwe źrenice bystro spoglądały wprost na każdego, nie schylając się przed nikim, nie obawiając śledczego badania, same wnikać w głąb duszy; nad nimi brew gęsto zarosła już siwieć poczyniała. Czoło miał szerokie, zorane kilką poprzecznymi marszczkami, które raczej wiek i praca, niż troska zakresliły; usta rumiane i szeroko roztwarte miały ten wyraz siły i dobroci razem, który oznajmuje wielkich mężów, zawsze gotowych do boju i pewnych dotrwania. Widać było, że często igrał na nich uśmiech łagodny; że rozkazując umiały rozkaz ten uczynić miłym, a w potrzebie nieodwołanym i strasznym tą potęgą wołał niezłomnej, której nikt wytłumaczyć nie potrafi, a wszyscy słuchać mnszą. Takim był ksiądz Kordecki; postać poważna z siwiejącym włosiem i długą na piersi spływającą brodą, w chwilach codziennego żywota; — lecz ktoby go widział na modlitwie, nie poznałby może, tak go zmieniało podniesienie ducha ku *Bogu*, tak rozjaśniało się i świećniało oblicze jego. Inny to naówczas był człowiek. i grom dział nie byłby go zbudził, chociaż szmor cichy ust ludzkich, odzywających się doń łagodnie, wnet od Boga ściągał myśl jego ku ziemi, gdy się tu czuł potrzebnym. W powszedniem obejściu nikt dziwniej połączyć nie umiał surowości z łagodnością, dwóch na pozór sprzecznych sobie przymiotów; nikt dzielniej nie przekonywał, nikt silniej nie pociągał nad niego, nikt potężniej nie gromił. Wymowa jego nie szukała w szacie powierzchownej, w dobranych słowach i wyszukanych postaciach, środków trafienia do serca; natchniona, zawsze pewna była siebie i wyrażała się prostemi słowy, z duszy idącemi do duszy. Był to ów mąż ewangelicznych czasów, który częściej prostą przypowieścią trafiał do przekonania, niż wielkimi wyrazy; on może jeden wśród deklamującej Polski mówił najsilniej ze wszystkich, choć od wszystkich prościej. Wielkiej jak dusza jego pokory, umiał ją połączyć z powagą zwierznika i oddzielić człowieka i grzesznika, od przełożonego i pasterza swej trzodki.

Nikt w nim skazy dumy nie spostrzegł, a przecież na widok jego uchylały się głowy, jak przed niepojętym urokiem wyższości. Dość było by przemówił, wnet ciągnął serca ku sobie, uginał twarde przekonania, miękcył zatwardziały, rozbrajał gniewnych; nie jedno pojednanie, nie jedno nawrócenie, należało już do zasług jego.

Wiek XVII. był jeszcze zaprawdę u nas wiekiem szczerej i głębokiej wiary, ale w nim nawet mało było ludzi Kordeckiemu podobnych. Nie celował on jako teolog uczony, i chętnie sam się nazywał nieukiem; ilekroć razy przecie najzawikłańszą kwestją rozwiązać było potrzeba, szedł po słowo jej do serca swego, a ta skarbnica chrześcijańska zawsze mu je dostarczyła. Rozum jego, rzecz można, sływał przez serce, przejęte bogobojaźnią, płonące jasno miłością *Bożą*. Nigdy żadna namiętność ziemska nie okopciła go nieczystym wyziewem, nie zeskwarzyła płomieniem. Dziecię pracowitych a ubogich rodziców, zawczasie duchem wstąpiwszy do zakonu, powołany do niego jak apostołowie, od skiby złanej potem dziadów, z chatki którą nawiedzał niedostatek, dobrowolnie wyrzekł się świata, nie żałując go wcale, wesół u portu, czując błogość całą swego stanu; szedł dalej z chrześcijańską nadzieją szczęśliwego żywota po za wrotami krótkiego życia ziemskiego i śmiercią, której z uśmiechem wyglądał.

Rodzice Kordeckiego byli to ubodzy wieśniacy z Iwanowic w Kałiskiem: wychował się wśród ludu, na roli i wieśniaczą prostotę przyniósł na ofiarę *Bogu*. Z wiejską siłą i czystością od dzieciństwa, Klemens na rękę pobożnej matki, wzdychał do ciszy klasztornej, do zaparcia się siebie i poświęcenia Chrystusowi. Ale nie rychło ciężkie porzucił więzy i trzydziestoletni dopiero, zakonnikiem został. Wśród zgromadzenia, które między członkami swemi liczyło dzieci najznakomitszych rodzin szlacheckich, syn kmiecy rychło wygórował pobożnością i rozumem; bracia postawili go na czele. Przeorem w Oporowie i Pińczowie naprzód,

następnie na Jasnej-Górze przełożonym został, teraz już powtórnie; a na świeczniku stając, jaśniał coraz gorętszym płomieniem cnót i zasługi.

Niez mordowany w pracy, nigdy na nią nie stęknął; biegł do niej z radością, wracał szukając oczyma nowej; sił mu *Bóg* dostarczał. Z młodszymi był starszym bratem, dla winnych pobłażającym ojcem, który przebacza żądając poprawy, z zatwardziałymi, sędzią surowym ale zawsze miłosiernym, byleby ujrzał promyk skruchy i łzę żalu; wszędzie i zawsze chrześcijańskim kapłanem *Boga* co światu miłość objawił.

Ksiądz Piotr Lassota przybyły z pismami, wydawał się przy przeorze wątłym i słabowitym, tak pierwszy mężką, krzepką miał postawę; w twarzy jego znać było cierpienie duszy i ciała przy wielkiej rezygnacji i wywalczonym spokoju. Jasnowłosy, płci przejrzystej, na którą rumieniec występował często, gdyby na twarz dziewczeczki, ręce miał małe, drobne i białe, wszystkie członki delikatne, a boleść może pochyliła mu nieco barki, jak gdyby na nich niewidome spoczywało brzemię.

W milczeniu oddał listy ksiądz Lassota, a Przeor okiem je badał, nie spiesząc z otwarciem; potem zwracając wejrzenie na zakonnika, spytał go powolnie:

— Słychać co nowego ojcze?

— Nie, jedno i jedno.

— Zawsze źle?

— Bogu to wiadomo co złe, a co dobre — odparł Lassota — nam tylko, że cierpiemy.

— Masz słuszność bracie — żywo zawołał Przeor — poprawiłeś niebaczne słowo moje, dziękuję ci za to.

— Ja! — podchwycił rumieniąc się ksiądz Lassota — ja, śmiałym...

— Tak jest, tak — kończył Kordecki — *Bóg* wie co nam daje, a nam z Jego ręki przyjmować należy z dziękczynieniem. — Ot, tak, wyrwało mi się *źle* z pośpiechu, którego mi żal szczerze. Trudnoż bo nie zabołeć.

To mówiąc westchnął.

- Kto wam oddał listy?
- Jeden z nich od posłańca z Radziątka, drugi przywiózł z sobą pan Paweł.
- Pan Paweł przyjechał?
- Tylko co przybył, wysłany jak mówił od Kasztelana.
- Gdzież jest?
- Chciał się przebrać, zaprowadziłem go do prowincjałskiej celi.
- Bardzo wam dziękuję, a i sam zaraz ku niemu pospieszę.

To mówiąc począł rozpieczętowywać listy; a ksiądz Lassota widząc to, z cicha pokłoniwszy się, wysunął ku drzwiom i wyszedł.

Znać było z twarzy Przeora, że listy nowe przyniosły strapienie, bo mu pochmurniało czoło, ciężkie westchnienie dobyło się z piersi i oczy podniósł ku niebu; potem jakby opamiętawszy się, jął czytać znowu, położył je, ukląkł, pomodlił się gorąco a krótko, i spiesznie wyszedł.

Jeden z nich zwłaszcza był smutny i przepowiadał Częstochowie ciężkie do przebycia losy: obawiali się Paulini od początku wojny o cudownego obrazu przybytek; przełękli bardziej jeszcze gdy listy królewskie, rozesłane po wszystkich twierdzach i zamkach, doszły do nich, gotowość ku obronie zalecając, i przepowiadając, że Szwed złakomiony skarbami Częstochowy, rychło się na nią pokusić może. Prowincjał Paulinów ksiądz Teofil Broniowski, pobiegł natychmiast do króla, chcąc u niego wyjednać pomoc jaką dla twierdzy, prosząc o posiłek dla utrzymania załogi czasu wojny potrzebnej. Ale cóż mu nad radę, przestrogę i życzenie mógł dać naówczas Jan Kazimierz? Prowincjał powrócił z kilką słowami, niepewny posiłek przyrzekającymi w razie małego niebezpieczeństwa.

Róbcie co można, powiedział król, a jeśli gwałtowne nastąpi oblężenie, postaram się o posiłki dla was...

Tę to odpowiedź królewską zwiastował prowincjał

przełożonemu, zdając na *Boga*, czego od ludzi spodziewać się nie było można.

Pan Paweł, przybyły w tej chwili do klasztoru, był to Warszucki, stryjeczny brat Stanisława kasztelana Krakowskiego, członek rodziny, którą Paulini do opiekunów i dobroczyńców swoich liczyli. Człowiek już nie młody, nie bardzo majątny, ze szlachcica podniesiony na podpanka, dostojnością którą brat piastował; czuł świeżą swą jeszcze godność, cenił ją wysoko i lękał wielce, by brat stryjeczny uporem siebie i rodziny nie zgubił, stojąc wiernie przy Janie Kazimierzu. Kasztelan bowiem należał do niewielkiej liczby tych, co dochowali przysięgi do końca. Pan Paweł, był to człowiek charakteru słabego, w gruncie pocziwy o tyle, o ile słaby i lękliwy być nim może; między łatwym usterkiem a łatwą cnotą, wybierał wprawdzie ostatnią, ale z dwójga: trudnej cnoty a łatwego występku, pierwszej by nie przeniósł nad drugi. Tymczasem brat kasztelan, mnogiemi węzły wdzięczności i przywiązania połączony z dworem, uparcie prawego króla się trzymał. Drżał na to pan Paweł, ale milczał, niekiedy odważył słowo dwuznaczne, jakąś insynuacją zręczną, ale wnet zbity i zgromiony, cofał się przed srogiem wejrzeniem głowy rodziny. Niemało go bolało położenie w jakim pozostawał z krajem razem, i niczego tyle nie życzył, co uspokojenia bodaj ze Szwedem, byle mu ono dozwoliło powrócić swobodnie do jego stad, gospodarki i swobodnego wiejskiego żywota. Był to bowiem gospodarz zawołany, w całym znaczeniu tego wyrazu: rolnik naprzód, miłośnik bydła i owiec, pilno krzątał się około stadniny i pszczołnictwa; kopał stawy, zarybiał je, stawiał młyny i nie puszczał z oka żadnej gałęzi gospodarstwa, mogącej podnieść dochody i ulepszyć majątek.

Srodze go też bolała wojna, która wszystkie te rozerwała zajęcia, pomieszała porządek, porozpraszała wieśniaków, rozegnała sługi; Szwed też i kwarciani wybierali stacje niesłychane, plądrowali po gumnach nie pytając o pozwolenie, spasalili pola, chwytali bydło, a kochane stadko pana Pawła musiało ucie-

kać gdzieś w lasy, żeby i do niego nieprzyjaciel się nie dobrał.

Ksiądz Przeor zastał pana Pawła, łysego, krągłego, z jasnym wąsem człowieczka, już wdziwającego kontusz; sługa stojący blisko pas mu gotowy trzymał.

— A! przepraszam księdza przeora!

— Nic, nic, gospodarz jestem, wolno mi wejść.

— Darujesz wasza przewielebność, że mnie tak zastajesz, przebacz z łaski swej, a pozwól złożyć *debitam reverentiam*.

To mówiąc pan Paweł, choć nieopasany, rzucił się chyżo naprzeciw poważnego przełożonego i skinąwszy na sługę by odszedł, pospieszył podsunąć krzesło księdzu Kordeckiemu. Drzwi zamknęły się za sługą, pozostali sam na sam. Ale zaledwie usta otworzył pan Paweł, mając rozpocząć rozmowę, gdy na progu, puknąwszy z lekka, nikała się postać nowa: słuszny, pięknego wzrostu, w sile lat i zdrowia mężczyzna, z czarnym wąsem i włosom, z szabelką w czarnych pochwach u pasa, z czapką w ręku i delją na plecach, otworzył drzwi z ukłonem, jakby pytał czy wnijsć może.

— Wolno? — szepnęła uśmiechając się.

— Pana Krzysztofa! kochanego i miłego gościa, prosimy, prosimy! — zawołał podchodząc do drzwi Przeor.

Pan Krzysztof (był to niejaki Żegocki gubernator Babimostski, dobry przyjaciel księdza Kordeckiego i całego klasztoru, a do tego i sąsiad nie daleki) zrzucił z siebie delję i z pogodną twarzą postąpił powitać gospodarza naprzód, potem pana Pawła. Aż miło było spojrzeć na tego nowego przybysza, tak spokojne miał oblicze, wśród posepnych i chmurnych, które go otaczały — dziwnie odbijające. Jaka twarz, taka dusza, i nie było też może pod niebem szczęśliwszego nadeń człowieka; n niego wiara w Opatrzność i zdanie się na *Boga* tak było potężnem i silnem, że go ksiądz przeor często Lilją nazywał, od słów psalmu o ptakach i liljach polnych, zwykle powtarzanych przez Żego-

ckiego. Żadne dotąd nieszczęście nie mogło mu odjąć pogody duszy pocziwej, żaden cios nie zachwiał wiary jego na chwilę. I dziś nawet, gdy kraj cały szarpali nieprzyjaciele, gdy znaczną część majątności utracił, gdy był przyszły zdawał się mroczyć, on z tak jasną i pogodną szedł twarzą, że ks. Kordecki uściskał go w progu, wskazując panu Pawłowi.

— Oto panie człowiek wedle *Boga* — rzekł całując przybyłego — spojrzycie na niego i na nas, poznacie wnet kto ma wiarę.

— Ale księżę przeorze drogi, proszę mnie tak nie upokarzać — przerwał skromnie pan Żegocki.

— Słuszną pochwałą nie upokarza, daj nam tylko *Boże* wszystkim jęmością rezygnacją i ufanie. Ale — cóż tam słyszać?

— Zachcieleście, starą piosnkę śpiewamy, znać że nam będzie lepiej kiedyś, bo dziś coraz gorzej a gorzej; a złe przecie przesilić się musi. Druga nowina — dodał pan Krzysztof — że gości księdzu przeorowi prowadzę.

— Chwała *Bogu*! gość w dom, *Bóg* w dom!

— Ale przed wojną tak objadać klasztor Często-chowski, nie wiem czy się godzi — uśmiechając się dodał Żegocki — kto wie co wypaść może; każdy kawałek chleba drogi.

— Nie frasujcie się, jakkolwiek *Bóg* nami rozrządzi; gdyby i chleba nie stało, krucy co na pustynię nosili chleb pustelnikom, i nam go też odrobinę rzuca.

— Otóż i ja dziś trochę krukiem będę — rzekł śmiejąc się Żegocki — alem nie chleb przyniósł, tylko trochę ryby, za którą przepraszam, że nie najlepsza.

— Wy zawsze z darami, *Bóg* zapłać, siadajcież; ale jacyż to goście? — spytał Kordecki.

— Nie zdaleka księżę przeorze Dobrodzieju, nie zdaleka, pan Sebastian Bogdański i pan Stefan Jachkowski.

— Sąsiedzi, to się za gości nie liczy.

— Widziałem ich obu do bramy podjeżdżających, gdy mój most przebywał, pewnie z nowinami spieszą, bo

tego dziś nie kupić, chodzi ich po świecie, jak komarów na pluchę.

— Ot brat pana kasztelana Krakowskiego, dobrodzieja konwentu naszego — obracając się do pana Pawła przerwał przeor — najpewniejszych nam wiadomości dostarczyć może.

Pan Paweł spojrział, podniósł oczy i jakby nie wiedział co mówić, chwilę się wstrzymał, potem bardzo po cichu, rzekł do zbliżających się ku sobie:

— Król Jegomość już na Spizu w Lubowli.

— Ale to chwilowo, spodziewam się — przemówił przeor — póki sił nie zgromadzi i środków nie obmyśli, nie osieroci nas tak ze wszystkim.

— Co tu radzić! co tu myśleć! — podchwycił ruszając ramionami pan Paweł — nieszczęście i po wszystkim. *perditio ultima*, zginienie. Szwed już całą niemal Polską zawładnął, kozacy rebellizują.

— Ależ Brandeburczyk i Chan Tatarski! — zawołał nietracący nadziei Żegocki — wreszcie własne nasze siły, którecheśmy jeszcze nie spróbowali.

Pan Paweł ruszył tylko ramionami znowu.

— Tatar w stepie, Brandeburczyk o sobie myśli, a nasze siły! ba!...

— Jak to! przecież to lennik i sprzymierzeniec?

— Przyznam się wam — dorzucił ks. Kordecki — że Tatarzyn, przyjaciel gorzej wroga. Pożał się *Boże*, na niego rachować i wstyd. Ale klin klinem może wybić będziemy musieli, cóż robić! Król jegomość wie lepiej Lutra. Bisurmanem wypchnąć, kiedy inaczej nie podolamy. No? ale co słyhać o Chanie?

— Chan słyseż jak zobaczył, że już w Polsce Gustaw się rzadzi — ciągnął dalej pan Paweł — poszedł sobie w swoje pustynie, powiadając że był sprzymierzeńcem króla Jana Kazimierza, a gdy Polacy innego sobie za króla obrali, poczeka aż z nim nowe zawrą przymierze.

— Tak z nim jak bez niego — rzekł ksiądz przeor — Baba z wozu, kołom lżej — mruknął po cichu.

— Tymczasem — sypał jak z rękawa pan Paweł — wszystko się poddaje, przysięga, broń składa i prze-

zchodzi do nieprzyjaciela. Pan wojewoda Tyszkiewicz na zamku w Uchaczu Carowi przysiągł, w Warszawie Radziejowski rej wodzi, a Krakowa silnie dobywają i dobeda, skoro go niema komu bronić.

— Cóż to znowu mówicie? — przerwał pan Żegocki — do tego nie przyjdzie, Hetmani, Czarniecki szlachta, pospolite ruszenie, wojsko.... nie damy się, nie damy!

— A kiedyśmy się dali? — rzekł pan Paweł.

— No, to się odbierzem! — zawołał szlachcic nachajac ręką wesoło.

Ksiądz przeor słuchał na pozór zimno, twarz, jak słowem nic znac po sobie nie dając, gdy w tem drzwi się znowu otwały i weszli obiecani goście: Sebastjan Bogdański i Stefan Jackowski, szlachta sąsiedzi z Zastochowscy, którzy często bywali w klasztorze, a teraz na dzień wszystkich świętych przyjechali dla nabożeństwa i narady z przeorem. Pierwszy z nich, siwy już i zgięty na pół, wszedł o lasce powolnie i skłoniwszy się nisko, zginając aż w kolana, z kolei przytłumych jak najpokorniej powitał, nie szczędząc im najwymowniejszych form przesadzonej grzeczności. Znać wiek w nim czy obyczaj życia stłumił wszelkie uczucie osobistej godności, bo i ruchem i słowem, mimo siwego włosa, dowodził uniżoności, aż do spodlenia niemal dobrowolnego posuniętej. Wszędzie szukał starannie ostatniego miejsca, nie śmiał niczyjemu sprzeciwić się zdaniu, potakiwał gorliwie i niezmordowanie, a nie zabrał, chyba spytany dobitnie i wywołany natrętną napaścią. Zgasłe jego oczy, zbladłe policzki, trzęsące się głowa, wiek już podeszły, okazywały, że sługiwa niegdyś dworsko i to mu może wpoilo tę śmieszno uległość i uniżoność, odbijającą teraz dziwnie przy łysinie i włosach srebrzystych.

Za nim idący pan Jackowski otyły, z orlim nosem i ruchawym wzrokiem, pleczysty mężczyzna, kulał trochę na nogę, bo ją był niedawno, z chartami jeżdząc za zającem, nadwichnął. Był to zajadły myśliwiec, dawniej wojskowy i związkowy krzykacz, zawadajaka, d

kielicha i do korda gotowy, zresztą szlachcic w całym znaczeniu, szlachcic owych czasów, gdy pan brat pa nował w Polsce sam jeden. W polityce i nowinach trzymał się on zdania swojego arendarza, i nie mu z głowy nie mogło wybić tego, że Żydzi o wszystkim najlepiej wiedzieć muszą. A że Żydzi posługiwali Szwedowi, zdradzając go jednak po troszeczkę gdzie było można, nie narażając się na powieszenie, że Żydzi obiecywali po dworach sto tysięcy Nogajców i Perekopców idących na obronę Rzeczypospolitej, pan Jackowski gotów był także tymczasowo przystać do Szweda, *salva revocatione*, po przybyciu Tatarów.

Po przywitaniach i przedstawieniach obfitych w przypomnienia familijne i trafiaie smażone komplementa, których sobie nie szczędzili przytomni, wszyscy zasiedli i rozmowa prędko wróciła do pierwotnego toku...

Pan Paweł Warszucki na nacieranie szlachty powtórzył, co był już wprzód powiedział i wszyscy poglądając po sobie umilkli posepnie, jakoby czekali, żeby się kto pierwszy odezwał ze zdaniem, jak sobie począć wypadało.

Przeor milczał także.

— Sekretów tu między nami być nie powinno — rzekł po chwili pan Paweł — powiem więc państwu, że w przekonaniu wszystkich statystów, poddanie się całego królestwa Karolowi Gustawowi niechybne. Prędzej później, a zwłaszcza gdy Kraków zdobędą, co lada chwila nastąpić musi, bo się w nim kasztelan Kijowski ze swoją garścią nie utrzyma, pójdziemy wszyscy w ręce Szweda.

— Jeszcze to widłami pisano — odparł pan Żegocki — kogo Pan Bóg pokarze, tego i pocieszy.

Bogdański milczał, ale wzdychał na wszelki wypadek, a Jackowski żywo dodał:

— A gdybyśmy i przysięgli Szwedowi znów, to co? nie pierwsi my i nie ostatni.

Na te słowa płomieniem oburzenia oblała się twarz księdza przeora, oczy jego zajaśniały i mignęła w nich błyskawica; powstał z krzesła, ale zmieniony, groźny

jak prorok, jak natchniony; wszyscy jak gdyby uczuli przewagę ducha w łom, wprzód niżeli usta otworzył, zamilkli, a silny *gins* księdza Kordeckiego zagrzmiął po obszernej sali.

— Podda się cały kraj — zawołał — podda się mówicie! Nie! nie! Bóg tego nie dopuści i nie cały wyprze się swojego pana, bo Częstochowa zostanie i wytrwa przy Janie Kazimierzu.

— Jak to? — zdumiony podchwycił pan Paweł — gdyby Szwedzi nadeszli. co bardzo być może, bo już słysząc o Wejhardzie, że się w tę stronę z Sadowskim puścić zamyśla: będziecie się więc bronić?

— Będziemy! — odparł przeor spokojnie — tak jest, z pomocą bożą będziemy się bronić i obronimy się.

— Całej siły Szwedzkiej — dodał Jackowski — wojsku, artylerji. żołnierzom i wodzom starym a wytrwałym?

— Najlepszy żołnierz Pan Bóg. kochany panie Stefanie — odpowiedział przeornieco zniżając głos; w Nim ufając, z nim idąc, nie złękniemy się potęgi Gustawa. Tak jest, jeśli mi Bóg życia dozwoli, ani świętego obrazu, ani uświęconej Jego pobytem Jasnej Góry, nie oddam w ręce heretyków; zagrzebiemy się raczej w jej gruzach...

Warszycki słuchał nie wierząc uszom swoim, ze strachem jakimś, ze zdumieniem niepojętem. które się dobitnie wyryło na jego twarzy.

— Jakto księże przeorze, doprawdy? myślelibyście?

— Myślę tak i uczynię z pomocą Bożą, z opieką Marji Panny, nie oddamy Szwedowi Częstochowej!

— Właśnie i mój brat kasztelan — rzekł pan Paweł poczynając, ale się zaraz opamiętał i urwał.

— Mówcie, mówcie — podchwycił biorąc go za rękę przeor — wszyscyśmy tu swoi. tajemnic nie mam, to przyjaciele klasztoru.

— A zatem otwarcie, — rzekł Warszycki — powiem waszej przewielebności, co mi mój brat polecił. Już to żadnej wątpliwości nie ulega, że oddział Millera,

Wejhard, pułkownik Sadowski, co go może i znacie, bo mieszkał u nas, gotują się iść na Częstochowę.

Szlachta pobladła, Bogdański ręce załamał, przeor słuchał jak gdyby już wcześniej wiedział, co mu powiedzieć miano. — Kilka razy już podobno wybierali się z Kalisza, ale to jakoś jeszcze do skutku przyjść nie mogło. Potrzebują pieniędzy, nie bez tego żeby nie słyszeli o skarbach świętego miejsca, przyjdą więc niezawodnie, przyjdą z siłą znaczną, a zdaniem mojego brata pana kasztelana, potrzeba ocalić co można, uwозяć na Szląsk precjoza; a przed wszystkim *Taumaturgam imaginem*, skarb całej Polski.

— Święte słowa, rada uajmędrsza — szeptał sentencjonalnie pan Bogdański — znać w niej statystę!

— I ja w to biję — dodał Jackowski.

— A pan co na to? — odezwał się dziwnym uśmiechem ksiądz przeor, obracając się do Żegockiego.

— Ja słucham co ksiądz przeor powie i z góry się na to piszę.

— Powiem więc państwu — rzekł stanowczo Kordecki — że co mi Pan *Bóg* natchnął w tej chwili, tego nie odstępuję; można wywieźć co najdroższego dla spokojności naszej, ale niemniej bronić się potrzeba, bronić będziemy i oprzemy bodaj całej sile szwedzkiej w Częstochowie.

— Księżę przeorze dobrodzieju — przerwał z uśmiechem pan Paweł — unosi cię zapał, nie jesteś żołnierzem, nie masz ludzi.

— Ale mam opiekę Matki Boskiej nad sobą i silną wiarą w nią wierzę.

Pan Paweł skłonił głowę.

— I myślicie nawet obraz cudowny narażać na nieuchronne niebezpieczeństwo?

— To co inszego — odparł Kordecki — namyślimy się, naradzimy i uczynimy z tym skarbem co *Bóg* natchnie; co się tyczy Częstochowej, miejsca tego uświęconego nie oddam i bronić będę do ostatniej krwi kropli.

— Z kimże? — spytał Warszzycki ironicznie ruszając ramionami.

— Bodaj sam ze siedmdziesięciu braćmi — dodał stanowczo Kordecki.

— W siedmdziesięciu przeciwko tysiącom?

— Będziemy kamykiem małym, w ręku Bożego Dawida.

— Śliczne to są i wymowne wyrazy, ale cóż potem — przerwał pan Paweł — gdyście księże przeorze nie obmyślili wprzód, iż to rzecz tak niepodobna, jak niepodobna, z motyką porwać się na słońce.

— Daruj mi panie Pawle — rzekł przeor, pokornie ale stale przy swoim stojąc — słowo moje nie jest wcale rzuconą na wiatr pogróżką; myślałem długo, radziłem się Boga na modlitwie, Opiekunki naszej Marji, szukając u Niej natchnienia, świętego zakonodawcy naszego i błogosławionych braci w szczęśliwszym dziś żyjących świecie, i mam przekonanie, żem to uczynić powinien i uczynię.

Wszyscy coraz większe okazywali zdumienie, a pan Paweł poczynął się trochę niecierpliwić.

— Wasza przewielebność — rzekł trochę urażony — nadto może zapatrujecie się w niebo, a zbyt mało macie czasu spojrzeć na ziemię, piękne to są słowa, ale my ludzie doświadczenia...

— Nie ujmuje, nie ujmuje — podchwycił Kordecki — nikomu, istotnie choć grzeszonym wzrokiem poglądam w niebo, jednak *Bóg* sługę swojego niegodnego, obsyła czasem natchnieniem. Co mówiłem, tom rzekł z pobudki głosu wewnętrznego, który wyraźnie odzywa się do mnie: — Stań i walcz a zwyciężysz. A oto *Labarum* moje, — rzekł wskazując na obraz Matki Boskiej wiszący na ścianie. — *In hoc signo vinces.*

Taka była potęga wyrazu oczów i twarzy przeora, gdy słowa te wymawiał, że wszyscy uczuli się niemi dźwignieni i podbudzeni, wyrobiło się męztwo w sercach wszystkich; jeden pan Paweł, gospodarz ów wielki, co istotnie zbyt patrzył na ziemię, nie doścignął sercem bohaterskiego zapatu kapłana. Stary Bogdański

nawet odmłodził i łoży mu się w oczach zakręciły, postąpił kilka kroków w milczeniu, poszedł i ucałował z przejęciem drżącą rękę Kordeckiego.

— Tak jest — kończył przeor poglądając na zmianę, jakiej dokazał kilka słowami. — Mamie oddać w ręce innowierców miejsce oblane tyłą łzami świętemi, wsławione cudami tyłą, gdzie *Bóg* tyle łask na naród nasz dawa; gdzie monarchowie nasi szukali tylekroć pomocy i składali ofiary, gdzieśmy przywykli podnosić wszyscy wzrok błagalny od kolebki do zgonu we wszystkich potrzebach naszych? Nie! nie! myśmy tu postawieni na straży; dość nieszczęścia, że święty wizerunek pokłuty strzały Tatarów, pocięły szable Hussytów; Szwedzi się nad nim pastwić nie będą i stopa ich tutaj nie zostanie.

— Wszystko to piękne, wszystko to wymowne i śliczne — po chwili odjął cichym swym jednostajnym głosem pan Warszucki, — ale ojcze a dobrodzieju, choć *Bogu* nie trudnego, nie wiem czyśmy zasłużyli na to, żeby dla nas cud uczynił tak wielki.

— O! żeśmy nie zasłużyli to pewna — zawołał przeor — wielkie, wielkie a straszne są grzechy nasze, ale i kara straszna i zlitowanie przyjdzie po niej. *Bóg* wielki! *Bóg* łaskaw!

— Boby to inaczej jak cudem nazwać nie można — kończył pan Paweł, — gdyby Częstochowa obroniła się Szwedomi. Jeśli odepchniecie garść, przyjdzie ich oddział cały, oprzecie się temu, skupi się wojsko, napłynie śmiało i poddadzie się nareszcie.

— Zginiemy może, i pragniemy tego gorąco, żebyśmy krew naszą za wiarę świętą przelali — rzekł przeor — zginiemy może, ale się nie poddamy, to pewna.

— Dziwne zaiste przekonanie! — cicho do siebie odezwał się pan Warszucki.

— Chciałeś pan dobrodzieju powiedzieć upor — z uśmiechem dodał Kordecki — masz prawo tak to nazwać. Nazwijcie więc jak chcecie i myślcie co wola wasza: a ja powtarzam swoje choć nie z siebie: nie podda się Częstochowa.

Szlachta poglądała na przeora, wodząc za nim oczyma: twarz jego ciągle rozpromieniona, jasna, uśmiechnięta, niemal zdawała się widzieć przyszłość i błyszczała odwagą nadziemską. Jeden pan Paweł jeszcze się nie poruszył... taki to był dobry gospodarz!

— Bardzo to dobrze było i pięknie tak mówić — rzekł coraz widoczniej się tylko niecierpliwiąc — gdyby inwazja Szwedzka mogła być uważaną za doczesną, ale.

— Ja jej inaczej nie widzę — zawołał Kordecki. — Jakto? Król wygnany, wojsko rozprószone, stolica jedna zabrana, druga może w tej chwili poddająca się, szlachta a po części i magnaci ze Szwedem połączeni, Litwa w rękach Cara.

— A jakoś nas *Bóg* z tego podźwignie — spokojnie odpowiedział Kordecki. — Łokietek także tułał się po kraju i ukrywał po jaskiniach, był jak Jan Kazimierz wygnańcem, przecież powrócił i szczęśliwie panował. i Janowi, panu pobożnemu a bogobojnemu, nie uskąpi Wszechmocny łaski swojej.

Pan Warszucki lekko tylko ramionami ruszył, skłonił się i poprzestając sporu odezwał się:

— Chciejcie mi powiedzieć, bym to mógł bratu mojemu odnieść, jak i z czem bronić się myślicie? — Przeor pomyślał chwilę. — Jest nas — rzekł — w klasztorze zakonników i braci siedmdziesięciu, szlachty co się tu z nami zamknąć obiecuje, kilkadziesiąt familij, załogi zwykłej ludzi z pięćdziesiąt, dwakroć tyle jeszcze zbierzemy ochotnika z wiosek klasztornych i miasteczka; działa porządne, prochu dosyć i kul dostatkem, żywności zapas, wody studnie dostarczają, a na resztę sam *Bóg*. — Ale przypuszczając, że Szwedzi podejną, któż tem wszystkiem dowodzić będzie, kto pokieruje? — Najprzód *Bóg* i Opiekunka nasza i Paweł święty — rzekł przeor.

Na te słowa lekki nieznacznym uśmiechem przebiegł po ustach pana Pawła.

— Potem, kończył Kordecki: Pan Stefan Zamojski, miecznik Sieradzki, który tu w tych dniach przybywa z całą rodziną swoją, uchodząc od Szwedów, i pan Piotr

Czarniecki rodzony pana Stefana kasztelana Kijowskiego. Do dział mamy Niemców dwu; jednego zwłaszcza zdatnego i znającego rzecz swoje, a niezgorszego człowieka. Spodziewam się także panów Zygmunta Moszyńskiego, Jana Skórzewskiego, Mikołaja Krzysztoperskiego i kilku innych dobrych żołnierzy; nikt też tu z założonemi rękoma siedzieć nie będzie.

— Ale Szwed nadejść może co chwila! — dorzucił pan Warszycki. — Tak, słusznie pan mówi! święte słowa jego! co chwila — powtórzył cicho Bogdański.

— Jam też niemal gotów! — rzekł przeor.

— Jakto? jużście to przypuszczali?

— Trochę, czekam na wodzów, zbieram żołnierza.

— Niepojęta rzecz! niepojęta! — wykrzyknął pan Paweł, wpatrując się w Kordeckiego — decyzją waszą słyszę i ledwie nszom moim wierzę. Ale gdy odradzać byłoby próżno....

— Zupełnie próżno! — odparł wytrwale Kordecki.

— Zatem dziej się wola *Boża!* — Dziej się wola *Boża!* — z westchnieniem powtórzył pan Bogdański.

— A ja, mości przeorze — zawołał z szerokim dobrodusznym uśmiechem Żegocki — przybywam z dwójgiem rąk zdrowych i służby moje wam ofiaruję; rękę, że darmo chleba klasztornego jeść nie będę.

— Prosimy z nami i dziękujemy, *Bóg* wam to nagrodzi. — My, panie Stefanie — cicho szepnął stary Bogdański do Jackowskiego — zaraz po nabożeństwie zmykajmy ztąd, tak mi się widzi.

— Masz słusność sąsiedzie, niema tu czego długo popasać, nużby nas Szwed pochwycił i do noszenia kul i muszkietów zaparł!

— Taki bezpieczniejsz w domn!

II.

Trzeciego listopada, przed chórem północnym, wszyscy zakonnicy zgromadzili się powołani przez przeora, do wielkiej sali zwanej *Definitorium*; nikt z braci nie wiedział powodu wezwania; wszyscy jednak z posłuszeństwem zakonnem pospieszyli w milczeniu i zasiedli miejsca swoje. Kilka lichtarzy z żółtymi woskowymi świecami, stały w pośrodku na stole przed krzesłem przygotowanym dla przełożonego; naprzeciw, na ścianie wisiał ogromny drewniany poczerniały krucyfiks, u którego stóp bielala głowa trupa i dwie na krzyż złożone kości. Nie było to dzieło suycerza, ale ze cmentarza wzięta czaszka żółkła i dwa nadbutwiałe piszczele. Pod krzyżem, w złocistych ramach czerniała twarz łagodna Najświętszej Opiekunki klasztoru. Na prawo i lewo w ciemnych drewnianych ramach, zawieszone ogromne płótna, okazywały wśród cieniów mało oświeconej sali postacie świętych, zakonników i królów, jak gdyby wyskakujące z zachmurzonego tła obrazów. Zdawali się oni należeć do tego zgromadzenia ojców, siedzących poważnie w stallach debowych. tak nieruchomie jak posągi lub obrazy. Gdzieniedzie zabłąkany promyk światła padał ukośnie na blade lica Paulina i otoczoną nimbusem twarz błogosławionego, zarówno je ożywiając. Cichość głęboka panowała jeszcze w wielkiej sali, niekiedy tylko westchnienie, spadająca z różańca kościana paciórka, szmer cichej modlitwy lub słowo z ust wyymkające się, przerywały milczenie. Ojcowie powoli się schodzili jeszcze, starsi szli o kiju, prowadzeni przez professów, coraz to się otwierały drzwi, i który z zakonników wsunął się z hasłem zwyyczajnem po cichu wymówionom, zajmując miejsce oczekujące na niego.

Przeora i kilku starszych nie było jeszcze, a chwila oczekiwania na nich zesła na rozmyślanie, którego ciężkie dumy widać było po zasepionych twarzach braci.

Nareszcie drzwi się otworzyły i ksiądz Kerdecki, powolnym wszedł krekiem, zajął miejsce swoje, ukląkł przed krucyfiksem, rozpoczynając ze wszystkimi modlitwę do Ducha świętego.

Słychać było szmer upadających na ziemię kolan i cichy szepot, jakby orzeźwiający deszcz wiosenny, zaszumiał po sali.

— Ameu! — powstali wszyscy; ksiądz Augustyn Kerdecki, jeszcze chwilę z rękoma złożenymi, z oczyma dźwigniętymi w niebo, choć usta miał zamknięte, modlił się gorąco, duszą całą. Ojcowie oczekiwali by zszedł ku nim; w powadze, rozrzewnieniu niektórzy, poglądając na niego.

W tem podniósł się żywo, opromieniony, z pogodnym czełem, z uśmiechem śledkim, otwierając usta powitaniem zwykłym w zakonie, i tak mówić zaczął:

— Kochani bracia, wezwalem was na radę, bo sam nie mogę brać na barki moje wielkiej odpowiedzialności, w okolicznościach teraźniejszych, kraju i świętego gniazda tego się tyjących. Niema już wątpliwości, że Szwed, który zalał całą Polskę i na naszą twierdzę Jasno-Górską się zbiera; nie wiemy dnia ni godziny. Nie pytam was, bracia mili, czy tego miejsca powierzonego naszej straży od półtrzecia wieku, bronić będziemy od napaści heretyków, bo to jest obowiązkiem waszym i wątpliwości żadnej nie ulega, ale radbym zdania waszego zasięgnął o tem, czyli przystoi święty obraz zostawić tutaj, lub ukryć go wależy w bezpieczniejszem, w nieznanem schronieniu. Bronić się musimy i będziemy, do ostatniej krwi krepli, winni będąc przelać ją tutaj za *Boga* waszego i wiarę, za wierność królowi poprzysiężoną; ale ktoś wie? może *Bóg* nie pobłogosławi usiłowaniu naszym, może nie podolamy obronie, może śmierć nas spotkać, a wróg opanować lub zniszczyć Jasną-Górę; godził się, by obraz wystawiony był, nie mówię, na jego razy, ale nawet wzrok uragliwy i szyderski? Mówcie więc bracia i radźmy w imię *Boże*. Naprzód wy ojcie Ignacy (Mielecki).

Ojciec Ignacy, krzepki starzec z siwą włosów ko-

roną, olbrzymiej prawie postawy, pogodnej twarzy ale surowego wejrzenia, skłonił się przełożonemu, spojrzał po braciach, jakby się wymawiał, że pierwszy głos zabiera i tak mówił:

— Bronić się heretykowi konieczna i piękna umrzeć bodaj w obronie tego świętego miejsca, jak strażę przystało, którą wódz postawił na ważnem stanowisku, chlubnaby nam była. Podolamy walce, bo nas *Bóg*-człowiek Odkupiciel nie opuści, i Matka Najświętsza płaszczem łaski swej osłoni. Nie znajdzie się tu pewnie, ktoby radził poddanie sromotne. Prawda, że kraj cały pokłakł jako oblężeni Izraelici przed cielcem złotym, ale komuż jeśli nie nam, dać przykład wytrwania i dochowania przysięgi? Co się tyczy świętego obrazu, o ile umiem słabym umysłem radzić i wnioskować, skryćby go należało wprzód niżeli wróg nadejdzie; skryć także srebra i drogocenne kościoła naczynia i ofiary, aby się niemi heretyk nie cieszył, jeśli *Bóg* na nas dopuści zniszczenie. Sami pozostaniemy świętego miejsca do ostatka żołnierzem wiernym i nie wzdrygniemy się boju.

Przeciwko księdzu Mieleckiemu oświadczył się ojciec Jan, wnosząc, by w razie obrony obraz pozostał w miejscu, dla zagrzewania ducha i opieki; dowodząc że kapłani i lud zarówno odważniej bić się będą, widząc Orędowniczkę przy sobie i stojąc w jej obronie.

Na to ksiądz Mielecki odpowiedział, że bezpieczeństwo obrazu i miejsca pogodzić się mogą, gdyż o ukryciu prawdziwego wizerunku, a włożeniu na miejsce jego kopji zupełnie podobnej, zakonnicy sami tylko wiedziećby powinni.

Po nim wezwany kaznodzieja ksiądz Starodomski, w podobny odezwał się sposób, ale obszerniej, unosząc się zapalem, rad nieco wrażeniu, które widocznie czynił. Dodał on, że o miejscu ukrycia obrazu, dla krewkości ludzkiej, na wszelki wypadek, dwóch tylko ojców wiedzieć mają oprócz przeora, i ci przysięgą winni się będą zobowiązać, że schronienia nikomu nie wydadzą.

Trzej czy czterej ojcowie z małą różnicą, powtó-

rzyli zdanie pierwszych i nie rozszerzali się wcale; kolej przyszła na księdza Piotra Lassotę, a ten w początku zaniemiał, lecz przynaglony od przeora, jakby się obawiał powiedzieć co myślał, nieśmiało głos podniósł:

— Nie spieszę — rzekl. z myślą moją, bo złą być może, a przecież winienem ją, choćby grzeszną i ułomną, wypowiedzieć jaką jest we mnie. Przebaczenie mi więc ojcowie, jeśli waszego nie podzielam zdania, ani mi za złe bierzcie, że mam własne. Z wami razem, skoro taka wola będzie starszych, gotów jestem ochotnie walczyć i giąć. z radością życie niosąc nikczemne na ofiarę Panu *Bogu* mojemu, ale sądzę, że nie mnicha jest rzeczą walczyć i krew przelewać. Nam w udziale dostała się modlitwa, rozmyślanie, rozmowa z Bogiem i pokuta: miecz nie powinien dotknąć rąk zakonnika, nie przystoi mu zbroja, a morderca dwakroć grzeszy, gdy jest posłannikiem *Boga*, który nieprzyjaciółom przebaczać, i drugi policzek nastawić rozkazał. I nie naszą to rzeczą, i nie naszych sił sprawa, obronić twierdzę Jasnogórską od silnej, wprawnego i mocnego nieprzyjaciela napaści, winni będziemy krwi przelanej a cóż gdy się ona na nic nie przyda i tylko wroga rozjątrzy? weźmijmy więc skarb nasz jedyne, obraz święty na ramiona, ubodzy, pieszo, z krzyżem w rękę wynijdźmy ztąd, zostawując skarby ludziom, co do nich przywiązują cenę, a sami schronimy co do Głogowa, lub innego jakiego klasztoru na Szląsku.

Gdy to mówił ksiądz Lassota, a mowa jego zdawała się jednać sobie chętne przyjęcie u niektórych braci, przeor powstał: — Prosiłem rady: jako szczerą a z serca pochodzącą, przyjmuję ją wdzięcznie, rzekl ale się na to zdanie wasze zgodzić nie mogę. Zakonnik w potrzebie walczyć, i bronić świętości powinien, a nie poddawać się nieprzyjacielowi wiary. Mamy tego dowody w ustanowionych przez świętych założycieli, Zakonach Rycerskich, które *ore, corde ense* pracowały na zbawienie swoje i ludów; mamy tego przykłady w piśmie świętem i w dziejach mężów, których orężowi

blęgosławiło niebo. Przysięgaliśmy wszyscy jako obywatele kraju naszego, na wierność królowi Janowi Kazimierzowi, nie godzi się nam łamać i lekceważyć przysięgi. Mamy, gdy na nas oczy kraju całego są obrócone, gdy wszyscy wyglądają ztąd cudu, aby się nim pokrzepić, ustąpić ocalając życie, a zostawić miejsce święte, jako gniazdo próżne, na łożysko heretyckiej gawiedzi, by je niezastygłe jeszcze, bluźnierczą mową i sromotnemi czyny splamili? Święty to obraz, święty stół, bracia moi, ale uświęcona nim przez wieki Jasna-Góra, równie dla nas drogą być powinna. Tu walczyć, tu stać, i tu jeśli wola Boża. zginąć nam przystoi.

Ksiądz Piotr Lassota skłonił głowę i nic nie odpowiedział, a dalsi ojcowie wotowali raczej za przeorem, niż za nim. Kilku tylko jeszcze, z innych powodów, przypominając słabość miejsca, niedostateczne środki obrony, radzili wytargować sobie jak najkorzystniejsze warunki u Karola Gustawa, posłać wcześniej do Witemberga, do Horna, do przyjaznego dawniej miejscu świętemu Wejharda, i przewlekając poddanie, czekać dalszych wypadków.

Gdy głosy zebraniemi zostały, okazało się, że znaczna większość była za ukryciem bezpiecznem a niezwłocznem obrazu świętego i za obroną do ostatka Jasnej-Góry. Z radością widoczną obliczył je przeor i przemówił jeszcze, dodając ducha mniejszości:

— Wiary! wiary! wiary! potrzeba nam; o nią prośmy tylko, o nią błagajmy, módlmy się o nią, a zwyciężym. Samson szczeką ośłą pobija Filistynów, Dawid maluczki kładzie trupem Goljata olbrzyma, bo z nim jest duch Boży; — nie zawsze siła tylko przemaga, zwyciężał, z kim jest *Bóg*. Mamy wielkich Orędowników w niebiesiech, a choć grzeszni, w chwili gorącej modlitwy, podniosiem głos, by nas usłyszał Ojciec. Wiary tylko, wiary silnej, wiary niepożytej i potężnej. A nawet po ludzku już rachując, i nie licząc posiłków anielskich, które to święte miejsce otaczać będą; czemużby twierdza tak mocna, budowana,

w przybory wojenne obfita, w żywność zasposobiona, staćby i wojskom wielkim opierać się nie miała? Widzieliśmy przykłady u nas zamków i grodów, które cierpliwością i wytrwaniem dziesięćkroć silniejszego napastnika przemogły. Inna jest napadać a bronić. Jeśliśmy my nie wojownicy, znajdują się wodze bieglejsi, co nam rady i przewodnictwa nie odmówią, znajdują się posiłki, byle wiara była.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi *Definitorium* zapukano. Profess Rudnicki otworzył je, poszeptał coś z cicha, i zbliżył się do przełożonego.

— Stróż od bramy przyniósł to pismo, pilne jak powiada; żebraczka Konstancja mu je podała, jej zaś konny jakiś pod mury podjechawszy rzucił ze zleceniem. aby je natychmiast do przeora zaniesiono.

Ksiądz Kordecki rozwinął zbrukaną kartę i odczytawszy rzekł powolnie: — Nowe to potwierdzenie wieści o zbliżaniu się Szwedów i zamiarach ich na Częstochowę. Ktoś to przyjazny nam, znać z kwarcianych, czy z innego polskiego żołnierza, umyślnie oznajmienie to przysłał. Ręka i styl nieznajomy, ale myśl pocziwa.

I począł czytać po łacinie w te słowa: Szanowni Ojcowie! Rzeczą jest niezawodną, że postanowiono już uderzyć na Jasną-Górę, i pierwszej wycieczki spodziewać się możecie najdalej w pięć lub w sześć dni po odebraniu tej wiadomości. Wyznaczony do tego hrabia Wejhard Wrzeszczewic, katolik, niegdy opiekun i dobroczyńca klasztoru waszego, ale Szwedowi przyjazny, który od razu może gwałtownych nie użyje środków; lecz jeśli mu się nie uda zająć twierdzy, znaczniejsze siły podestane będą. Nie traćcie nadziei, pora opóźniona, nie do wojny, z Polaków nikt na Jasną-Górę się nie porwie, zamknijcie się co najrychlej, nie wpuszczajcie tylko pewnych i znajomych, a resztę *Bogu* powiercie.

List ten podpisany był tylko tzema krzyżykami. Słuchali czytania jego ojcowie spokojnie, aż ksiądz Ignacy Mielecki się odezwał:

— Jeśli hrabia Wejhard wystany zostanie, nic nam z tego zapewne uczynić nie zechce; znany to przyjaciel zakonu, czciciel świętego obrazu; imię jego w księgach ofiar nie jeden raz zapisane; miałby chcieć łupić co zbogacał, znieważać co czcił?

— *Bóg* to wie, rzekł przeor. a ostrożność nie zawadzi; tymczasem dziś jeszcze pójdziemy pokłęknać przed obrazem, który już jutro w Częstochowie znajdować się nie będzie. Ojcowie strażnicy, co za nim pojedą wyznaczeni będą po chórze północnym, ja sam go wywiozę do bezpiecznego miejsca z nimi; drudzy zabiorą srebra klasztorne. które w stawie zatopić wypadnie pod miasteczkiem. Mieszczanin tam jaki oko na nie mieć może. Ludzie z wiosek klasztornych, z Krowodrzy, Grabówki. Lgoty, Dzbowa w części już sprowadzeni. nad rankiem i koło południa z resztą pośpieszą. A teraz kończmy jakośmy zaczęli. z Bogiem i modlitwą.

Na tem skończyła się narada. i nazajutrz rano choć nikt nie wiedział o podróży przeora, o uwieszeniu obrazu, choć nic nie zmieniło się w kaplicy i nabożeństwie, a obcy zamiany by poznać nie mogli; prawdziwy wizerunek Częstochowski daleko był już od tego miejsca, na którym kilkaset lat przebywał; w jego zaś ramach, sukience i klejnotach, kopia zupełnie podobna jakich zawsze kilka w pogotowiu miano, zawieszona została. Srebra klasztorne zamknięte w beczki utopiono w stawie tejże nocy.

III.

Ruch wielki panował do koła klasztoru; odżywiać zdawała się okolica, ale nie było to dawniejsze, swobodne, pobożne i wesołe życie, jakim się uśmiechała Częstochowa; inne wcale je zastąpiło: — dziś wszyscy

jadący do twierdzy twarze mieli posępne, wzrok zafasowany i uiespokojny, śpieszyli i oglądali się, spotykając witali milczącym skinieniem głowy lub przemawiali do siebie półgłosem. Oł miasteczka ciągnęły ładowne wozy napelnione żywnością, groźnie warcząc odzywał się obudzony mlyu prochowy; z sąsiedztwa zwożono zboże, oręż, kule, ołowię i zbroje stare, lud z wiosek powolnie zbierał się do wrót i zapelniał dziedzińce. Tu mnisi sami jeszcze prawie rozporządzali, co było potrzeba na wypadek oblężenia, które przewidywano; ku bastjonom ciągniono działka. śmigownice i organki. wożono kule, kamień i belki; po kortynach zamurowywano niepotrzebne otwory, podwajano słabą murów grubość. w niektórych miejscach wrzatką zastygające rozrabiając wapno; z tarcie i brusów wmurowywano blankowania nowe.

Na wysokiej świeżo po pożarze odnowionej wieżycy, straż czujna odzywała się niekiedy otrąbiając i dając znak, że wartuje. W podwórcach gospodarowali, kręcili się zakonnicy. do tego rodzaju pracy nie zwykli, ale oddający się jej gorąco: jedni przyjmowali, co przywożono, i składali na wcześniej przygotowane miejsca, drudzy wydawali ze składów stare zapasy wojenne, dawne przybory i rynsztunki, które rdza, wilgoć i dlugi sooczynek nadwątliły.

Dziwny to był widok tych mnichów, z ciekawem okiem a niewprawną dłonią podejmujących zbroje ciężkie, helmy od rdzy zczzerwieniałe, berdysze wyszczerbione, siekiery i topory wojenne, żelazne łuskowe pancerze i kopje, których drzewce robak potoczył; — liczących kule nagromadzone kupami, chodzących okolo dział i muszkietów. Czeladź klasztorna oczyszczała nzbrojenia, płatnerz je sprowadzony z Olsztyna, naprawiał zaraz, dotaczano rzemień, przyszywano sprzązki, zabijano gwoździe, toczono szable. Lud tymczasem, który był wyznaczony do obrony świętego miejsca, poglądał na te przygotowania okiem posępnem i zdumionem; od pługa świeżo, od brony, od motyki przechodząc w sze-

regi wojowników, nie oswoił się jeszcze z nową pracą, nie wierzył zmianie.

Janasz Węgrzyn, jeden z tych awanturników, co raz porzuciwszy ojczyznę, a z wojny uczyniwszy sobie rzemiosło. włóczę się po bożym świecie; — wybierał zdatniejszy lud i rozporządzał nim razem z księdzem Mieleckim, mnichem dzisiaj, a dawniej wojakiem, któremu przypomnienie pierwszego stanu smakowało, choć uczucie to grzeszne od siebie odpychał. Jednych odłączono do posług klasztornych, drugich co ochotniej brali się do tego, naprędce obeznawano zaraz z orężem i obowiązkami, jakie spełniać mieli. Ukazywano im miejsca, dawano w ręce oręż, a niektórzy przywdziawszy ciężkie zbroje, spoglądali na siebie z dziwnym zdumienia uśmiechem. Ojciec Stradomski kaznodzieja, wszystkim tym nowozacieżnym wyniósł po szkaplerzu i po obrazku Najświętszej Panny, gorącą ich mową zagrzewszy, dodając otuchy obietnicą, że i sami wespół z nimi walczyć będą, a płacę zapewniając dostatnią.

Wśród tego tłumu postaci rozmaitych i dziwnie z sobą sprzecznych, wśród zjeżdżającej się co chwila szlachty, która tłumoczki swe do zabudowań klasztornych przenosiła, wśród niezwykłego w ciszy zakonnej kwilenia dzieci, głosów kobiecych; uderzała przemysłająca się tu i owdzie ze śmiechem, z pociesznemi powitaniem i żartami, stara niewiasta w żebraczym odzieniu, dobrze znana mieszkańcom Częstochowej. Zwano ją po imieniu tylko Konstancją, a lud prosty dla pozorów może, może ze swawoli, mianował ją zwykłej Kostuchą. Istny to też był skielec, na którym tylko wyżółkła trzymała się skóra, osobliwszą siecią inarszczków pokryta. Wysokiego wzrostu, chuda, nieco przygarbiona, z kijem w ręku, z płachtą szarą na głowie, w odartym sieraku i chustach poopłatywanych na ramionach, z torbą pustą na plecach, godłem stanu, — Kostucha, tego co ją raz pierwszy zobaczył, uderzała wyrazem twarzy zeschłej, bladej, a ożywionej jakby obłąkanym uśmiechem, który jej nigdy nie

opuszczał. Czarne oczy ogniste z pod brwi siwej błyskające, od tego śmiechu wiekuistego otoczyły się promienistemi fałdami, rozchodzącemi do ust i na czoło. Gęba bezzębna, na wół otwarta, śmiała się także, a nos prosty niewielki, poruszał przy tem z całą twarzą, drgającą i jakby konwulsyjnymi wykrzywającą się ruchy. Kilka kosmyków siwych włosów, wymykały się z pod plachty i na skroń spadały. Ruch żebraczki nad wiek jej był żywy, głos donośny, a wśród poskoków, śpiewów i chichotania, z jakimi ją zawsze widywano, coś smutnego się przebijało, cechującego obłąkanie, owoc wielkiej przecierpianej boleści. Nie była wszakże szaloną: pamięć, przytomność, przebiegłość nawet, dowcip jej pozostał; ale ten śmiech okryty łańchmanami i zgrzybiałością, zdawał się wyrobionym siłą, wywołanym postanowieniem jakimś. Zwykłym jej mieszkaniem były kramiki pod murami klasztor-nemi, w których noc spędzała latem i zimą, na garści słomy. W wielkie mrozy, czasem ją kto miłosier-niejszy z mieszczan okrył starym kołuchem, czasem do chaty zawezwał; we dnie, jak na brzask stawiała u drzwi kościelnych; tu lub w kruchcie modliła się na ogromnym drewnianym różańcu z uadzwyczajnem przejęciem i gorliwością, nigdy się o jałmużnę nie przypominając nikomu. Najczęściej grosz jej rzucony inny żebrak pochwylił, Kostucha tylko się na to uśmiechała; bo kawałek chleba zawsze miała przy furcie, a o resztę zdawała się nie dbać. Jak skoro skończyło się nabożeństwo, wzięwszy kij szła pod kramy, do miasteczka lub na cmentarz, śpiewając, skacząc czasem i chętnie zawiązując z każdym rozmowę, której pragnęła, którą lubiła. Znała tu wszystkich, bo od lat kilkudziesięciu siedziała pod murami twierdzy, i nikogo nie było, coby się z jej żartów nie uśmiechnął, coby na powitanie jej nie odpowiedział. Przy ludziach zawsze się tak dziwnie okazywała wesolą; mówiono wszakże, iż gdy sama została, gdy sądziła, że na nią nikt nie patrzył, siedziała posępna, plakiwała nawet; ale skoro na nią padło ludzkie oko,

natychmiast poczyniała piosenkę i otwierała usta na uśmiech swój zwykły.

— A z tobąż Kostucho, co będzie, spytał Janasz Węgrzyn, gdy się ku niemu zbliżyła, może i ty nam tu kule uosić pomożesz?

— Zobaczymy, odparła kłaniając mu się nisko a szydersko; nie chce mi się opuszczać moich pałaców, i choćby wojsko szwedzkiego Chana nadciągnęło, ja sobie zostanę, siedzieć będę jak siedziałam pod murem. — Ba! a kule? — Mnie one nie wezmą! ho! ho! widzicie, skórę mam twardą i kości nie miększe! Będę zbierała je jak orzechy i odnosiła wam; bo w klastorze, żeby ich tylko nie zabrakło.

— He! to i wy myślicie, że się Szwedzi na klastor pokuszają?

— Jak dziś dzień; i czekam na to jak kania dżdżu. To będzie harmider! buch! bach! dzwony sobie, armaty sobie, waćpanowie sobie — aj! — aj! muzyka także, aż miło! ba! ba! A nasza Najświętsza Panna z góry stanie w obłokach i jak skinie białą rączką — już po Szwedach — jak wymiósł.

— Chwała *Bogu!* dobrze nam prorokujecie!

— Komu dobrze. a komu licho! cicho szepnęła Kostucha.

— No alboż co! spytał Janasz z wejrzeniem na wpół żartobliwem, na wpół niespokojnem.

— Bo was taki Janasz, kochanie moje, kulka nie minie!

— Patrzcie, jaki mi z tego obdartusa prorok!

— Cha! cha! zaśmiała się Kostucha, a jak się uląkł, jak pobladł!

— Ja? ja? odparł Węgrzyn, prostując się i spluwając pogardliwie — to się po mnie nie pokaże! że-bym babskich prorocत्व słuchał!

— Kochanku Węgrzynie od złotej Bani, przynajmniej się wypowiadaj zawczasu, bo cię święty Piotr nie puści na piwo do Abrahama, a słysząc, że ono lepsze niż Wareckie. — To mówiąc Kostucha rozśmiała się, i zaczęła skakać przed Węgrzyńcem, dziwne robiąc

krygi, od ust posyłając mu pocałunki, kłaniając się, chichocząc. Janasz spuścił głowę, niby nic nie uważał, ale sposepniał widocznie. Od niego poszła żebraczka do jakiegoś chłopaka, który obracał muszkiet z obawą i niezgrabnością, zbliżyła się, pokłoniła mu i poczęła go musztrować. Chłop na widok tego dziwowiska, głowę szeroko roztworzył, a Konstancja korzystając z zagłupienia parobka, jęła mu szybko dawać nauki o strzelbie i wojaczce. — Bo ty nie wiesz, odezwała się groźnie, że ja jestem pułkownikiem regimentu Bosaków. Flinta na ramię — ale nie tak jakbyś cepisko trzymał! słyszysz nabijaj! celuj! pal! a pamiętaj serdeczny mój, jak będziesz strzelał do Szweda, to go nigdy nie bierz na cel w piersi, bo u niego żebra mosiężne, a ramiona żelazne i łeb kamienny, zawsze rychlej mierz w obwisłe brzuch i we flaki, to go zwalisz pewniusińko, bo u niego całe życie w kałdunie. Szwed też, żebyś wiedział kochanku, ma ręce słomiane. Kiedy zechce bić, nastaw mu się tyłko, a nie poczujesz razu, byle śmiało.

W tem nadszedł ksiądz Mielecki, a żebraczka ustąpiła, śmiejąc się jeszcze i powitała go: — Chociaż ja pułkownikiem jestem, a to hetman, widzisz gburze, skłoń że się jak przed wodzem.

— Ej stara! stara! że też ciebie jeszcze trzymają się żarty!

— Prawda ojczu! wzięły się mnie gdyby pijawki i puszczać nie chcą! Cóż robić aby dalej. Czołem panie hetmanie, pójdę dalej oglądać wojsko wasze.

I wywijając kijem jak muszkietem, posunęła się w podwórze ku przybywającej szlachcie. — Sługa jaśnie wielmożnego pana, odezwała się z przysadzystym ukłonem do łysogo szlachetki, który wózkiem przybył i nigdy podobno takiego tytułu nawet od ludzi swoich na wsi nie słyszał.

— Poczekaj, moja kochana, poczekaj, odparł przyjezdny, worek zapakowany, dam ci później jałmużnę.

— Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu panu, za dziesięć lat stawię się po nią.

To powiedziawszy, poskoczyła ku bramie chyżym krokiem, zaczepiając po drodze każdego o słowem, gestem, ukłonami, wymknęła się na most i znikła.

Właśnie w tej chwili znaczny pociąg i orszak liczny wjeżdżał w podwórzec; byli to ludzie i konie pana Piotra Czarneckiego, który oddawna oświadczył się Przeorowi, że gdy niebezpieczeństwo przyjdzie, i on stawić się do Częstochowej nie omieszka; jakoż dotrzymał słowa i z poczem porządnym, z zapasem dla niego potrzebnym, ściągnął do klasztoru.

Był to godny brat wielkiego Stefana; toż samo w nim mężstwo, jedna wytrwałość, jedna prostota obu; ze szlachtą i prostym ludem łagodny i miękki, serdeczny brat i ojciec, z panami czasem opryskliwy i nieco dumny, a wysoko podnoszący głowę; zresztą przedewszystkiem żołnierz, i jak żołnierz niepatrzący jutra, chętnie czyniący ofiarę z mienia i krwi własnej; wesoly zwłaszcza w boju, lubiący pracę. w spoczynku łatwo się nudził; pobożny duszą, ludzki, towarzyski i braterski, nawet z twarzy miał nieco podobieństwa do pana kasztelana Kijowskiego, tylko zawczasu obłąsiał, co mu powagi dodawało, a brodę podgalał. Strojem jego, szaraczkowy kontusz, burakowy żupan z wyszarzanej jedwabnicy, szabla stara i doświadczona na rzemiennym pasku klamrą spiętym. na głowie czapeczka ze skóry, przesywana gesto, jakiej pod hełm używano, tak że tylko na nią wdziąć żelazo, pancerz opiąć i gotów do boju. Jechał sam konno, za nim czeladzi kilku, a wozy skórąmi okryte, po cztery i pięć koni, ciągnęły prowizje potrzebne, które się w domu znalazły, a w Częstochowie przydać się mogły. Ledwie ujrzeli go księcia i rodzony jego książdz Ludwik Czarnecki, zaraz pospieszyli przybywającego witać. Książdz Mielecki znalazł się najbliżej.

— Otóż i mnie macie, rzekł wesolo z konia zsiadając i czapeczkę zdejmując pan Piotr — jak mnie widzisz, tak mnie pisz; nie wiele zdużamy, ale co po-
dołamy, to wasze, i z całego serca przychodzę dzielić z wami, jaką *Bóg* zdarzy, złą czy dobrą dołę. Ja.

trochę czeladzi do flinty sposobnej, kilka wozów rupieci, ot cały przybytek.

— *Bóg* wam zapłać waszą nad biednemi matkami litość i pomoc, która światemu miejscu przynosicie, rzekł z ukłonem ojciec Mielecki — wielki to przybytek jedno serce mężne i dwoje rąk dzielnych!

— Każcie mi tam gdzie jaki kątek dla mnie i moich ludzi wyznaczyć, odparł ściskając brata pan Czarniecki, ja tymczasem pospieszę Hetmana naszego powitać.

— Kogo? spytał ksiądz Ludwik.

— A jużciż nie kogo, tylko księdza przeora, pocziwego Kordeckiego, *henc nominatum*, bo i od korda być może, *et a corde* i pierwszym pokierować potrafi w obronie tego przybytku, a drugie ma, daj nam Boże wszystkim. Tych słów domawiał, gdy ksiądz przeor pospiesznie naprzeciw dążący, by pożądanego powitać gościa, stanął przed nim.

— Witajże nam cny obrońco Częstochowej!

— Do nóg upadam księdza przeora dobrodzieja — *paratus* jak mnie widzicie, z dłonią i szablą na usługi klasztorne się stawię. Odebrałem listy wasze, i co się zebrać mogło, w posilek przywodzę, *primo attamen se ipsum*. — A to najdroższa, bo afektu dowodzi ku świętej kraju Patronce i tym progom, i dla sług jej nęgodnych. Rozgoścież się szanowny panie w naznaczonem wam mieszkaniu, i gospodarujcie tu, jak u siebie. — *Pro primo*, ojcie dobrodzieju, gdzież jest moja cela?

— Panu Stefanowi Zamojskiemu, który dziś niechybnie ma przybyć z żoną i synem, nazaczyliśmy najobszerniejsze mieszkanie, a dla pana w klasztorze samym, za klauzurą, gościenny pokój obszerny także i wygodny.

— Mnie o ton nie idzie, ojcie mój kochany, przerwał pan Czarniecki, dziękuję wam bardzo za troskliwość, ale gościenny pokój wasz znam i przyjąć go nie mogę. Pamiętajcie, że to nie gościa i nie brata pana kasztelana mieścicie, ale żołnierza, któremu być po-

trzeba jak najbliżej murów, aby i w chwili spoczynku, ucho miał na nie i oko. Dajcie mi siaką taką ciupkę przy węgle murów, to dopiero mnie ucieszycie, bom ja tu nie przyjechał rozkoszować się ale pracować z wami i dalipan od serca.

— I z tej celi do murów niedaleko, rzekł z rozrzewnieniem przeor, zajmujcie ją proszę bardzo, gdzie indziej byłoby wam niewygodnie.

— Kto teraz, ojcze, o wygodzie myśli, byle gdzie głowę położyć na chwilę i po wszystkim; jeśli mi chcecie łaskę uczynić, lokujcież mnie jako sam proszę, przy murach, przy murach.

— Tam są tylko liche izdebki, a balas gawiedzi.

— Tegeż mi potrzeba, oko mieć będę, stawcie mnie gdzie w narożniku. — A kule szwedzkie, jeśli *Bóg* nas niemi nawiedzi? — O! znam ja grubość Częstochowskich murów i spokojny jestem o to. zresztą wszakże mi idzie, żeby być jak najbliżej kul, a zatem tak! tak! na dole w baszcie!

— Chcecie tego na prawdę? spytał Kordecki.

— Ani ustąpię od tego!

— Więc wola wasza, ojcze Ignacy każcie oczyścić izbę — czyńcie jak się wam podoba! a teraz, powiedźcież mi, jakie wieści, co słyszać?

— Stare! stare! Szwed dobywa Krakowa, już mu jednej stolicy niedosyć, może go i dostał do tych pór, rzekł z westchnieniem głębokiem pan Piotr, miałem pismo od kasztelana, źle ominuje, źle! Kraków wezmą, chodzi tylko o to, by dobre artykuły wytargować.

— Król jeszcze na Piżu?

— Dotąd i ani myśli ruszać! dokąd? z kim?

— A na nas tam nie mierzą?

— I owszem, wiem z pewnością, że lada godzina jakiś się oddział tu wybierze, naradzają się tylko (od swoich to mamy) kogo naprzód ekspedjować: zda się, że poczną od politycznych traktacji i katolika tu wysforują, byleby się tylko wkręcić, pod pozorem wzmocnienia *presidium* twierdzy. Myślę, że Wejhard podejmie się tego i pokłoni Częstochowie lisią czapką....

— Woła Boża, niech przychodzi kto chce, jesteśmy już spokojni, obraz (rzekł przeor cichuteńko) na miejscu bezpiecznem, sreberko także a my mając garść ludu i pomoc w takich mężach jak wy i pan Stefan Zamojski, opiekę w Matce naszej, nie zlekniemy się. I traktować potrafimy i bić się, *ad omnia parati*.

— Jeszcze nie przybył pan Miecznik ?

— Niema go, ale dziś być musi. Szlachta już gnana panicznym strachem gromadzi się do nas, i za to dzięki Bogu, więcej głów i więcej rąk mieć będziemy. Dzisiaj powitaliśmy pana Żegockiego, Zygmunta Moszyńskiego i kilku innych; każdy z sobą przynosi więcej niż najdroższy skarb, bo meztwo i wiarę w to, że się Czestochowa ostoi. Nawet pan Aleksander Jaroszewski z Lubidzy, żonę tu swoją pobożną a świętą niewiastę i z dziećmi przysłał, pewien ich bezpieczeństwa. I zdarzy *Bóg*, nie damy się.

— Nie damy się, powtórzył wesoło Czarniecki, oglądając po murach i po dworcach pełnych ludu krzątającego się dokoła, pełnych wrzawy, gwaru i stukotu oznajmującego wielkie przygotowania.

— A widzę, nie spicie księżę przeorze, rzekł, bo tu istotnie jak na Zamku, przybór do wojenki, aż serce rośnie. — I dziś, dzięki *Bogu*, odpowiedział ksiądz Kordecki, oczy wznosząc w niebo łzą zroszone, byleby przybył pan Miecznik, w zupełnej staniemy gotowości. Mam z górą stu sześciudziesięciu już ludzi, nie licząc nas zakonników i szlachty, która na dowódców się wybierze, nie licząc czeladzi i posługaczów klasztornych; działa na miejscach, tylko je poświęcą, kułę i prochy pod ręką, a dla rozweselenia serc frasnoliwych, *exhilarandi gratia* i kapella klasztorna swoje broń sztytuje. Bo jak poszcząc przykazał nam Chrystus twarz mieć wesołą; tak i tu ciężką a smutną spełniając powinność, pełnić ją potrzeba z twarzą rozjaśnioną. Ale tu stojemy, rzekł opamiętując się Kordecki, a ja niegościnnie gospodarz, nie proszę pana spocząć, wnijdźmy więc jeśli łaska. — Jabyśmy raczej mury chciał opatrzyć! rzekł pan Czarniecki żwawo, węża sutego kręcąc.

— No to będzie czas jeszcze, bo nieprzyjacieli, spodziewam się tak zaraz na kark uam nie spadnie. Chodźmy więc słusznego zażyć odpoczynku.

Sklonił się pan Piotr i wzięwszy pod rękę przeora, razem wsunęli się do klasztorного gmachu, gdy tymczasem ludzie i czeladź wozy odprzegali i manatki znosili do baszty, którą sobie Czarniecki obrał na mieszkanie.

IV.

Nad wieczorem przyjechał spodziewany miecznik Sieradzki, pan Stefan Zamojski, z żoną i synem, młodym chłopcem wyrostkiem, który miał imię ojcowskie Stefana. Nie należał on, jakby z nazwiska sądzić można, do rodziny Zamojskich, już podówczas ze szlachty do magnatów przechodzącej, do Jeliteczyków, potomków Florjana Szarego, których wielki Jan wwiódł za sobą na senatorskie krzesła, między familje dawniej pańskie, choć nie tyle może zasłużone co oni. Pan miecznik, z nazwiska Zamojski, całkiem innego był rodu, bo u nas ród oznaczał zawsze raczej herb niż nazwisko; on opowiadał o pochodzeniu, świadczył o krwi związku, a przyjęcie do niego było przys osobieniem do familji. Zamojscy, Sieradzcy byli herbu Poraj, a pan miecznik mieszkał w dziedzicznych dobrach Strzelczu. Jak pan Czarniecki, kasztelan Kijowski, który sam będąc przodkiem, (niestety bezdzietnym!) przestawnych dygnitarzy między antenatami nie liczył; pan Stefan był całą gębą szlachcic tylko, otóż fortunka piękna, imię uczciwe i kolligacje mogły go popchnąć i wyżej. Nie piał się on wcale na pana, woląc być sobie dobrym szlachcicem, niż lada jakim podpankiem. A był to człowiek, co w swoim wieku za typ szlachcica mógł uchodzić.

Rzekłbyś, że się urodził do konia i szabli, tak mu łatwo przychodziło wszystko, co się tknęło rycerstwa, tak od młodu, instynktowo, nim się wyuczył, już zda się umiał swoje rzemiosło wojaka; nie było konia, którego by nie dosiadł, szablicy, coby nie świstała w po-
tężnej jego dłoni, zbroi, coby mu zaciążyła na barkach.

Służył w wojsku i wyszedł z niego nie tylko żołnierzem, ale wytrawnym dowódcą; poznał wszystkie gałęzie sztuki wojkowej, namiętnie ją polubił, i długimi wieczory nie było mu księgi miłszej nad rozprawy *de re militaria*, nad traktaty o *Archelji* i tym podobne pisma. Ale zdjawszy zbroję, rolnik z niego i gospodarz wymieniony, nie na sposób pana Pawła Warszzyckiego, który w gospodarstwie grosz tylko widział, ale z potrzeby pracy, z zamięlowania wioski i roli, zresztą z obowiązku. Lud kochał i był od niego kochanym jak ojciec. A choć trzymał wszystkich w ryzie, każdy mu oddawał sprawiedliwość, że nigdy nawet pospiesznem słowem niesłusznie nie zgromił. Prawo znał także na palcach, i czyś go zaczepił z kanonicznego, czy z rzymskiego, czy z krajowego, czy nawet z Saksona, nie wywiódł go w pole lada kauzyperda. Nie lubił wprowadzić pieniactwa, bu mu święta zgoda nad wszystko była miłą, ale czuł to, że jako obywatel kraju, prawa jego znać był powinien. A w życiu codziennem, acz poważny i umiejący okazać, że znał godność swoją, przyjacielski był i miły, że się bracia szlachta Sieradzanie posiekaćby za niego dali. Miał tylko jedną wadę, jeśli się to owemi czasy wadą nazwać mogło, a z niej jeszcze u ludzi na chlubę sobie zarabiał; był wymowny, lubił sam przysłuchiwać się swoim figurom retorycznym, i chętnie może do zbytku prawil oracje, byleby się zręcznostka nadarzyła. Wymowa jego była wyszukana i najeżoną przypomnieniami, to też jej kwoli spisywał w swej księdze co tylko piękniejszego w tym rodzaju spotkać mu się trafiło. Tu był niewyczerpany, nieprzesłuchany, ale też byle chrzciny, oddawanie marcepanów, przyjmowanie panny, zamiana pierścieni, dobijano się o niego w całej Sieradzczyźnie, ba i z dalszych stron, tak mu łatwo było *ex abrupte* mowę przednią powiedzieć.

Postać malowała człowieka: ogromny, barczysty, pleczysty, silny jak żubr, z włosiem czarnym, z wąsem potężnym, podkreconym ku górze. płeć miał białą i rumianą, oko pełne a ogniste, czoło podgolone wysoko; głowę nosił do góry, chętnie w bok się ręką pod-

pierał, a kiedy kroczył to z taką powagą i z taką razem grzecznością i przymileniem, że znajomi i nieznajomi witali go czapką i uśmiechem od razu na pierwsze wejrzenie, będąc już dla niego dobrze uprzedzeni. Lubił się pięknie ubrać, i nikt nadeń w okolicy nie nosił wykwintniejszych kontuszów, taratatek, katanek, węgierek lamowanych, bramowanych, guzami i pętlicami strojnych, nikt piękniejszych nie miał czapek, szabli i siadzeń na konie i rzędów i zbroi. Bodaj sam jeden był w domu, zawsze go zastał czysto i starannie ubranym; a kiedy w pole lub na polowanie (był i myśliwy dobry), na bułanym jechał stępaku, to choć rząd był z rzemienia, ale węgierski i misterny, i było co na niego popatrzyć. Słowem i do korda, i do różańca i do tańca, i do roli i do prawa, i do szabli i do książki, pan Zamojski nic gospodarskiego nie poczytywał sobie za obce, *ad omnia paratus*, mawiał, że w naszym kraju szlachcic takim być musi, bo będąc wszystkiem, we wszystkiem sam sobie wystarczać powinien.

Takim to był pan miecznik Sieradzki, który rażno w dziedzińcu zsiadłszy z konia, otrząsnąwszy się, skierowawszy żonę, jej dwór i syna ku wskazanemu mieszkaniu, sam żywym krokiem wśród szeptów przytomnych pospieszył do klasztoru. Na pół korytarza powitali go ksiądz Ignacy Mielecki i Piotr Lassota, i tuż *stante pede* poczęły się długo trwać grożące mowy obustronne, gdy pan Piotr Czarniecki z księdzem przeorem nadchodząc je przerwali; szli także naprzeciw miecznika.

Nie mógł tak uroczystej opuścić okazji pan Zamojski, i ucałowawszy rękę dostojnego przeora, rozpoczął *ore fucundo* przywitanie, kto wie czy trochę w drodze nie przygotowane?....

— *Stat sua cuique dies*, przewielebny przeorze dobrodzieju! na mnie też przyszedł szczęśliwy dzień, w którym na rozkazy wasze do obrony tego miejsca świętego przybywam i staje *clam et aperte, directe vel indirecte* walczyć gotów. *Cum sua non insaniat hosti-*

litate Szwed jeszcze, czas właśnie *durum contra durum* postawić przeciw napastnikowi zawziętemu mężtwo niepokonane. *Dies albo notanda lapillo*, dzień szczęśliwy mi i pamiętny, w którym w szeregi obrońców tego miejsca *totum per orbem* wslawionego, zapisać się mogę. *Adsum*, ojciec przewielebny, acz czuję że wzywając mnie, wielki zaszczyt małemu uczyniłeś człowiekowi. Za jedno tylko zaręczyć i poprzysiądz mogę, że jeśli się *Bogu* podoba powołać nas *ad arma*; *pallor in ore*, *mucies in corpore* nie postaną. a mężtwo pobożność, krzepić i umacniać będzie. Tak jest, *si totis campis fulcerint hostium signa*, my z garścią *inpavidi* stanimy przeciwko nim, a głos twój przewielebny przeorze będzie nam *sax et tuba* do szczęśliwej wiktoryi i tryumfów. *Tempus erit nec enim me fallunt omina quando*.

Byłby mówił dłużej zapewne, ale ksiądz Kordecki widząc już na co się to zanosz, uściśkał go zaraz, zagadał i zapoznał z panem Czarnieckim. To poznanie o mało nowej nie spowodowało oracji, bo pan miecznik sławnego kasztelana Kijowskiego chciał godnie powitać i począł już:

— Kogoż to oglądają szczęśliwe oczy moje?...

Ale mu nie dano dokończyć, wmieszali się przytomni, i na chwilę markotnego z przerwanego wylewu elokwencji wiedziono do przeorskiej celi, gdzie lekki posiłek wieczorny był już przygotowany. Nie wszyscy zebrali się tu goście, kilku tylko przedniejszych, resztę zaś ojciec podprzeor i inni traktowali w refektarzu popufalej i dla nich samych milej, bo jakkolwiek wszyscy byli bracia szlachta, ale panowie Zamojski i Czarniecki jeśli nie *re to nomine* trochę imponowali.

V.

Dzień ósmy Listopada upłynął na zwyczajnych modlitwach i krzątaniu się w klasztorze; wątpliwości już najmniejszej nie zostawało, że Szwedzi rzucić nie ze-

chęą Częstochowej leżącej im na drodze, i zostawić niezajętą; wiedzano że się o nią pokuszą niechybnie. Od okolicznej szlachty i przyjaznych sobie panów, księ-
ża co chwila prawie, dopóki drogi jeszcze przecięte nie
były, odbierali wiadomości coraz bardziej zatrważające.
Większa część radziła wcale się nie opierać, i wytar-
gowawszy tylko całość i bezpieczeństwo świętego miej-
sca, wpuścić tu szwedzką załogę. Zdawało się bowiem
wielu niepodobieństwem utrzymać w tej małej twier-
dzy, gdy stolica i znaczniejsze grody opanowane już
były. Z całej Polski w tej chwili jeden tylko niewielki
kawałek Podgórza pozostał wolny jeszcze od najazdu,
a i tu, choć nie było nieprzyjaciela, napaści na dwory,
rabunki i rozprzężenie się społecznego porządku co chwila
stawało straszniejszem. Mało było ludzi, co nie wierząc
w ostateczną zgubę, mieli jeszcze jakiegokolwiek nadzieje
i wyglądali spełnienia ich, to od wojsk z pod Wojnicza,
to od nowego Chana, to od Elektora Brandeburskiego.
Zimniejsi i rachujący po ludzku ostateczny już przewi-
dywali upadek Polski, i jedyny dźwignienia się środek
widzieli w Karolu Gustawie, od niego wyglądając oswo-
bodzenia prowincyj Saskich i Litwy.

Goniec przybył do pzeora dniem wprzódzy zwiasto-
wał wreszcie, że już Szwedzi ku Częstochowie są w dro-
dze. List przez nieznanego przyjaciela pisany dokła-
dnie objaśniał, że Wittemberg najwięcej podobno dla
sreber klasztornych, z których dla ujęcia sobie wojska
polskiego bić chciano monetę na gotowe Kazimierz-
wskie stęple, polecił zająć Jasną-górę. Wyznaczony był
do tego bliski podobno krewny wodza naczelnego Je-
nerał-leitnant Burchard Miller; lecz że się nie spo-
dziewano wcale, iżby mnisi pomyśleli nawet o oporze,
wyprawiono przodem z Wielunia część oddziału z Janem
hrabią Weihardem Wrzeszczewicz, Czechem z rodu,
katolikiem, i Sewerynem z Kałi Kalińskim, starostą
Bacławskim, pułkownikiem polskim. Ci mieli, jako
katolicy, łatwiejszy przystęp otrzymać do twierdzy i
Szwedom utorować drogę.— Wejhard prowadził z sobą
około dwóch tysięcy ludzi i kilka małych działek po-

lowych, które po jesiennych rozbłoconych drogach z trudnością się wlokły.

Z klasztoru Wieluńskiego, z wieścią o wystąpieniu jego w pole wysłany mieszczanin, stanął w Częstochwie. dzikie płotąc rzeczy i postrach niosąc z sobą, ale mu tu długo gościć i popłoch rozsiewać między załogą nie dano. Przeor zresztą, Zamojski i Czarnecki gotowi byli na wszystko, prócz poddania się. — Naczelnik tego pierwszego oddziału szwedzkiego, hrabia Wejhard był, jakeśmy już mówili, katolikiem, znali go zakonnicy z dawniejszej jego pielgrzymki na miejsce święte i darów uczynionych świętemu obrazowi, ale teraz inny to wcale stał się człowiek. — Wejhard był awanturnikiem i długo losu szukał po świecie, nim go sobie u Szwedów znalazł; wódz-najemnik, jakich wielu w XVII. wieku wędrowało się po europejskich dworach, z trochę talentu wojskowego a wielkiem rozumieniem o sobie, nadęty pochodzeniem, o którym wysoko trzymał, przebiegł był wprzódby mnogie krainy, ofiarując swe posługi nadaremnie nie jednemu z monarchów. Był to człowiek miłej powierzchowności, postawy pięknej, wychowany starannie i z rzemiosła swego wielojęzyczny, bo tułając się po świecie nauczył się po łacinie, po niemiecku, po włosku, (po czesku mówił z dzieciństwa,) po polsku nawet umiał trochę, lecz tym językiem nie mówił; wżgardę dla niego okazując. W obejściu wielki pan, ujmujący i słodki, lub wżgardliwie dumny, za drzwiami łatwo sztydził z tych, którym się kłaniał przed chwilą i grzeczności sypał, i na słowo jego w najmniejszej rzeczy polegać nie było można. Wiara jego jak język, jak wszystko co wdziawał na siebie, tylko dla okoliczności, była mu środkiem, była płaszczem, nigdy przekonaniem, ni prawem. Jakiś czas bawiąc w Polsce, bo dzierzawił Wielickie kopalnie w nadziei wielkich zysków, które go tu ominęły, okazywał się zrazu przyjacielem Polaków i gorliwym katolikiem dla przypodobania im. Nikt też wówczas w większej nie żył przyjaźni z mnichami nad niego, nikt głośniejszemu czołemu nie uderzał przed Częstochowską Najświętszą Panną. Choć

z rzemiosła żołnierz, lepszym był jednak dworakiem i dyplomata, i dla tego przodem go wysłano, spodziewając się, że łatwo dawniej znajomych mnichów skłoni do poddania się, malując im wymownie a zręcznie potęgę szwedzką, i strasząc zniszczeniem, a z drugiej strony złote obiecując góry. Wrzeszczewiczowi samemu zdawało się, że jego argumentom i wymowie księży się oprzeć nie potrafią. Goszcząc w Polsce lat kilka, gdy nie tu otrzymać dla siebie nie potrafił, w spekulacjach się zawiódł, a podobno na farbowanych jego lisach, choć dobrze je nbarwil, poznało się, rzucił się był szukać szczęścia u Rakuskiego dworu. Tu w ognisku ciągłych praktyk przeciwko Polsce chciał być użytecznym. ale mu widać nie dowierzano, bo niedługo popasał, a widząc że nic nie zyska, rzucił się do Konstantynopola. Wiele tak naówczas francuskich i niemieckich błędnych rycerzy, uosąc miecz i głowę do najęcia, kręciło się, a z rozpaczyny wreszcie rzucało się do Turka na nauczycieli niewiernych przeciwko własnej braci. Hrabia poszedł ich drogą, ale i tu mu się nie lepiej poszczęściło, zajechawszy szumno i głośno, obiecując wiele ze swej znajomości kraju polskiego, na który rad był prowadzić wojska sultańskie, gdy rozpatrzył się, iż go wielki wezyr niechętnie słucha, i ni tem ni owem zbywa, a o łamaniu traktatów wcale nie myślał. i gdy sprzedać się nie potrafił, bo mu nawet zhisurmanienia nie projektowano, zakręcił się i nazad powrócił. Zajątrzony przeciwko Polsce, w której był gościnnie i ludzko, ale z niejaką nieufnością i ostrożnością przyjęty; pojechał nazad do Austrii, a zasłyszawszy o nowym królu szwedzkim i abdykacji Krystyny, rzucił się tam dmuchać wojnę. Można sobie wyobrazić, jak go tu mile przyjęto, gdy się zetknął z zaciętym panem podkanclerzym; poznali się, zrozumieli, ocenili i pojęli zaraz, jak jeden drugiemu użytecznym być może. Wejhard, już doświadczony, potakiwał niezmordowanie Radziejowskiemu. Radziejowski podnosił pod niebiosą Wejharda, a Karol Gustaw wychodząc na Polskę, wziął go z sobą i dał mu nad jednym oddziałem dowództwo.

Umysł żywy, ładna wymowa, dworski polor, ochotne przyjaźni zawieranie, zręczność w prowadzeniu powierzonych mu spraw, a nadewszystko niechęć i wzgarda ku Polsce (piszą współcześni), nieprzyjaźń dla domu Austriackiego, zjednały mu łaski, znaczenia i wziętość.

Towarzysz jego, Seweryn z Kali Kaliński, starosta Bracławski, podpanek dumny, napuszony a goły, z bojaźni gotów nie tylko Szwedowi, ale Turkowi służyć; dla wzniesienia się, powiększenia swojego znaczenia lub z bogacenia, nie liczący ofiar, wielki niby bicz na wady narodowe i deklamator przeciwko zepsuciu, którego był najohydniej zgniłym owocem, plwający nieustannie na gniazdo swoje i karcący wszystkich surowo, choć sam najnikczemniej postępował, z nieprzyjacielem dla jednej bojaźni i chciwości się wiążąc; gorliwy stronnik Szwedów dla tego że Szwedzi byli silniejsi, dziś poddany Kazimierza, jutro Karola Gustawa, pozajutro może zwolennik chętny Rakuskiego domu, nie wiem czyją, może samego szatana utrzymywał stronę, gdyby się bardzo zląkł, lub wiele na tem zarobił, byle się podłością wykupić od strachu, lub wyżebrać datek i tytułik. Nic go nie kosztowały zmiany barwy, ale w tej chwili był to gorący, namietny, zapamiętały aż do szału, wymowny i natchniony przyjaciel Radziejowskiego, któremu wespół z Wejhardem pochlebiał. Że wiele mówił, głośno krzyczał, napadał gwałtownie i miał dla słabych postać groźną i zastraszącą; że kłamał łatwo, że mu słowa nie zabrakło nigdy, ani o przysięgę było trudno; że wreszcie wiadano dobrze, iż nie pytając przekonania robi co mu każą; obrano go za towarzysza Wejhardowi. Hrabia miał kierować, Kaliński posłuszny kierownikowi, krzyczeć i przekonywać, ten był głową, ów ustami, reszty groźny zastęp, huk, hałas i harmider miał dokonać.

Wychodząc z Wielunia, tak się Szwedzi rozrachowali, nie sądząc żeby o nich w Częstochowie wiadano, aby w nocy stanąć pod murami, natrzeć, huknąć, nastraszyć, nie dać się opamiętać, z jednej strony zagrozić ogromnie, z drugiej wiele przyrzekać, wsunąć się

do Jasnej-Góry w płaszczu przyjaciół katolików i wrota jej otworzyć Millerowi. Naówczas owi katolicy mieli się z niedotrzymania paktów wymawiać, zwałając wszystko na protestanta, i ubolewając żarliwie nad niespodzianym wypadkiem, powoła wysunąć.

Ale zawiodły ich fałszywe rachuby, bo siódmego Listopada już ksiądz Kordecki dokładną miał wiadomość nie tylko siły jaka wyszła z Wielunia, wódzów i ich zamiarów, ale nawet godziny mniej więcej o której przyjść mogą; wiedział o całym ich ciągnięciu po nad granicą Szląska, o stanowisku w Krzepicach, o przybyciu do Kłobucka.

Pozornie spał klasztor, światła były pogaszone, na jednej tylko wysokiej wieży płonął kaganiec jak gwiazda wieczorna na niebie pochmurnem. Ciemności ogarniały górę, twierdzę i miasto, nigdzie głosu ludzkiego, żadnych na pozór przygotowań, ani człowieka na murach, ani do koła straży, rzekłbyś że mnisi ani się spodziewali odwiedzin.

Ale wewnątrz wszystko co żyło na nogach, ksiądz przeor modlił się w swojej celi. Zamojski szykował łud u bramy, na którą szczególną zwrócono bacność, Czarniecki obchodził mury z maleńką łatarką, zaglądając wszędzie, rozpatrując wszystko; zakazano głośno odzywać się z hasłem, chodzić z ogniem i mówić nawet donośniej. Szlachta schroniona w klasztorze, której jeszcze nie potrzebowano, o niczem nie wiedziała. Gęsty mrok pokrywał okolicę całą, cisza przerywana tylko wichrem jesiennym, rozlegała się szeroko po dolinach i wzgórzach; z klasztoru ani dźwięku, ani głosu, ale przysłuchawszy się bacznie, podszedłszy bliżej, dochodziły ucha to chrzęsty zbroi, to stąpania okutych w żelaza żołnierzy, to brzęk stłumiony podejmowanej broni. Na drodze od Kłobucka wiodącej, powoźnie po rozlazłem a gęstem błocie sunął się oddział żołnierza szwedzkiego z piechoty i jazdy złożony, wiodąc za sobą pracowicie, co chwila grzążące działa; na czele jego jechali Wejhard i Kaliński, pierwszy wesół i szyderski, bo pewien powodzenia i wypływających z niego korzyści, drugi

zbyt wielki dworak i wprawny pochlebnik, by mu gorliwie humorem nawet potakiwać nie miał.

Przed nimi na jaśniejszem nieco niebie widać było już czerniejącą górę i wyseko wspiętą wieżycę, na której błyskało światelko; klasztor i mury pogrążone były w ciemności, ognie w nich zdawały pogaszone, brama rzucona bez straży, żywej duszy w okolicy.

— Patrz-no panie pułkowniku, odezwał się Wejhard śmiejąc i zacierając ręce, dziś jeszcze przenocujemy w Częstochowie i napijemy się starego miodku księży Paulinów, nigdzie nie widać żadnego przygotowania, tem lepiej! Podejźmy w cichości, potem nagle wpadniemy z wrzaskiem i krzykiem, opanujemy bramę i twierdza nasza!

— Niechybnie! dodał Kaliński, śmieliżby się opierać mnisi zwyczajem po całej Polsce wojskom Karola Gustawa? To być nie może, chybaby poszaleli. Święty Boże nie pomoże, muszą się poddać i nas wpuścić.

— A klasztor bogaty, rzekł Wrzeszczewic, widziałem go w środku, żyją w nim sobie jak panowie, jak opaci, opasli, brzuchy ogromne, twarze rumiane, opływają w dostatki. Wittenberg pożywi się nie mało — dodał ciszej — ale na to wojna! a Panu Bogu złoto i srebro niepotrzebne.

— Tak! dodał Kaliński pokaszlując, jest to zapewne ofiara, ale ją Polska uczyni chętnie dla swego zbawcy Karola Gustawa, w nim jedyna nadzieja nasza. — Wielki król! wielki wojownik! ale tsyt! cicho! oto się zbliżamy! baczność, zaraz zagra w uszy zakonnikom muzyka nasza i przebudzi ich *larum*. I wezwawszy młodego oficera, wydał mu rozkazy śmiejąc się w najlepszym humorze. Zbliżali się pod mury szukając bramy, chciano bowiem zrazu natrzeć na nią w tej pewnością, że wrota nie zaparte, może i wcale nie strzeżone zastaną. Myśl przerażenia mnichów, wyobrażenie popłochu jaki uczyni, uniżeń z jakimi przyjmować będą zwycięzcę, może podarków, którymi go uczcić będą musieli, rozpromieniała twarz Wejharda, który w tej wojnie nic jeszcze sam przez się dokonać nie mógł.

Byłby to pierwszy jego tryumf; rachował nań jakby go miał w kieszeni i nie czując ani wilgotnego deszczu który kropił, ani chłodu którym wicher twarz mu chłostał, pośpieszał niecierpliwy ku twierdzy, zacinając konia chrapiącego i spinającego się niechętnie ku górze.

— Cha! cha! sucho śmiejąc się, rzekł zwrócony do nieodstępnego Kalińskiego, co za niespodzianka mniichów spotka.

W tej chwili zbliżali się do pierwszych wrot i mostu, i nagle wśród ciszy głębokiej, wśród uroczystego nocy milczenia, jak piorun rozległ się wrzask trąb, huk kotłów, okrzyk żołdactwa, wystrzały; jazda skoczyła szybko przodem do mostu, most był zwiedziony, brama zawarta.

Wejhard uśmiechał się jeszcze kręcąc węża, Kaliński milczał.

— Bramy zaparte! przybiegł oznajmić starszy od jazdy.

— Jakto? a zwód?

— Podniesiony.

— A straż jest?

— Żadnej dotąd nie widać.

Tymczasem wrzask, huk i wystrzały na wiatr coraz silniej wzmagaly i zdawały wstrząsać milczącym klasztorem. Wejhard spinał konia ostrogami, chcąc wybiec naprzód; gdy spłoszony wierzchowiec uskoczył w bok nagle sapiąc i stulając uszy — jakaś postać wysoka, chuda, dziwna jak zjawisko z pod kopyt prawie końskich dzwignęła się i podniosła.

— Co to jest? kto tam? kto? stój! stój! zawołali bliżsi żołnierze.

— Stój lub śmierć! jeden z nich śmielszy zbliżył się i chwycił widmo. dobywano już ognia, aby mu się z bliska przypatrzeć.

Rozpalona latarka, gdy ją podniesiono do góry, ukazała wychudłą żebraczkę, która trzymając się za boki, śmiała się do rozpuku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekła z ukłonem; a! jakże się mają jaśnie wielmożni pano-

wie? szkoda, późno już na nabożeństwo, furta zamknięta, kościół także; poznaję jasnie wielmożnych panów, jak Boga kocham! poznaję; oto pan hetman, a to pan chorąży. Zkądże to Pan Bóg prowadzi? złe drogi! złe drogi, deszcz leje, a w dodatku i wrota zaparte. Ale to nic, zaraz każemy otworzyć i prosimy do środka....

To mówiąc chciała uskoczyć, ale ją żołnierz za kołnierz przytrzymał.

— Stój! wołał Kaliński, stój babo! mów lub zginiysz, co się dzieje w klasztorze?

— A! zdrów ksiądz przeor — zdrów, chwala Bogu, i ksiądz Ignacy, i ojciec Benedykt, i ksiądz Marcelli, wszyscy zdrowi. Matka Boska króluje, anieli śpiewają, św. Paweł po murach chodzi....

— To warjatka, od niej się niczego nie dowiemy, zawołał Kaliński, puśćcie ją.

— Strzelać i trąbić! komenderował Wejhard, żywa dusza się nie ukazuje, walić do bramy, jużciż się ktośkolwiek odezwać musi, i żywo!

Ale nierychło odsunięto okienko nad furta, błysło światelko i Wejhard kazał zaraz strzelania na wiatr poprzestać, gdy głos od bramy spytał:

— W Imie Boże, cóż to jest za wrzawa i napaść nocna?

— A przecież głos ludzki! Kaliński rozmów się z niemi. Pułkownik popędził ku brzegowi mostu zwieźdzonego.

— Powiedźcie, rzekł donośnie do furtjana, że przechodzący oddział wojsk króla Jmości szwedzkiego Karola Gustawa domaga się, aby mu niezwłocznie wrota otworzone zostały.

— Kto dowodzi oddziałem? — spytano od bramy.

— Jan hrabia Wejhard.

Światło znikło, głos umilkł, a dowódcy dobry kawał czasu stali na deszczu, nim się znowu do nich odezwano.

— Częstochowa nie uznaje iunej władzy i króla nad najjaśniejszego Jana Kazimierza, o królu Gustawie nie

wie jakimby prawem mógł żądać posłuszeństwa i załogi jego nie potrzebuje.

Wejhard usłyszawszy to, im pewniejszy był skutku, tem się ogromnie gniewem zapalił.

— A trutnie! krzyknął po niemiecku, jeśli nie chcecie bym was z ogniem puścił, zaraz mi bramy otwierać!

— Bram nie otworzym! — odpowiedziano krótko.

— Proszę wpuścić posła do klasztoru! odezwał się Kaliński, i obracając się do Wejharda szepnął:

— Wszystko to nic, pójdę sam i zaraz te rzeczy ułatwię.

— Dobrze, a prędko pułkowniku, bo deszcz moczy i późno się robi — odparł Czech obwijając się płaszczem.

W chwilę potem po rzuconej mu kładce Kaliński musiał, nie bez strachu przebywszy fosę, wąską furtą dostawić się do wnętrza bramy. Tu zupełną zastał ciemność i natychmiast mimo protestacji zawiązano mu oczy, wzięto go pod ręce, i szybkim krokiem prowadzono dalej przez bramy i podwórce, potem w gmachy jakieś, gdzie nareszcie odsłonięto mu twarz i ujrzał się w celi klasztornej oświeconej rzesisto, w obec kilku mnichów stojących i patrzących nań w milczeniu. Kordecki poważny, zamyślony, surowy, stał na czele.

Kaliński uczuł się nieco wzruszonym, ale prędko zuchwałą mowę odzyskał, potoczył okiem po starcach bezsilnych, zdało mu się, że widzi na ich twarzach przełknięcie, i głośno, rzucając wzrok groźny z pod brwi zmarszczonej, zawołał:

— Czemu nie otwieracie bramy?

— Komuż to i z czyjego rozkazu? spytał bardzo powolnie przeor.

— Przyszliśmy z hrabią Wejhardem zająć Częstochowę w imieniu J. K. M. Karola Gustawa.

— My Karola Gustawa nie znamy! odparł Kordecki przebijając różaniec.

— Cóż to za mowa?! wiecie na co się narażacie takim zuchwalstwem? ciągnął dalej starosta Braclawski, kraj cały poddał się już Szwedom. Warszawa wzięta, miasta opanowane; jeśli najmniejszą rzeczą sprzeciwi-

cie się nam, cztery tysiące żołnierza skoczy na mury, was, kościół, klasztor i majątności klasztorne z dymem puści.

— Wola *Boża*, odparł niewzruszony wcale Kordecki z westchnieniem, i wpatrując się pilno w twarz starosty, dodał: Panie starosto Braclawski, wam-że to, katolikowi, Polakowi, na święte miejsce, na przybytek Matki Boskiej, w nocy jak nieprzyjacielowi napadać, słabym a bezbronnym grozić mnichom, poczynąć wrzawę i pożarem straszyć? wam-że to, co byście bronić nas powinni, stawać z orężem przeciwko matce własnej?

Twarcz Kalińskiego na przelotną chwilę oblała się płomieniem wstydu, ale ten srom dodał mu tylko zachwalstwa gdy do siebie przyszedł.

— Właśnie, rzekł dumnie, że ja i hrabia Wejhard jesteśmy katolicy. że czcimy ten obraz i chcemy miejscu świętemu zapewnić bezpieczeństwo, pospieszyliśmy przodem, by je przed protestantami zająć, i jeśli nie posłuchacie zdrowej rady, gotowiśmy nawet użyć siły. Mamy z sobą cztery tysiące ludzi, napróżnobyscie myśleli nawet się opierać, sroższą tylko klęskę gotując sobie. Tu nie ma co myśleć, dodał, poddać się natychmiast i wrota otworzyć.

Książd Kordecki boleśnie się na to uśmiechnął.

— Panie starosto, rzekł, nie wiem czy z wielkiego nabożeństwa tak hałaśnie i wrzawliwie napadliście ołtarz Matki Boskiej i jej sługi, ale to pewna, że choćby dla okazania, iż u stóp Jej nikogo się nie lękamy, wrót nie otworzym....

— Musicie! zawołał Kaliński, uderzając nogą o podłogę, ręką w stół — musicie, lub....

— Gdy będziemy musieli uczynim to, odpowiedział przeor powolnie, ale dotąd nie widzim się jeszcze zmuszeni.

— Chcecie więc pożaru? chcecie zniszczenia? chcecie krwi przelewu? Gdy żołnierz szwedzki siłą się tu dostanie, ja za nic nie ręczę.

— *Bóg* nas ochroni.

— Cóż to! myślicie sami jedni, trzymać się jeszcze wygnańca?

Nie myśląc na to odpowiadać Kordecki, odparł tylko:

— Nie chcemy wcale wojny; Bóg służymy i wiedzieć nawet o niej nie pragniemy, nie zaczepiamy nikogo. zostawcie nas w pokoju.

— Dla waszego dobra, potrzebna jest załoga, tu chodzi o Obraz święty, o miejsce święte!

— Osobliwsza zaiste gorliwość wasza! cicho westchnął przeor.

— Przyjdą, kończył zapalczywie Kaliński, przyjdą niekatolicy, Szwedzi, hałastra zbierana z całego świata, Prusacy, Kalwini, Lutrzy i zniszczą was ze szczerem. My was tylko ocalić chcemy.

— Dziękujemy pokornie za tę gorliwość! w łasce Bożej ufanie nasze, Bóg nas nie opuści!

Zniecierpliwiony Starosta, odwrócił się żywo:

— A więc! rzekł — chcecie wojny, chcecie ruin, będziecie mieli.

— Nie chcemy! nie! pokornie zawsze rzekł Kordecki, nie nasza to rzecz wcale, odłóżcie przynajmniej traktowanie do jutra, dziś noc, godzina północnego chóru się zbliża, czas modlitwy, rano stósowniej będzie o tem pomówić.

Groźnie spojrzął pan Starosta i szydersko się uśmiechnął, pewien już będąc, że klasztor ma w ręku.

— Ha! dobrze, dajemy wam frysztu do jutra! zawołał, nie rozpoczniemy kroków wojennych, ale jutro się spieszcie, bo hrabia Wejhard długo czekać nie będzie. Jakkolwiek wielką mam nad nim przewagę, wstrzymać go nie potrafię. Jeśli nie usłuchacie mnie, i wy, i z wami ci co tu są, i majątności klasztorne przepadną. — Pamiętajcie!

To mówiąc, odwrócił się do wyjścia, gdy przeor poprosił go na posiłek wieczorny, ale Starosta odmówił, i szybko, zajęty całym tem, jak przed Wejhardem ufarbuje odłożone do jutra traktowanie, wyszedł za drzwi.

Gdy powracającego postrzegł hrabia, zniepokojony oczekiwaniem i miotający się na koniu, zdaleka zaraz zawołał:

— A co pułkowniku, otwierają bramy?

— Zaraz, zaraz, opowiem wszystko, szukając słów jak najtrafniejszych, rzekł Kaliński: — Mnisi mocno przelęknięci proszą się do jutra, błagają by im tę noc darować, a potem przystąpią do traktowania. Niesposób było nalegać.... chociaż...

Wejhard z przekleństwem dobitnem zawrócił konia i rzucił rozkaz szukania miejsca do noclegu; wojsko powolnie pociągnęło się ku kościółkowi św. Barbary i gmachom nowicjatu pod górą.

Kaliński gadał wiele, tłumaczył się, opisywał, drwił, ale Wejharda chmurnego rozruszać nie potrafił. Czech pochmurny jak noc, mruczając coś pod nosem, jechał na obrane stanowisko.

VI.

Nazajutrz, zaledwie ranek posepny po dżdżystej nocy okolicę rozświetlił; z dziwnymi uczuciami zawiedzionych nadziei, niecierpliwości, gniewu, powstał z obozowego łóża Wrzeszczewicz i spojrzał okiem posepnem na mury twierdzy niedaleko się wznoszące. Stały one ludem nie okryte, na oko bezbronne, nie najeżone orężem, nie ożywione żadnym ruchem, ze swą wysoką wieżycą, z niememi jeszcze basztami, przeciwko Szwedom, którzy lekce sobie wążąc niewielką twierdzę, wcześniej się już w myśli rozmieszczali tu i rozgospodarowywali.

Ledwie ocknąwszy się, spytał zaraz Wejhard o posłów klasztornych, a Kaliński poskoczył oznajmić, że już ich ujrzano idących ku domowi nowicjatu, w którym była dowódcy kwatera, i w około którego rozłożył się obóz omackiem na prędce. Z niecierpliwością

źle nkrywaną, oczekiwali wysłanych, oba dowódcy, obiecując sobie skoro obejmą Częstochowę, pomścić na mnichach, za zuchwałe nieposłuszeństwo pierwszym rozkazom.

Gdy żołnierz od straży doniósł, że dwaj Paulini przybyli; Wrzeszczewic jakkolwiek niecierpliwy, sam już wyczekawszy się na nich, kazał nieco wstrzymać księży i czekać im w podwórzu na wilgoci i słońcu. Widać było z okna, jak zakapturzeni mnisi sparli się o mur i otoczeni żołdactwem, wśród głośnych szyderstw gawiedzi, z zimną krwią i łagodną twarzą, znieśli to wymyślne męczeństwo słów, na które nawet odpowiednie wzbraniał im charakter kapłański.

Nareszcie wezwano ich przed wodza.

Posłani od księdza przeora byli: ksiądz Benedykt Jaraczewski i Marcelli Tomicki, oba wytrawni, mężni, pokorni, cierpliwi, a duchem mocni; pierwszy wprawny do mówienia kilką językami, drugi łacinnik, szczególnie umysłu żywego, nie dającego się pożyć łatwo ani argumentami, ani strachem.

Gdy stanęli przed gniewnym Wejhardem, nie wiedział z początku jak sobie postąpić, czy zrazu gniewać się i rzucać, czy traktować chytrze a łagodnie; znać było w błysku oczów jego, chwilę tej niepewności, która szybko minęła i wódz przybrał ton wyższości, państwa i powagi szyderskiej niekiedy, niekiedy protekcyjnalnej, starając się utrzymać na wyżynie, którą zajął sobie na stanowisko tego boju.

Ksiądz Benedykt postąpił kilka kroków, skłonił się poważnie i począł:

— Nie możemy wyjść z podziwienia, jaśnie wielmożny panie, i oczom własnym niedowierzamy, widząc cię tutaj i przekonywając się, że was a nie kogo innego oglądamy sprawcą wczorajszej napaści nocnej. Mielśmy prawo widzieć w tobie panie, opiekuna, obrońcę, czciciela tej Matki Bożej obrazu, do którego stóp przybywałeś niegdyś z modlitwą wcale innej postaci. — Godziłoż się nocą, najeżdżać to miejsce, szturmować do bram przybytku, wrzawą usiłować nas zastraszyć.

i pod obrazem cudownym krzyki żołdactwa sprośne rozpuścić?...

— Co się stało, przerwał Wejhard — to się stało, i nie myślę, bym za to w sumieniu mojem odpowiadał; uczyniłem to dla własnego waszego dobra. Nie taję, że chcę i muszę zająć Częstochowę. Czyż nie wiecie jeszcze co się dzieje i co was otacza, dodał z uśmiechem, poddanie wasze nieuchronne, dziś, jutro, nastąpić musi, taka jest wola Karola Gustawa. Jako protektor klasztoru, jako przyjaciel wasz, muszę strzedz byście w gorsze nie popadli ręce. Spieszyłem, pędziłem, dla waszego dobra tylko...

Ksiądz Benedykt osłupiały zamilkł na chwilę.

— Ależ, rzekł powolnie, my wcale nie widzimy konieczności i musu poddania się komukolwiek; mnisi, modlimy się, chwalim Boga, pilnujemy miejsca, które nam powierzone zostało...

— A którego nie obronicie, dorzucił Kaliński. Wejhard wzrokiem nakazał mu milczenie i sam dalej mówił łagodnie:

— Nie tajno wam, ojcowie, że zawsze miał cześć dla świętego miejsca, że was i zakon wasz miłował szczególnie, że was wspomagał nawet i wspierał, o czembym nie wspomniał, gdyby nie dzisiejsza okoliczność, która mnie to wymienić dla opamiętania waszego zmusza. Bądźcie pewni, że nowe okoliczności wcale starego przyjaciela nie odmieniły. Przychodzę może w postaci wroga, ale w istocie jako przyjaciel i obrońca. Nie lękajcie się, zaufajcie mi, zdajcie natychmiast klasztor. Czasy dzisiejsze i obrót, jaki rzeczy wzięły w całej Polsce, radzą wam to dla spokoju i bezpieczeństwa waszego. Zaręczam wam za całość wszystkiego, nic od was nie żądam, owszem sam jeszcze was wspomódz będę się starał.

— Panie, rzekł ksiądz Jaraczewski, dziękujemy ci za te wyrazy, ale my podobno lepiej z natchnienia Bożego widzimy, co czynić wypada, zostaw nas losowi.

— Chcecie więc zginać? za mną sroższa idzie burza, Generał Lejtnant Miller, protestant, zmierza tu, nie

prosić was, ale opanować siłą zamek; a wiecie co przy zdobyciu umie żołnierz rozjuszony, co może fanatyzmem ikonoklasty natchniony heretyk; ani was, ani miejsca, ani obrazu nawet ocalić nie będziecie mieli środka, jeśli nie uczynicie zaraz co radzę. Boję się, byście potem z bólem serca nie skarżyli się na mnie, żem was do poddania nie zmusił.

— Na Boga i na wiarę waszą zaklinamy cię panie, przerwał Tomicki, na tę wiarę świętą katolicką, której jesteś wyznawcą, zostaw nas w pokoju, nie zmieniaj dawnej swej dla klasztoru łaskawości.

— To są słowa, odparł żywiej hrabia, słów słuchać nie będę, to próżno, idźcie raz jeszcze i odnieście przeorowi radę moją, powtórzcie mu co powiedziałem i wracajcie z rozkazem otwarcia bram natychmiast: ręczę za całość wszystkiego — ani włos z głowy nie spadnie nikomu — ani słomka jedna z zapasów waszych nie przepadnie — inaczej, wiecie co was czeka. Idźcie, dodał — idźcie i mówcie stanowczo, lub za nic nie ręczę potem.

Tu pożegnał postów, ręką wskazując im na drzwi, a zakonnicy wyszli ścigani oczyma w milczeniu smutnem, i przebywszy znowu szeregi żołnierzy, które śmiechem przeprowadziły ich pod górę, pospieszyli do klasztoru.

U bramy czekali na nich wszyscy ciekawi skutku poselstwa, w małej izdebce księdza furtjana posiadawszy na zydelkach. Znaleźli tu przeora, Zamojskiego, Czarnieckiego, Moszyńskiego i kilku zakonników. Wszyscy niecierpliwie wyglądali wysłanych z powrotem, jeden ksiądz Kordecki milczący, ale pogodnego oblicza, najmniej wzruszony, najspokojniej, najobojętniej na oko, przyjął przybywających, jakby z góry wiedział, co mu przyniosą.

Wnet zarzucono ich gradem pytań, na których mnogość w pierwszej chwili zamilkli, a gdy się uciszyło nieco, rzekł ksiądz Jaraczewski z czem ich odesłano, i wkrótce całą swą bytność opowiedział.

Przeor ani się zdumiał, ani zastraszył, ani niecierpliwił; przyjął to dosyć zimno.

— Takem się spodziewał — rzekł widząc wszystkich wejrzenia na siebie zwrócone i zdania jego wyglądające. Gdyby o nas tylko szło, odpowiedziałbym hrabiemu jeszcze pokorną prośbą i stałą odmową. ale tu i o panów także chodzi, dodał, wskazując Zamojskiego i szlachtę, a więc radźcie, zbierzmy się, pomódlmy, i powiecie, co też, wedle was, czynić nam wypada?

— Zbierać się! radzić! zakrzyknął Czarniecki, niema czego i po co, ot ta ciupka i ta nasza kupka, wcale dostateczne na wojenne *consilium*: nie puszczać Szweda i kwita. Obiecywać mu łatwo, bo czegoż nie przyrzekał już i czego nam nie ofiaruje, ale u niego zawsze zdrada pod jedwabnymi słowy, daj tylko kurze grzędę. Pięknie śpiewa sam Wejhard, a czemuż wczora tak nie pięknie wpadł i zdradą chciał ubiedz święte miejsce, z hałasem, z wrzawą i jakby gospodę nachodził.

— Co tu radzić! co tu długo myśleć, my wszyscyśmy nie więcej warci od was, ojcowie kochani, a prochem jesteśmy w obliczu świętej Matki i Opiekunki naszej; możemy się poddać losowi, który Jej zgotowany i wam. Zatem — co Bóg do serca księdzu przeorowi podda, to niech czyni, a my podzielim dolę z wami ochotnie.

Pan Zamojski odchrząknął, wyprostował się i gotował do długiej zapewne perory.

— *Laudandum est omnimodo consilium* W. Czarnieckiego, rzekł poważnie, i co do mnie naprzód, zgadzam się na nie *ore et corde*. O was tu chodzi więcej, o miejsce święte. *ora et sacra* ojcowie; rozważcie siły nieprzyjaciół i swoje ku obronie, czyńcie wreszcie *ad inspirationem Dei*. My tu przybysze, goście, *auxilarii*, nie wielką radę dać możemy. W tobie dostoyny księżu Przeorze, rada i przełożęństwo. Lecz chcecie rady? cóż czynić? słuchać należy. Jestli koniecznością żelazną poddanie się JMP. Wejhardowi? Nie! nie! za cóż ulegać jego woli, kupując niepewny pokój u niego, *pacem incertam*. Samiśmy my tu przyszli, z dobrej woli i wam *nostram incolumitatem caraque pignora credidimus*,

z wami żyć i z wami nmierać postanowiliśmy i gotowi, *si sors ita tulerit*, raczej ginąć, niż nieprzyjacielowi się poddać i patrzeć na *polluta Sacra, contaminatam oppressamque religionem*. Doradzi Bóg na ocalenie honoru Matki swojej, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom naszym, odeprze nieprzyjaciół..

Byłby mówił dłużej, bo ten początek zaledwie za *exordium* uważać się zdawał, ale mu przerwał ksiądz przeor i szlachta przytomna razem; Kordecki uściskiem serdecznym, bracia jednomyślnem zgodzeniem się.

— Dzięki Bogu! zawołał po chwili przełożony, wierzyć w pomoc niebieską, wiara nas zbawi! wierząc w opiekę Opatrzności, wymodlimy ją sobie! Słabi na duchu giną tylko i modlitwa ich przestraszn pełna, ziemską bojaźnią przesiękła, nie dochodzi do Boga, jako mgła roztaczając się po ziemi. Wiercie a ujrzyć! Niech serca wasze biją ku Bogn, a Bóg usłysz ich bicie. A zatem, niema co dłużej myśleć i naradzać się, nieście kochani bracia odpowiedź hrabiem, w tych co i przedtem słowach.

— A! rzekł pan Moszyński, z tym ptaszkiem, nie można jednym się kontentować, nowego mu co zaśpiewać; zwłóczyć, odkładać..... Czy nie byłoby dobrze na przykład powiedzieć mu, że gdybyś wasza przewielebność nawet chciał co stanowczego uczynić, musisz się wprzód, stanowiąc o losie klasztoru, odnieść do księdza Prowincjała?

— *Recte dixisti*, potwierdził pan Zamojski, ksiądz Teofil Broniewski na Szląsk w Głogowie, nim się to skomuniknje, zwłoka konieczna, a tymczasem zyska się trochę, i — aby dalej.

— Ha! i to dobre, rzekł przeor, zapewne wszelkiej broni przeciw takiemu nieprzyjacielowi użyć się godzi; choć Bogiem a prawdą, wiemy dobrze, że ksiądz Prowincjał, radzić nam poddania się nie będzie.

— Ale forma taka?

— Powiecie więc, rzekł Kordecki do posłów, niech z przyjaciela nie czyni się wrogiem, a resztę złóżcie na Prowincjała, chwała Bogu, że daleko i za granicą.

Wreszcie niech was Bóg natchnie, co mówić macie i pobłogosławi.

— Ale ojcowie możeby spoczęli, spytał Czarniecki, albo się posilili, bo u Wejharda nie bardzo suto myślę, będą przyjeć?

Spojrzeni tylko po sobie księża i ukłonem odmówili. Kordecki kilka słów im jeszcze szepnął i błogosławiąc, dodał:— wracajcie rychło, bo najgorsze niebezpieczeństwo niepewność.

Wypuszczono ich znown furcią. Poszli, a Kaliński pierwszy postrzegł, pierwszy zwiastował powrót oczekiwany. Na ten raz nie trzymał ich Wejhard pode drzwiami, otwarto je szeroko, spodziewając się pożądaney odpowiedzi, ale po twarzach zaraz domyslił się wódz, że mu jej nie przynieśli.

— A cóż? spytał stanowczo, zdajecie się czy nie?

— Prosimy cię panie, żebyś pamiętać raczył....

— Zdajecie się czy nie? spytał powtórę Wejhard.

— Nie możemy o tem stanowić sami, odrzekł Tomicki, zwierzchność klasztorna względem tak ważnej rezydencji rozstrzygać nie śmie, gdy tu idzie o kościół i obraz tak wielkiej wartości; potrzebujemy zgodzenia się Prowincjała.

— Gdzież wasz prowincjał?

— W Głogowie na Szląsku.

— Wasze nstawy mnie nie obowiązują, odparł hrabia, a zatem macie do wyboru: lub zaraz się poddać na spisane warunki, (tu rzucił im kartę) lub ogniem i mieczem spustoszywszy naprzód włości i sioła waszego konwentu, a potem Częstochowę....

— Cóż winne włości? spytał ksiądz Tomicki.

— Winne czy niewinne, za winę waszą pokutować będą — puszczę je w perzynę, słyszycie. — Oto moja ostatnia odpowiedź.

Mówiąc to Wejhard, okazywał się nie tym co z rana, łagodnym panem, protektorem i obrońcą, ale wyraźnym nieprzyjacielem, który się srożył i groził i niecierpliwił na myśl, że mu się śmieją i myślą bronić.

— Czytajcie i podpisujcie! krzyknął zajadły i wyszedł. Zostali sam na sam potrwożeni trochę zakonnicy z panem Kalińskim, który z westchnieniem zbliżył się do nich grzecznie i ukladnie bardzo.

— Okropny człowiek! rzekł cichuteńko, nie zwłóczcie, zmiłujcie się, jeśli wam życie mile. Uczyni jak mówi, wątpliwości niema. Jako katolik, jako przyjaciel, radzę, zaklinam, spieszcie się, nie wiecie co na siebie ściągacie.

— Ale my sami nie tu stanować nie możemy! powtórzył ksiądz Jaraczewski.

— A zatem spieszcie do klasztoru: głęboką czuję litość nad waszym losem, radzę, proszę, szczerze radzę, przebiegajcie go, a nie bawiąc!

Ledwie tych słów domawiał. wpadł Wejhard, ubrany w zbroję błyszczącą.

— A cóż? rzekł, jeszcze stoicie?! jeszcze myślicie! widzicie mnie gotowym, daję wam godzinę czasu jeszcze, spieszcie do klasztoru — lub ogień i miecz nikogo nie oszczędzą.

Spiesznym krokiem dążyli znowu posłannicy do bramy, z ową daną im kartą, nie więcej przerażeni, niżeli wprzód ujęci prośbą.

Ledwie ich zobaczono, odryglowano furtę i nim ks. Jaraczewski przemówił, już przeor czytał warunki podania się z uśmiechem litości.

— Co za zuchwalstwo! rzekł, co za pycha! patrzcie, jak wcześnie rozkazuje! Ale Bóg upokorzy dumnych.... Czytajcie, panie Mieczniku....

Zamojski wziął kartę z rąk Kordeckiego i czytał warunki, które były istotnie surowsze, niżeli się można było spodziewać: rozkazywał poddać zaraz Jasną-Górę Karolowi Gustawowi, i uznać go najwyższym protektorem (taki tytuł przybierał wcześnie, nimby-się Królem Polskim ogłosił); wymagał od zakonników przysięgi wierności i zaparcia się wszelkich stosunków z Janem Kazimierzem; uznania Wejharda dowódcą twierdzy i złożenia przysięgi jemu i jego podwładnym; przyjęcia załogi Szwedzkiej, której nadal już powiększać nie miano:

zdania dział, prochów i amunicji hrabiemu, nic nie tając pod karą śmierci; ukazania chodów podziemnych i kryjówek wszelkich: rozpuszczenia ludzi; a w dodatku (tu okazywała się jawnie chciwość Wejharda) żądał opłaty pewnej sumy dla siebie i Millera.

Okrzyk oburzenia nie dał doczytać Zamojskiemu.

— Przysięgi! zawołał przeor, chcą przysięgi! jak im to one lekko przychodzić mnszą, gdy tak niemi szafują; każą łamać dawne, składać nowe, jakby szło o odjęcie jednej a wdzianie drugiej sukni, nie *juramentum*, które jest *sacramentum*, świętem i niepogwałconem! I karą śmierci nam grożą za szczyptę prochu, któraby się gdzie znaleźć mogła! dodał składając ręce. Jakaż odpowiedź być może na to urągowisko, rzekł, tocząc wzrokiem po przytomnych księżach i szlachcie.

— Ognia do nich! krzyknął Czarniecki.

— Gdybyście słuchali impetu naszego, zawołał Zamojski, radzilibyśmy także surową odpowiedź.

— Nie! nie! zakonnikom przystała pokora, podchwycił ksiądz Kordecki, pośle do nich księdza Mieleckiego, żeby im powiedział, że ludzie Bognu poświęceni lekko przysięg nie łamią i nie składają, wolą umrzeć pocztwie, niżli żyć bezecnie. Miejsca świętego poddać herezykom nie możemy, a Hrabia niech czyni, co mu się podoba.

To rzekłszy, gdy nikt głosu nie podniósł, a wszyscy zgadzać się zdawali, zaraz od furty wysłano księdza Mieleckiego, a że ten po polsku tylko i po łacinie mówił, dodano mu znowu księdza Jaraczewskiego, i wyprowadzono ich do opuszczonych budynków nowicjatu przy kościółku św. Barbary, które zajął był Wrzeszczewicz.

Z daleka widać było gotowość żołnierza szwedzkiego i ruch w taborze. Wejhard siedział na koniu, Kałiński związał się koło niego, zdawali się coś mieć do spełnienia, i krzatali się jakby zaraz szturmem zająć chcieli Jasną-Górę. Przeor z panem Zamojskim, szlachta i kilku ojcami wpatrywali się z wierchołka bramy w stronę kościółka, widzieli jak mnisi przyszedli ku wodzowi, jak chwilę krótką pomówił z nimi, rękę pod-

niósł do góry, spał konia, zakomenderował żołnierzem, i dwaj zakonnicy spiesźnie uazad ku twierdzy wracać poczęli.

Jednocześnie prawie gesty dym wzniosł się od budowli kościólek otaczających i widocznie podpalonych. Był to krok zaczepny, nieprzyjacielski. i ledwie furta zamknęła się za posłami, działa z murów na znak dany, przez przeora. pobłogosławione jego ręką, dały ognia do Szwedów.

Żywo poczęli uchodzić najeźdźnicy drogą ku Krzepicom i widać było, że Wejhard zmuszony do odwrotu bo z swą garścią obłożenia przedsiębrać nie mógł, wściekle się rozjadł na zakonników, których chciał ustraszyć, a powitany został niespodzianie kulami, których się nie spodziewał. Stał on usłyszawszy huk dział, poglądając na klasztor, potem na swoich, z których kilku uderzonych padło, i puścił konia szybko, lecąc sam przodem, a za sobą wiodąc tłum zmieszany.

Przeor patrzył na to i modlił się natchniony, a łza toczyła mu się po męskiej twarzy, jeden Zamojski tylko stał przy nim w tej chwili; wzruszony, chwycił go za rękę, i wskazał mu ómę odbiegających w nieporządku Szwedów.

— Szarańcza to. rzekł. którą Bóg posłał na tę ziemię za grzechy nasze. Gdzie my? gdzie oni? jestli stosunek jaki między nami. i z kąd mogła wyrodzić się nieprzyjaźń? Jak dziwnych Bóg używa narzędzi, by grzesznych ukarać! A! tak! Grzeszni jesteśmy i dojmować nam będzie moc Boża, aż dopóki nie obaczymy się w grzechach, i nie padniemy głową posypaną popiołem, piersią skrwawioną. okiem załzawionem na ziemię, uznając winy!... Jak karał Bóg Izraelitów za bałwochwalstwo i niestałość ich, tak skarci i nas za bałwochwalstwo prawn, i za wszystkie przestępstwa, któremi skalani jesteśmy. Nie chcemy słuchać prawa własnego, nauczym się tej cnoty od drugich... I będziemy łkać i jęczeć i prosić i wzywać miłosierdzia. a długo, długo głuchym będzie Bóg na wołanie nasze... I mordy i srogie pożogi rozlegać się będą po ziemi naszej

szeroko, głośno, i zdawać się będzie, jakby o nas Ojciec zapomniał, jakby nas odrzuciła Matka. Bo wielkie grzechy nasze! wielkie i nieprzepokutowane, gdyby Chrystusowa krew, to święte źródło przebaczenia, i za nie się nie lała.

Chrystusowi słudzy, dzieci jego, my krzyż nosimy na piersiach nie w piersi, słowo w ustach nie w sercu, prawo w księdze nie w czynie: modlimy się, a modlitwą grzeszym nawet, płaczemy, a złe są łzy, nasze, jęczym, a jęk nasz występny, krzyże stawim i ubieramy w nie kraj nasz, a pogańska pycha, pogańska chciwość. a bałwochwalstwo panują w nim i płamą krzyż Boży. Zaiste! łatwiej ślepymby Bóg przebaczył. niżeli tym, którym dane jest światło, a nie użyli go. którym dane prawo. a przekreśli je dla nieprawości swoich: którzy przysięgli na chrzcie, a zapomnieli jak dzieci zabawki, świętych przysięg swoich. Wielkie grzechy i kara być musi wielka, okropna. na którą wzdrygnie się ziemia i ludy płakać będą nad nami, jak nad najbardziej sierotą. I staniemy się bezsilni, bo wielkie są grzechy nasze! Patrzę na kraj i widzę go z końca w koniec skalanym. czarnym jak niebo burzliwej nocy. na którym tylko świeci błysk piorunowy i gwiazda migśnie chmurami zawleczona.... Bóg sprawiedliwy. ale wielki i potężny, i nieprzebrane miłosierdzie Jego....

To mówiąc. płakał, a Miecznik słowy jego wzruszony do głębi, drżał cały złękniiony, stojąc jak przed prorokiem, zbladły i oniemiały. Zamilkł nareszcie przeor i spuścił głowę jakby go to straszliwe widzenie złamało; ręką dał znak Zamojskiemu, aby wstąpił, ukląkł na ceglanej posadzce i złożywszy ręce. modlić się począł. ..

VII.

Odeszli Szwedzi, a dym na zgłiszczach do mostu przy kościółku św. Barbary, całą po nich został spuścizną. Zostawili ogień jakby groźbę, jak upomnienie, rozżarzyli płomień, mówiąc nim, że powrócą.

Gdy Wejhard uchodził na koniu gniewny i rozjuszony, opodał już nieco od klasztoru, żebraczka Konstancja zastąpiła mu drogę.... W początku, jak tylko działa zagrzmiały i zaświstały kule, poczęła była tańcować i śpiewać, jak gdyby ją ta muzyka w szalę wprawiła; potem zabiegła przed hrabiego, zajrzała mu w oczy ze śmiechem, ruszyła ramionami i powtórzyła kłaniając się kilka razy:

— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Wejhard udał, że tego szyderstwa nie widzi i nie słyszy, nie chciał się bowiem mścić nad bezsilną staruchą, do której tylko z własnego natchnienia wystrzeliło kilku Szwedów, ale jej nie nie zrobili. Krzyczała ciągle wyciągając ręce, niby łapiąc kule w powietrzu.

— Do zobaczenia! panowie! do widzenia panie Kałiński! księża kłaniają się pięknie! słyszycie, jak się was uniżenie proszą, jak was zaklinają... cha! cha! jaki na nich strach... ze strachu aż strzelać zaczęli... zmiłujcie się, jedźcie sobie dalej i nie przerażajcie ich tak szkodliwie....

Znikli wkrótce nieprzyjacielo, a z miasteczka zaraz nadbiegli, dziwy o nich i ich pogrózkach prawiąc, mieszczenie, u których co nabrano na rzeź krów i cieląt po oborach, co nazabijano bydła, co narabowano sprzętów i naspijano gorzałek, miodu, w stosunku do czasu, zdawało się niesłychanem. Jak wszyscy psotliwi rabusie, których wojna rozbestwia, Szwedzi czego zabrać i spóżyć nie mogli, pozarzynali i powytaczali, żeby się po nich nie zostało; nahuczeli, uakłuli, napodpalali i poszli gnani przekleństwem ludu.

Przestrach po nich wzmógł się jeszcze groźbami, jakie miotali; opowiadali się bowiem tylko przednią

strażą ogromnego wojska, i oznajmowali Millera z Polakami posiłkowemi, z działami huczącemi, z siłą potężną.

Miller właśnie w Sieradzkim plądrując, zbierał kupe, którą wystawić miano przeciwko Prusom, gdy Wejhard przybiegl zajątrzony do niego, naglić do nprojektowanej wprzód, potem odłożonej wyprawy na Jasną-Górę. Złość Wejharda, którą źle ukrywał, bo była zbyt wielka, by ją w sobie mógł zatrzeć, pedziła go do obozu Burcharda Millera, aby przyspieszyć napad, nie dając się mnichom przeciwko niemu do obrony przygotować.

Zawiedziony w nadziei, że pierwszy zajrzy do skarbcu Częstochowskiego, i Wittembergowi przysłuży się posłaniem Apostołów na talary przeznaczonych, sreber kościelnych, wotów i naczyń, któremi miał wozy ładować; chciał się zawodu pomścić koniecznie na mnichach, na których wyrazów nie znalazł, tak mu się opór ich zdawał występny. Możeby nawet ku Prusom się obracając, Miller zaniechał był na czas tej wyprawy, gdyby nie przybycie i naleganie Wejharda.

Wpadł on do kwatery generała z Kalińskim, którego wcześniej gadać nauczył i oba z miną wymuszenie wesolą, poczęli prawić mu o Jasnej-Górze, zdobycie jej malując łatwem niezmiernie, a bardzo korzystnem.

Miller był wojakiem wcale różnego od Wejharda rodzaju; innego kraju człowiekiem, żołnierzem bez myśli uszlachetniającej to rzemiosło krwawe wzniesienia się, sławy lub przyłożenia do dobra kraju; bez przyszłości, cały w dniu dzisiejszym; dla niego schwycić co najwięcej, użyć jak najrozkoszniej, zbogacić się niepatrząc środków, było celem jedynym. Drog, któremi szedł do celu, nie wybierał, ale też jak Wejhard nie miał pozorów cnoty i pięknych słów wustach; żołnierz a gbur, szedł po żołniersku przebojem, nie leżąc krwi, którą rozlewał, śmiejąc się z psot i występków żołdactwa, wieszając i bijąc, siekąc, rabując i nie czując ani zgryzoty sumienia, ani obrzydliwości swego zawodu. Większa część Szwedów przeszła tak Polskę, i do dziś

dnia stare ich zamki świadczą jak wściekle, bez sumienia i litości kraj ten rabowali. Zabierali nie tylko sprzęt i złoto, ale nawet dzieje nasze, księgi i ślady naszego żywota! Kradli przeszłość nawet najdroższą.

Sam protestant, nie tylko nie szanował świętości, ale jakby się na nich mścił swojego odstępstwa, kłał je chętnie, naigrawał się im, i nie szczędził ani kościółów, ani ludzi Bogu poświęconych. Hulaka, przy kielichu i biesiadzie miał czasem dzikie neronowskie instynkta, a nie mogąc ścinać, rozbestwiony bil i wymyślnie karał, bawiąc się męczarnią. Mało mówił, śmiał się tylko lub lajał; zresztą prosty człowiek, pióra w rękę nie lubił, a gdy szło o traktowanie, o listy, chętnie się drugimi posługiwał. Straszniejszego człowieka nie miało wojsko szwedzkie, dla bezbronných zwłaszcza, bo wcale nie myśląc o Karolu Gustawie i przyszłości jego, o zaskarbianiu sobie serc w kraju, szedł wszędzie jak plaga bez litości, a po sobie zostawiał tylko pustki i węgle.

Średniego wieku, dobrej tuszy, Miller miał na oko postać dobrodusznego brzuchala, który zjeść i wypić lubi, i pośmiać się w dodatku. Nic w nim nie objawiało instynktów krwi chciwych i tej zimnej srogości, która tem straszniejsza, że nie jest szalem i nigdy nie przechodzi, jest obojętnością i trwa ciągle.

Dla niego krwi przelew, jęk, prośba, lzy, były widokiem lub całkiem chłodnym, albo szmerem dokuczliwym; ale niczem wstretliwym i poruszającym; patrzył, słuchał, trawił spokojnie, bez wzdrygnięcia siekl i siec pozwalał, zabijał z krwią zimną, z sumieniem dziecięcia, co drgające rozdziera zwierzątko i nie pojmuje nawet, żeby to mogło być inaczej. Wiara jego była całkiem powierzchowna, spełniał jej obrzędy dla żołnierza z punktualnością przykładną, prowadził na nabożeństwo jak na przeglądy; ale ani się kiedy nie zamyślił nad rzeczami wiary, ani potrzebę jej uczuł. Żył na ziemi brzuchem tylko i ciałem, a oczy jego brwią i powieką zarosłe, nigdy się wyżej nie podniosły. Wierzył za to we wszystkie czary, inkantacje, gusła i

tym podobne mary bardzo szczerze, bardzo bojaźliwie i niczem się tak nie przerażał, jak niemi.

Ktoś mu tam wcześniej szepnął, że mnisi Częstochowscy są wielkimi czarownikami, i może dla tego nie bardzo miał ochotę spieszyć pod Jasną-Górę. Wstydział się tego, ale nie mniej ukryć się z tem nie mógł.

Oznajmiono mn Wejharda, którego jako dworaka i wytwornisia nie lubił; musiał jednak przyjąć, ale widać było z wejrzenia, które rzucił na drzwi, że gość wcale mu nie był pożądanym.

Miller stał naówczas w szlacheckim domku, z którego bez ceremonji gospodarza wyrzucił, i w najlepszej izbie na kobiercach się przewalał, grzejąc przed trzaskającym ogniem komina.

— A co? — rzekł nieco podnosząc się z posłania do wchodzącego hrabiego, mierząc okiem szyderskiem jego strój wykwintny i pańską postawę — a co hrabio? Częstochowa?

— Czeka na generała Millera...

— Doprawdy? hrabio! A! a czemuż się wam poddać nie chciała?

— Ba, nie bardzom nalegał, a mnisi uparci trochę i zarozumiali, chcą koniecznie działać jak widać. Strach ich opanował wprawdzie, ale z dwojga bojaźni, zdobycia i bronięcia, wybrali dalszą, choć i muie się niepospolicie zlekli. Wiedzieli wszakże, iż z mojami armatkami oblegać ich nie będę, i...

— A zatem? — przerwał Miller.

— A zatem, idziesz pan, panie generale ze mną, z Sadowskim i z Kalińskim, z panami Zbrożkami Krzeczowskim i Komorowskim, z księciem Hesskim może.

— O! o! a na cóż nam tam tyle na ten *Kurnik*? — spytał Miller.

— Dla tem większego postrachu.

— Alboż-by się mnisi bronić myśleli?

— Nie wiem, wątpię...

— A was tam jak przyjęto?

— Prosbą z początku, kulą na ostatku.

— A do diabła! kulą nawet! Cha! cha! — zagrzmiął głośny śmiech Millera — proszę, proszę, jakie zuchy z tych zakonników, szalone pałki! Gdyby czas tylko, nauczyłbym ja ich rozumu.

— Wszakże potrzeba koniecznie zająć Częstochowę?

— Ale to wypadnie podobno znowu odłożyć?

— Toby było najgorzej! — zakrzyczał Wejhard z zapalem. — Pan wiesz, generale, że tam go kto uprzedzić może, a to jest kasek królewski! Sreber po uszy brać, złota ogromne kupy, klejnotów, pereł i brylantów cebrami; win i miodów starych lochy niewyczerpane, choć się w nich kąpać. W dodatku szlachty się schroniło dosyć... i... — dodał ciszej — dziewczęta się też znajdują, będzie gdzie i z kim pohulać.

Generał się uśmiechnął i klapnął po brzuchu.

— A jak wie w co uderzyć, by mnie poruszyć — rzekł kiwając głową. — No, ale cóż tu począć. Wittemberg i Duglas do Prus mnie pędzą.

— My się, zobaczysz generale, uwiniemy duchem w Częstochowie. Sami mówicie, że to kurnik, istotnie wam tylko przyjsć, huknąć i wziąć.

— No! a wy czemużście nie wzięli?

— Dział nie miałem, a wreszcie — dodał skromnie Wejhard — ja, a generał Miller to wcale co innego, nie myślę się z nim równać.

Niegrabnie tem pochlebstwem zakadziwszy Millerowi, Wejhard uśmiechnął się rad z siebie, jak gdyby psn rzucił kawał zatrutego mięsa i dodał:

— Radzę, idźcie, bo nigdzie się jak tam zbożać nie możecie, a spóznicie się, to wam kto inny ten kasek z przed ust pochwyli.

— A cóż będzie z Prusami?

— Poczekają! — rzekł Wejhard.

— Do Częstochowy kawał drogi, pójsć i tam trzeba pomarudzić, a nim się nazad powróci...

— To wszystko razem nie zabawi — rzekł hrabia — przyjdiesz pan tylko, krzykniesz, poddadzą się, zabierzesz, co ci się podoba i wrócisz. Cóż mnisi przeciwko nam poradzą?

— To prawda, to prawda! — odparł Miller popijając i dumając — ale...

— Nie ma ale, potrzeba iść i iść prędko, żeby nie mieli czasu obwarować się, wzmocnić, lud zwołać i szlachtę, trzeba korzystać z ich przestachu...

— A skarbiec-że nie wywieziony? — spytał po chwili Burchard Miller.

— Nie! ręczę że nie, lecz gdyby nawet część jaką ukryli, zawsze dosyć zostanie, i ze szlachty, która się tam schroniła, dobrze obladować się można; dadzą okup dobry. Mnisi ufni w mury, nie spieszyli się z wywózką swoich precjozów, wszystko na miejscu, to teraz jużby się bali ruszyć dla gęsto snujących się po kraju oddziałów; Wittembergowi dość będzie posłać kilka posągów srebrnych, reszta nasza.

Miller namyślał się głęboko, ale cały wieczór męczył go Wejhard i Kaliński tak, że wreszcie słabnąć począł, i upiwszy się z nimi, wydał rozkazy gotować się na Częstochowę. Nim się jednak oddziały jego pościągaly, nim lud zgromadził, działa posprowadzał i żołnierzy skupił, kilka dni upłynąć musiało. Tymczasem szerząc postrach i wcześniej oznajmując o sobie. Wejhard wysłał z załogi w Krzepicach oddział żołnierzy na włości klasztorne dla rabunku i nakazał zajmować bydło, palić wioski i folwarki, żeby pokazać mnichom, co ich czeka, jeżeli się nie poddadzą.

Wieść o tem doszła dnia czwartego po odejściu Wejharda do klasztoru; przeor przyjął ją z westchnieniem żalu, ale w gotowości do wytrwania. W chwili gdy mu ją przyniesiono, był właśnie otoczony piszącymi, którym listy do pana Stefana Czarnieckiego, do króla, do księdza Teofila Broniewskiego, prowincjała i do kasztelana Warszuckiego dyktował. Zawiesił pisanie i do Definitorium posłał zawołać wszystkich zakonników na nową naradę, chcąc ich umocnić na duchu i przygotować do wytrwania.

Czuł on, że bronić się powinien, a jednak były chwile, choć krótkie i przemijające, wątplenia i bojaźni, która go obarczała; na barkach jego spoczy-

wała odpowiedzialność obrony miejsca świętego, całość tyłu osób, tyłu rodzin życie i losy. Chciał więc utwierdzić braci i wzmacnić siebie ich zdaniem o konieczności oporu; chciał usłyszeć myśl swoją powtórzoną usty drugimi. Nie wątpił wcale o pomocy niebieskiej, obawiał się raczej ludzi, by mu od nich współczucia, wytrwania i męstwa nie zabrakło. Szwed pozornie mówił, że chce zająć dla jej własnego bezpieczeństwa Częstochowę, zapewniał całość mienia i swobodę nabożeństwa; lecz same te zaręczenia nie były już upokarzające i groźne? Z drugiej strony, gdyby go nie wpuszczono do twierdzy, zagrażał swą zemstą, jeżeli nie klasztorowi, to ubogiemu ludowi jego włości; to wszystko przedstawiało się umysłowi przeora i walczyło w nim jeszcze, lecz silniej nad wszelki postrach mówił głos wewnętrzny, który mu powtarzał: Walcz, a zwyciężysz!

Na wezwanie dzwonka zeszli się ojcowie tak spokojni, jak gdyby jeszcze nie widziano nieprzyjaciela i nie wiedziano o nim; twarze ich nie okazywały bojaźni, więcej z nich tchuęło męstwo pogodne i zapal pobożny, niż przestach i zwątpienie; z jednego wejścia zdanie ich wyczytał ksiądz Kordecki. Wszakże, gdy zasiedli i odśpiewali: *Przybądź Duchu Stworzycielu...* począł do nich mówić powolnie, wszystko im przedstawiając, co było za i przeciw obronie Częstochowy, i tak zakończył:

— Teraz zdania waszego czekam, bracia, każdy niech zbierze ducha, westchnie do Boga i wyrzecz to, co mu natchnie. Zdejmiecie wielki ciężar z ramion moich.

Najpierwszym znowu odezwał się ojciec Mielecki.

— Będziemy pod opieką Bożą bronić się ojcie, i umrzemy godni się chcąc okazać stanowiska, które nam powierzono na straży świętości. Niegodzi się raz ofiarowawszy swe życie, cofać się, gdy Bóg zsyła próbę.

To zdanie pierwszego, prawie jednomyślnie jak poprzednio, przyjęte zostało; nawet ksiądz Lassota woto-

wał za obroną Jasnej-Góry, dodając, że należałoby może posłać do Wittemberga, prosząc o listy bezpieczeństwa dla klasztoru.

— Do Wittemberga pismo podobnej treści dawno już posłałem, rzekł Przeor.

Ksiądz Lassota umilkł. Wszyscy inni byli zdania Przeora, żeby się bronić do ostatka. I tak powtórna narada dodała Kordeckiemu odwagi, utwierdzając go w przekonaniu o konieczności stawienia czoła Szwedom.

Należało tylko resztę rozporządzeń, potrzebnych do zabezpieczenia twierdzy, co najpilniej przedsięwziąć; napad na włości, odejście Wejharda rozjuszonego, które było jego powodem, zwiastowały rychłe nadciągnięcie sił znaczniejszych; posłano zatem listy Przeora i pana Piotra do kasztelana kijowskiego, do króla na Spiż, do Warszuckiego, do wojsk kwarcianych, i do bliższych wsi Janusza Węgrzyna, aby więcej jeszcze ludu do zamku sprowadził.

Przeor z panem Zamojskim, Czarnieckim i Małachowskim, obesłali mury znowu. Pan Piotr rzucił okiem na kramiki, które zewsząd przypierały do murów i bastjonów, na poprzylepiane drewniane zewnątrz przybudówki i kletki drewniane, na szopy i domki rozsiane na pochyłości góry ku jej podnożom i rozpatrzywszy się, odezwał do przeora wskazując na nie.

— A co, ojcze kochany! potrzebaby to nie wahając się poświęcić.

— Co? zapytał ksiądz Kordecki.

— Kramiki i wszystkie bliższe drewniane budowle, dokończył pan Piotr, będzie w nich nieprzyjaciel szukał przytułku i schronienia, ułatwi mu się podkradanie pod mury. Gdyby tylko na ogrzanie się nawet służyć miało, i tak zniszczyć potrzeba, niech marznie. Co jest dachów, pod któreby się mógł schronić, wszystko to z dymembym puścił, nim przyjdzie.

— Tak! tak, podchwycił nieco zawstydzony Zamojski, że pierwszy tej uwagi nie uczynił. Wyrwał mi to z ust pan Czarniecki. Rzeczą jest niezbędną; według

wszelkich prawideł sztuki strategicznej, kletki te pozostać tu nie powinny.

Kordecki westchnął.

— Ale to biednych ludzi schronienie i chleba kawałek, to są naszych mieszczan sklepiki i budki.

— A lepiej, żeby dla nich Częstochowa cierpieć miała.

— *Necessitudo frangit legem*, dodał Zamojski, tu nie ma co myśleć.

— I co najspieszniej spalić je potrzeba, a gruzowiska porozrzucić, nie czekając Szweda.

— Co spalić? — pochwycił dziwny, ze śmiechem zmieszany głos po za rozmawiającymi; obejrzeni się i pan Czarniecki postrzegł żebraczkę, która niskim pokłonem witała Przeora, całując kraj sukni jego, a szlachtę pozdrowiła przysadzistym dygnieniem. Zamojski i Czarniecki spojrzeli na to zjawisko i umilkli. Kordecki odwrócił się do niej i rzekł powolnie:

— Nic ci do tego moja kochana, co my tu radzimy.

— Przepraszam Ojczy Dobrodzieju, bardzo mnie to obchodzi, bo to kramiki podobno palić będzie potrzeba, a wiadomo, że to moje pałace letnie i zimowe.

— Będziesz się musiała schronić gdzie indziej.

— Tak, prawda, zostanie się fossa, aby gdzie trochę od wiatru stare kości przytulić. A jak trzeba, to trzeba, dodała żywo, ja stara na Jasnej-Górze pokutnica radabym zawsze miejscu świętemu służyć; jeśli każeć, własną siedzibę gotowam podpalić, tylko powiedzcie słówko.

Spojrzeli po sobie.

— Nie bójcież się, ksiądz Przeor mnie zna, jestem sługa Matki Boskiej, zrobię jak należy, podpale na cztery rogi, jak mieszczanie zobaczą, no, to przynajmniej na nikogo prócz mnie płakać i narzekać nie będą. Powiedzą: warjotka! przyszło jej coś do głowy i podpaliła.

— A możnaż jej do tego użyć? spytał Czarniecki.

— Myślę, że zrobi jak mówi, ochoczo i roztropnie, rzekł przeor.

— Tylko się na mnie spuście, żywo podchwyciła baba, ja chcę koniecznie służyć Najświętszej Pannie i księżom Paulinom, a niczego się nie boję w świecie, bo życia i za grosz nie mam.

— A zatem, odezwał się Zamojski, dziś wieczorem zróbcie co wam powiedzą, tylko wiatru potrzeba pa-trzeć, żeby na dachy klasztorne ogniem nie rzuciło.

— Na to ludzi poszlemy, szepnął przeor.

Konstancji już nie było, poleciała piorunem za bramę.

Jak skoro padł mrok, gdy ludzie poczęli rozbierać budowlę na pochyłości góry i rozrzucać kletki, stara z żagwią zapaloną, skacząc i śpiewając, pobiegła do kramów, z których dawno mieszczenie się byli wynieśli. i na cztery rogi je podpałiła. Ogień objął suche tar-cice i liżąc mury klasztorne, wpędce w kupę popiołów sklepiki i stragany obrócił.

Przez cały czas gorzenia siedziała Kostucha pilnu-jąc, żeby nic nie pozostało, a gdy ostatnie głównie do-gasały, spuściła się w fosę zamkową i obszedłszy nią dokoła, obrała sobie suchy kątek, w którym położyła kul słomy, przeżegnała go, i rzekła z cicha dziwnym szyderskim głosem:

— Ot tobie nowa chata!

Nazajutrz rano ze wszystkich budowli, które na po-chyłości góry rozsiane były, ślady tylko w zgliszczech pozostały, lecz nigdzie zrab się już nad ziemię nie wznosił; jedyna od wschodu figura murowana między miasteczkiem a kapliczką św. Jakuba ocalała; pobożny Kordecki choć mu przedstawiano, że za nią kryć się będą mogli Szwedzi, zrzucić jej nie pozwolił.

— Krzyż Pański, rzekł, nigdy szkodzić nie może; obalać się go nie godzi...

VIII.

Straszną jest wojna, gdy wlokąc za sobą niezliczone klęski, kraj ogniem i mieczem przechodzi z dopuszczenia Bożego! Jak w życiu natury burza, tak w żywocie narodów bój ludów, wszystko niszczy, druzgocze, obala, co na drodze spotka; postrach i rozpacz rozrywają wszystkie węzły społeczne, walka rozbestwia braci, chciwość rada bezkarnemu gwałtowi rzuca się namiętnie na otaczające skarby, rozpusta szaleje, a słabi, bezbronni, których tylko osłaniało prawo i spokój, mrą tysiącem śmierci. I jak wiatr pędzi złomy gałęzi i liście z drzew oszarpane, tumały kurzu, a z nimi kwiaty i owoce, tak bojaźń gna w zakąty niedostępne, w szalasy leśne, w warowne grody. do miast i kościołów, rozbitek wojny. słabych i przelektych. Lecz iluż to nie ma się dokąd schronić, i tu nie może ustąpić przed nawałą, nie wie o niej, czeka, ociąga się, bo żal rodzinny kątek porzucić, bo straszno się rozstać z ukochaną strzechą, z zagonem swoim, z ludźmi co się do nas przywiązali, bo wstyd jakoś ze spuszczoną głową za mur się schronić... Młody naówczas gdy uczuje serce w sobie, przypasze oręż i pójdzie za sercem; ale starcy, ale kobiety i dzieci! zawsze okropna wojna, cóż tam gdzie obcy żołdak, którego wiara, język, przesąd, nieprzyjacielem czyni, w ciągłym szale rozpasuje się na występki jak bydle, i chluby w nich szuka.

Z wieln Polski okolic Szwed wygnał szlachtę, która się garnęła do zamków, miast i klasztorów, i rzucano im na łup majątności, nie mogąc ich obronić; lud nawet w lasy biegł, gnając przed sobą bydełko i owce, na wyspy wśród trzęsawisk, w zarośla i góry się chrońjąc i obozując smutnie, a codzień wysyłając na zwiady by zobaczyć czy jeszcze dwór stoi, czy wieś z dymem nie poszła. Z początku najścia Karola Gustawa, trzymał Radziejowski Szwedów jak mógł na ostrzejszem wędzidle, wmawiając im przez wodzów by się po ludzku obchodzili z krajem; ale dalej, dalej, żołnierz zebrany

z różnych świata krańców, włóczęgi i rabusie poczęli, a na widok nieładu, dokończyli go regularni. Płonęły więc dwory i wioski, rznięto stada, łupiono kościoły i zamki zdobyte, brano okup i zakładników. a Tata-rzyn sroższymby nie był nad Szweda. Szlachta Sie-radzka. u której gościł Miller, wszystka się rozbiegła, gdzie kto mógł, puste dworki zapelniali Szwedzi, opalone parkany, porozwalane ściany, porąbane słupy, pospasane zasiewy. stratowane zboża, których skosić nie miano czasu w jesieni, świadczyły o nieprzyjacielu. Gdzieś tam gdzie smutny wieśniak włókł się z rodzajem ro-zwaczy niemej drogą, osłupiałem poglądając okiem na pustynię, z wesolego uczynioną kąta i powtarzał zadzi-many: koniec świata! koniec świata!

Taki był obraz tej okolicy i wielkiej części Polski i Litwy, w chwili gdy Miller z namowy Wejharda ru-szał, szybko dążąc pod mury Częstochowej, do której coraz liczniej zbierała się szlachta, tuląc pod płaszczy gwiazdzistej Bożej Matki. Kordecki nikomu bramy nie zamknął, a gdy go pytano czy wpuszczać do twierdzy, odpowiadał:

— Wszystkich do nas, od nas uikogo.

To rozporządzenie czasu wojny było konieczne; po-trzeba było obwarować się takim zamknięciem, by nie-przyjaciół nie wiedział, co się działo na Jasnej-Górze, którą tak dumnie zwał kurnikiem.

Miller wyszedłszy późno z obozowiska swego, i nie zrobiwszy dnia pierwszego nad dwie mile, gdy go noc jesienna zachwyciła ze słotą i ciemnością nieprzebitą, musiał się przy pierwszej jaką spotkał zastanowić wio-sieczce. Była to mała osada. z kilku chatek złożona, której niewielki dworek stary panował na wzgórku oto-czony ogródkiem. Znać nieprzyjaciół wprzód tu jeszcze nie gościł. bo pozór miała zamieszkania i we dworku się świeciło. Żołnierzom więc kazano koło żydowskiej gospody we wsi położyć się obozem, i zająć okolice, rugując z chat wieśniaków. Miller z Wejhardem i Sa-dowskim popędzili przez grobelkę i błotami otoczoną drogą do dworu.

Nie widzieliśmy dotąd Sadowskiego, który częścią wojsk pod dowództwem Millera zarządzał; musimy kilka słów o nim powiedzieć.

Wacław Sadowski nie był Polakiem, jakby z nazwiska wnosić można; urodził się w Czechach jak Wejhard, ale z uboższej rodziny; szukając losu, zabłądził potem do Polski dla chleba, i w dobrach Maksymiljana Miaskowskiego, kasztelana Krzywińskiego, trzymał jakiś czas dzierżawę. Dyssydentem będąc, nie mile widziany od okolicznej szlachty, dumny a bolejący na to odtrącenie, gdy i inne jeszcze z powodu różności wiary spotkały go nieprzyjemności, stał się wrogiem Polaków i Polski, okoliczności tylko czekając, by za swój ból zapłacić. Gdy wojska Karola Gustawa weszły do kraju, jeden z pierwszych ofiarował mu usługi swoje, a jako znający Polskę, jej język i obyczaje, dobry żołnierz przytem, został przyjęty i mianowany pułkownikiem. Sadowski wiele, pomimo karmionej w sercu nienawiści, miał dobrego w sobie; pobożny w swej wierze, szlachetnych poruszeń serca, dobroczynny, brzydził się zdradą i zdrajcami, sam w sobie jako obcy, nie czując do niczego obowiązany dla Polski, która go niegościnnie przyjęła, wojował ale uczciwie, z uczuciem rycerskiej prawości, walczył ale się nie pastwił, owszem na widok okrucieństw Millera, które jeneral nakazywał obojętnie, z których Wrzeszczewic się uśmiechał, na które Kaliński milczał, on śmiało się oburzał i krzyczał; często sam bronił od napaści i zaślaniał od gwałtów. Milczący, zimny na pozór, surowy dla żołnierza, pod tą postacią wojaka, miał serce pocziwsze, żywo bijące w piersi, i wiele uczucia; słowo wyrwało się z ust jego nie łatwo, ale jak piorun nagłe, głośne, krótkie i nieodwołane; niżsi obawiali się go i koci ali razem, a gdziekolwiek z komendą swoją przebywał, dziwił się lud i szlachta, nie znajdując w nim przesładowcy, którego się obawiał.

Milczący jak zawsze, jechał Sadowski z Wejhardem i Millerem ku dworowi, hrabia nucił piosenkę, Szved klął djablami na błoto, ciemności, ślizgawicę, a gdy

mu się jeszcze ciężkie jego konisko potknęło na drodze, wściekał się i bił niemilosierdzie, szarpiąc mu boki ostrogą. W takim usposobieniu wszyscy trzej, ze służbą jenerała, stanęli przed ganeczkiem, i Miller wrzasnął przeraźliwie kilka słów polskich, których nauczył się na szyderstwo i niemilosierdzie je przekreślał.

— Pan szlachcic! skurczypalka! podaj ognia! Wejhard ruszył ramionami, Sadowski zsiadł w milczeniu, i gdy się Miller z ciężkiego jak sam fryza stoczył, wszyscy trzej weszli do sieni. Tu z lojówką w rękę stał wysoki, chudy mężczyzna, w długim po kostki sieraku, z wygoloną głową, ze spuszczonej wąsami, osłupiałem patrząc okiem na gości, w których niespodzianie Szwedów poznawał; i nie mogąc słowa wyrzec, otworzył tylko drzwi w lewo do sporej izby, czystej i porządnej, w której drugi podobny starzec, zgarbiony wiekiem, łysy, siwy, siedział w krześle, a obok niego piękne dziewczę piętnastoletnie może, z długimi zaplecionymi wstążką kosami, z pończoszką w rękę, stało jak ściana zbladłe i drżące.

Ta izba, tych ludzi dwoje, a naprzeciw nich trzej Szwedzi zbloceni, obmokli, na których twarzach małował się gniew, niechęć lub bezlitośne szyderstwo, przedstawiali obraz dziwnej sprzeczności. Znać było w tem ustroniu niczem jeszcze nie zamącony pokój; życie wiejskie. ciche, pogodnie płynące pod strzechą słomianą a tuż naprzeciw niego stali ludzie, co żywota rodzinnego zabyli, co się swych familij zaparli, co przywykli byli burzyć, wywracać i zabijać, z dnia na dzień za nową pastwą ruszając dalej a dalej.

To też z obu stron na twarzach tych osób, które raz pierwszy w życiu w oczy sobie spoglądały z zadziwieniem, ze strachem, malowały się uczucia wytrysłe z tego zetknięcia niespodzianego. W oczach krwią zaszlętych Millera był gniew i żądza znęcania się, może za to, że on się tułał bez dachu, a oni tu cicho dni pędzili w cieple, ustroniu, dostatku; Wejhard spoglądał na starca i dziewczynę z uśmiechem rozpustnika, Sadowski westchnął, bo mu przyszła na myśl kędyś w gó-

rach lasem osłoniąta siedziba rodziców starych, i ojciec zgrybiały i matka i siostrzyce...

Na twarzy szlachcica wyryła się bojaźń i cierpienie, niepewność i obłąkanie rozpacz; widać było, że pragnął się bronić, a czuł bezsilnym i bolał w sercu; wzrok jego spotkał na ścianie stary krzyż czarny i westchnienie z piersi się wyrwało. Na licu ślicznego dziewczęcia, śmiertelna bladość pokryła wyraz niepokoju i ciekawości; widać było, że całego nie rozumiała niebezpieczeństwa i myślała o dziadku, którego ręką objęła; nie o siebie, o niego tylko się troszcząc. Sliczne to było polskie dziewczę, z niebieskimi oczyma, z jasnym włosiem, z białą twarzyczką podługną, a takie wysmukłe jak powiewna trzcina, a tak wątłe, że zda się wiatr by ją uniósł swem tchnieniem, i takiego coś miała anielskiego w obliczu, że kochać się i szanować razem nakazywała na pierwsze wejrzenie. Znać w niej było starca i pieśczoć, ukochanie i jedynactwo.

Dworek był ubogi; chata to raczej spora, jak włościańskie domostwo, ciasna, biedna ale schludna. Ściany jej były powychylane, polepione, niskie, sprzęt stary i zużyty, a oprócz starej szablisy, prócz misurki i pan-cerza, krucyfiks na ścianie, krapielnicy u drzwi, ławy tylko proste, stół od siekiery; ani kobierca, ani matki, nic coby dowiodło zamożność choć skromną. Z pozostałości tylko drobnych wniesć było można, że w niej mieszkał człowiek niegdyś dostatni; ale z nich także i dzisiejsze patrzyło ubóstwo; bo nic nie pozostało krom tego, z czem się już rozdzielić niepodobna, co jest czią, świętością, pamiątką, do czegośmy przyrośli.

Miller rozpatrzył się po izbie i prychnął przekleństwem, Wejhard mu coś poszepnął, zwrócił oczy ku starcowi i padł przy piecu na ławę.

Stary szlachcic wstał i trzymając się stołu, widać chory na nogi, nie śmiał usiąść, a ciężko mu było tak wytrwać; dziewczę tuliło się do niego, bojaźliwie rznając oczyma na przybylców.

— Pan szlachcic! — zawołał Miller połamanym językiem — jeść! pić!

Wejhard z pańską dumą i zmarszczoną brwią zbliżył się do szlachcica, chciał coś mówić, ale niechętnie odzywając się po polsku, obejrzał się na Sadowskiego, aby go wyręczył.

— Powiedz mu pułkowniku — rzekł po czesku — niech wie kto jesteśmy, i przyjmuje nas czem ma, i jak może najlepiej.

Sadowski postąpił kilka kroków, zdjął żelazną przyłbicę i odezwał się dość łagodnie:

— To jenerał lejtnant Miller, dowódzca wojsk J. K. Mości Karola Gustawa, to hrabia Wejhard naczelnik oddziału, ja jestem pułkownik Sadowski; przybyliśmy u waszmości przemocować, zechciej nas pokarmić i ogrzać.

— Z całej duszy, z całej duszy — spieszu nie podchwycił starzec, usiłując iść, a postąpić nie mogąc — idę, rozdysponuję, co panowie każecie; ale u mnie pustka i bieda.

— Alboż tu już kto był? — spytał Sadowski.

— O! i nieraz — zawołał szlachcic — zwłaszcza na wsi, bo jakoś dwór Pan Bóg bronil, ale co mam...

Stary wsparł się na ramieniu wnuczki, i powolnie do drzwi bocznych się przesunął. Wejhard razem z Millerem powiódl okiem za dziewczynką.

— A co? — rzekł hrabia — nie śliczne jabłuszko?

— Ba! — odparł Szwed гладząc wąsa — właśnie co ja lubię, młodziusieńkie, malutkie, cacko! Ale do-
kądże poszli, niechby tu z nami zostali, jeśli nie oboje, to choć ona?

Sadowski z niejakim oburzeniem spojrział na obu i rzekł do nich:

— Poszli przyjmować jenerała.

— Ale powrócą? — spytał Miller.

— Każemy im przyjść — dodał Wejhard.

W mgnieniu oka na kominie rozpalono ogromny ogień ogrzewający izbę całą, stary sługa z pod oka mierząc Szwedów, przyniósł dzban miodu, misę jabłek,

chleb, masło i wędlinę, obiecując, że wkrótce będzie i wieczerza.

Miller rzucił się naprzód do miodu, bo go lubił i powiadał, że w Polsce dwie tylko rzeczy dobre: stary miód i srebro stare; ale się skrzywił skosztowawszy, bo to był trunek świeży, niewytrawny i niesmaczny; krzyknął więc na sługę rzucając mu czarką w oczy, aby podał co lepszego.

— Nie ma — odpowiedział sługa ruszając ramionami, dalipan, że nie ma.

— Jak to być może, żeby u polskiego szlachcica starego miodu nie było? — zapytał Sadowski z przekąsem.

— A tak jest, bo to widzi JWpan — rzekł powołał sługę, rad że się rozgada — nasz pan miał się kiedyś bardzo dobrze, dwie wioski dziedziczył i nie łąda wioski, było wówczas i miodu i wina dostatkiem, ale jak się do nas nwiązał proces, wszystko zjadł i myśmy się zostali o jednym dworku, o kilkun chatach. Bo to widzi JWpan... u nas teraz bieda, gdzie tu o miód pytać, kiedy często schnie głowa, żeby chleba nie zabrakło... i za to Panu Bogu podziękować jeszcze trzeba.

Sadowski ruszył ramionami i rzekł do Millera:

— Żleśmy się wybrali, panie jenerale, to uboga chata, niewymyślnie nas przyjmą, bo nie mają czem.

Jenerał wciąż kłął po swojemu, pomyślawszy jednak, podniósł czarke z podłogi. i że wołał pić zły miód niż żadnego nie mieć, wrócił skrzywiwszy się do dzbana; ale ponury był, gniewny i oczy mu powoli krwią nabiegały.

— Czemu gospodarz nie przychodzi? — rzekł po trzecim kubku — cóż to my zwierzęta jakie, że z nami i nsiąć w jednej izbie nie chce; znać Kaźmierzowski poddany jeszcze i Szwed mu nie pachnie. Ale zjecie licha, musicie go mieć za pana.

I krzyknął:

— Wołać gospodarza! niech przyjdzie.

Wkrótce przywłókł się starzec z wnuczką, o kiju idąc, i opodał, poprosiwszy o pozwolenie usiąść, zajął

sobie miejsce w kątku. Hanna stanęła przy nim, przysuliła się objęła go, drżeli oboje.

Sadowski, który to postrzegł i uczuł się tą bojaźnią dotknięty, zbliżył się do nich przechodząc, i półgębkiem szepnął:

— Cóż u licha? nie bójcie bo się, nic się wam nie stanie.

Jenerał ciągle rzucał z podelba, krwawy swój wilczy wzrok na biednego szlachcica.

— A spytaj-no go — rzekł do Sadowskiego — czy przysiągł Karolowi Gustawowi?

Sadowski powtórzył pytanie i nie czekając odpowiedzi, rzekł:

— Tak! tak!

Ale stary podniósł się oburzony, mimo złamania chorobą i wiekiem, zapłomieniał, potrząsł wyraziście głową i zawołał: — Nie! nie!

— Jakto? nie? — zakrzyknął Miller, który zrozumiał szlachcica — a to dla czego?

— Nie gniewajcie się jenerale — szepną Sadowski niby obojętny, i zaraz za gospodarza odpowiedział:

— Nie przysiągł, bo nie było komu słuchać go przysięgi.

— Powiedz pan, zem nie przysiągł, bo mi sumienie pierwszej przysięgi łamać nie dozwala, jednego mam i znam pana, Najjaśniejszego Jana Kazimierza...

Miller, który trochę po polsku rozumiał i przewąchał, że Sadowski źle mu tłumaczy, podał kubek nany miodem starcowi i rzekł nagląc: — Na, pij! za zdrowie Karola Gustawa.

Starzec odsunął czarę.

— Nie piję nic — rzekł śmiało.

Sadowski wmięszał się między nich znowu.

— Chory pić nie może — dodał żywo.

— Przecież go własny miód nie struje! — naglił jenerał. — A no! szlachcie polski! *vivat Carolus Gustavus!*

Starzec spojrział na wnuczkę, widać było, że gdyby

nie ona, byłby innemi odpowiedział słowy; ale się wstrzymał i odwracając do Sadowskiego, jął prosić.

— Panie pułkownik! — rzekł — wytłumaczcie mnie, stary jestem, pić nie mogę.

— Jenerale, dajcie pokój starcowi.

Dziewczęciu lży w oczach stały, obrzona, zarumieniła się, i jakoby skoczyć chciała przeciw urągającemu Szwedowi, tak zabłysły jej oczy.

— Niech pije — rzekł jenerał — niech pije lurę, którą nam dał, a jeśli nie spełni za zdrowie króla, to nieprzyjaciół, okuć go każę i za wojskiem powlokę...

— Pij pan — mówił Sadowski — nie gniewaj go.

— Nie mogę pić i nie będę pił — stanowczo odparł starzec, prostując się i przyciskając ku sobie wnuczkę — wasz Karol Gustaw rabuś i najeźdnik, ja go nie znam za pana.

Sadowski pogardliwie ruszył ramionami.

— Co on tam szczeka? — spytał Miller.

— Mówi, że stary i pić nie może.

— A co mi waży jego zdrowie! pij szlachcic polski skurczypałka! — zagrzmiął śmiejąc się.

Starzec popchnął czarękę, którą mu stawiał gwałtownie Miller, z oburzeniem niewysłowionem, które się wylało całe w jego spojrzeniu.

— To buntownik! — krzyknął Szwed i — hej! związać go i do obozu!

— Jenerale! — rzekł Sadowski chwytając go za rękę, tym sposobem obchodząc się, nie zjednamy sobie Polaków dla sprawy Karola Gustawa.

— Bierz ich djabel! i bez ich łaski królować on tu będzie.

— Stary, uchodź! — rzekł Sadowski — uchodź i skryj się...

Ruszył się szlachcic, ale mu jenerał drogę zaparł i cisnął go o krzesło, wołając po szwedzku.

— Siedź! hej! Indzi! niech go zwiążą tego buntownika! albo nie, to pij za zdrowie Karola Gustawa.

Wejhard całej tej scenie przypatrywał się obojętnie nie mieszając się do niej; z ławy na której siedział.

poglądał na dziewczkę, muskał wąsa, i śmiał się trochę, niewiadomo z Millera złości, czy z kłopotu starca. Na Sadowskim widać było oburzenie i niecierpliwość, bo zębami zgrzytał.

— Uchodź! — powtarzał staremu — uchodź, póki czas.

— Woła Boża — odparł szlachcic — niech sobie robi zemną co chce, a ty pocziwy człowiecze, nie daj się pastwić nad biednem mojem dziecięciem, masz może siostry, masz matkę w swoim kraju.., ocala ją tylko...

Hanna przeraźliwie krzyknęła, uwiesiła się na szyi starcowi i płakała jak dziecko, co chwilę powtarzając: O Boże! ratuj nas! Boże! ratuj!

Wtem drzwi się otworzyły, wszedł pan Komorowski dowódzca polski, człek słabego ducha, i poniewolny partyzant dziś szwedzki, który właśnie z Millerem szedł pod Częstochowę; choć ani on, ani jego podkomendni nie chcieli pomagać Szwedom przeciwko miejscu świętemu; ale ciągnieni rozkazem, musieli powiększać na oko siły Millera, zapowiadawszy mu wszakże, że się bić nie będą.

Komorowski ubrany był po polsku, twarz zresztą jego zdradzała Polaka; na widok przybywającego, starzec rzucił się z krzesła i krzyknął:

— Jeśli w Boga wierzysz pułkowniku! ratuj nas!

— A to wy panie Lassoto w tych opałach! — odpowiedział Komorowski i obrócił się z marsem do Szweda, odzywając po łacinie:

— Panie jenerale, to mój stary znajomy, starzec bezsilny, godziź się go tak nękać, także to pięknie dostrzymujecie nam obietnic króla, który zapewnia bezpieczeństwo wszystkim?

— A wy zapomnieliście uniwersalów! — odparł Szwed, to buntownik, czemu pić nie chce za zdrowie Karola Gustawa?

— Panie Janie, a czemuż bo u licha nie pijesz za zdrowie króla, choćby z jezuicką restrykcją...

Stary się wzdygnął.

— I nigdy pić nie będę — rzekł — za pustoszy-
ciela i ciemiężcę.

Tymczasem Miller nieco ochłonał, wrócił pod piec i spojrzawszy na dziewczkę, rzekł trochę udobruchany:
— No! no! nie bójcie się, to były żarty żołnierskie, powiedzcie mu żem sobie żartował, niech siedzi spokojny, nic mu się nie stanie!

Ale uśmiechem zradnym dokończył tych słów, i Wejhard z Sadowskim porozumiełi, że to nie był ostatek ale początek prześladowania. Generał dolewał sobie młodego miodu bez miary, poił przytomnych, posadził Komorowskiego nad dzbanem, począł śpiewać, a coraz to spozierał na Hannę.

— Waćpan znasz i tego szlachetkę — spytał Komorowskiego.

— Znam go dawno, nawet jesteśmy sobie trochę krewni — odparł pułkownik, wymyślając powinowactwo, którem zresztą cała szlachta polska związana była z końca w koniec kraju, bo któż z kim nie miał kolligacji?

Miller sie namarszczył i urwał rozmowę, więcej o nic nie pytając. Podano wieczerzę niewykwintną wcale; był krupnik z półgęską zasypany kaszą jaglaną, kluski z serem i stara kura pieczona, a w douatku ten sam miód co wprzód. Miller go już zapijał nie wykrzywając się, i znać było, że sobie nim dobrze dogodził, bo się chwiał na nogach, oczyma krwawemi przewracał dziko i śmiał się co chwila. W czasie wieczerzy, gdy wszyscy przy misach byli zajęci, odwiódł Wejharda na stronę.

— Słuchaj hrabio — rzekł, jutro rano szlachcica w kij związać i do obozu razem z wnuczką; — rozumiesz, dasz rozkazy stosowne.

— Dobrze! dobrze! obojętny odparł Wejhard.

Sadowski podsłuchał jednym uchem tej krótkiej rozmowy, i szepnął kilka słów Komorowskiemu. Pułkownik polski uczył mocno Millerowskie barbarzyństwo, ale nie dał znać po sobie tego; wziął starca pod rękę i razem z wnuczką wyprowadził ich do bokówki.

— Każ zaprządz wózek — rzekł mu po cichu — i nie zwlekając uchodź. Miller cię jntro związać kazał.

— Widzisz moje kalectwo — z westchnieniem odparł Lassota — a wiedzieć musisz ubóstwo, jak i dokądże uciekać?

— Jużciż zostało ci parę koni i o parę talarów nie tak już trudno; choć noc, znacie zapewne okoliczne drogi, zabieraj się z tem co masz droższego, i ciekaj. Wiem, rzekł Komorowski zapobiegając — że się sam śmierci i prześladowania nie boisz, żeś mężny choć złamany, ale to o dziecię twoje chodzi nie o ciebie. Miller wszystkiego dopuścić się może.

— Lassota pobladł i zadrżał. — Ha! woła Boża! rzekł — więc muszę jechać, każcie mnie swoim kilku przeprowadzić po za obozy, żeby Szwedzi nas nie pochwycili.

— To ja z Sadowskim obmyślę — szybko odpowiedział Komorowski — a żywo panie Janie, żywo.

— Dokądże? radźcie mi!

— A choćby do Częstochowej! — rzekł Komorowski — idziemy wprawdzie na nią, siłą, musem ciągnięni, ale żebyśmy tę twierdzę zdobyć mieli, nie tnszę.

— Jaktó! wy! idziecie na Jasną-Górę?

— Tak! tak! ale panie Janie, na rany Chrystusa, to nie pora gawędzić, uwijaj się i jedź.

— Przeznaczenie to widać żebym jeszcze brata przed śmiercią zobaczył — dodał cicho starzec — wiecie że mam rodzonego u Paulinów w Częstochowie.

— Tem lepiej panie Janie, więc żywo i ruszajcie póki czas.

W półgodziny później, wózek stał zaprzężony za ogrodem, stary Jakób powozil, a Lassota z wnuczką usiedli i puścili się manowcami ubocznemi ku Częstochowej. Kilku żołnierzy polskich przeprowadzili ich daleko za obóz szwedzki.

Miller kazał w izbie nasłać słomy i rozgościł w niej na nocleg, pewien że rozkazy jego spełnione zostaną, nie pytając już więcej o gospodarza. Wejhard i Sadow-

ski układali się przy nim; ale nim do snu poszli, Szwed pozejmował ze ścian szablę i zbroję Lassoty, popatrzył na nie, popróbował i zabrać ją kazał, krucyfiks tylko pozostał.

Wejhard odłożył do rana spełnienie rozkazu względem Lassoty, ale gdy się przebudził o świcie i przypomniał dane polecenie Miłłera, dowiedział się zarazem, że szlachcic z wnuczką wczoraj jeszcze uszli w nocy.

Generał zasłyszawszy o tem, począł gniewać się na hrabiego i podejrzywał mocno Komorowskiego o ułatwienie ucieczki, ale mu nic nie powiedział. Kilku tylko żołnierzy wysłał w pogoń, na różne trakty, obiecując sowitą nagrodę za pochwycenie zbiegów, a sam z komendą swoją powoli wyruszył ku Częstochowie.

IX.

Tegoż dnia spotkał oddział szwedzki poseł, od Stanisława Warszyckiego kasztelana Krakowskiego, niegdyś dobrze znajomego Wejhardowi, ale dziś w przeciwnym stojącego obozie, z listem do niego wyprawiony.

Zakonnicy błagali Kasztelana o opiekę, a Warszycki postanowił spróbować wszelkich środków i prośbami usiłował zmiekczyć Czecha, katolika, aby nie napadał Częstochowej i myśl jej Szwedom odradził.

Wejhard odebrał pismo i przeczytał je z miną zwycięzcy; prośba ta świadczyła o przestachu jaki rozsiewał, uśmiechnął się polectany nią, ale się razem do zemsty rozżarzył. Posłańcem był jeden z księży Paulinów, Hjacynt Rudnicki, profess, młody człowiek wielkiego zapалу i gorliwości, na którego twarzy małowala się niezachwiana ufność w Bogu i odwaga niezłomna. Wrzeszczewic spojrzal nań tylko i pogardliwie odparł:

— Powiedźcie kasztelanowi, niech rusza, jeśli mu się podoba, na odsiecz świętemu miejscu przez nabożeństwo, bo wojsko królewskie nadciąga, i burzy, którąście na głowy wasze naprowadzili sami, nie teraz odwrócić nie może...

Chciał coś mówić Rudnicki, ale Wejhard odwrócił się od niego.

Miał i drugie pismo od zakonników do Sadowskiego Rudnicki, bo znano go ze szlachetniejszego charakteru, i choć był luteranin, nie wahali się Paulini prosić go o radę i opiekę.

Zakonnik wypatrzył chwilę, gdy pułkownik Sadowski był sam jeden, i podkradł się ku niemu z pismem przeora.

Zmarszczył się Czech, rozpieczętowując list, przeczytał z uwagą i po chwili milczenia — rzekł do oczekującego professa: — Niema żadnej rady, któraby od was wojsko już przeciw Częstochowie odwróciła i musicie się poddać; poddała się cała Polska. Jedno tylko, żeby waszą ufność zawdzięczyć, powiem wam. Opierajcie się jak możecie, nie drażniąc nieprzyjaciela zachwalstwem, traktujcie a traktujcie zwlekając, podawajcie coraz nowe warunki, wymyślajcie sobie powody przecignięcia i starajcie tymczasem wyforsować jak najdogodniejsze artykuły, nie nadto nie widzę, — poddać się trzeba, starajcie się jak najmniej szkodować. To powiedziawszy Sadowski pożegnał żywo Rudnickiego, który spiesźnie odszedł.

List Paulinów tyle tylko sprawił, że Sadowski w ciągu drogi usiłował wszelkimi sposoby zrazić Millera od przedsięwziętego zdobywania Częstochowej, obawiając się gwałtownego charakteru jego w razie zdobycia. Ile razy Miller zahartowany do niewczasu a lubiący wygodki, kłął słotę i zimno, Sadowski wpół żartem, wpół serjo radził mu się wrócić, obiecując sam z księciem Hesskim i Wejhardem dobić tego, jak oni zwali, kurnika.

— Wielka ci sława przyjdzie z tego, panie generale, powtarzał Millerowi, jeśli dobędziesz klasztoru i zwyciężysz mnichów, a cóż za wstyd okrutny, jeśli ci się nie dadzą!

— Jakto być może! krzyknął w passji generał — ja zniszczę ich ze szczętem.... kamień nie zostanie na kamieniu....

Wejhard przeciwnie, podbudzał Millera i łatwem malował mu zdobycie, a z Sadowskim spierał się do

znecierpliwienia; ale jako człowiek przedewszystkiem dbający o okazanie dobrego wychowania, i jak to wówczas zwano polityk, nawet gniew okazywał tylko grzecznem choć bolesnem szyderstwem.

Wysłani na wszystkie strony w pogoń żołnierze za panem Lassotą powracali z uwiadomieniem, że szlachcic ku Częstochowie się wykradł, ale tak jechał pospiesznie, mając kilkanaście godzin przed niemi, że go dopędzić i schwytać nie było sposobu.

Wojsko szwedzkie połączone z oddziałem księcia Hesskiego, powolnie pusuwało się ku Częstochowie.

X.

Tymczasem do klasztoru tulił się kto mógł pod opiekę Najświętszej Panny Królowej; okolica wyludniała się przed Szwedami, szlachta płynęła tłumnie na Jasną Górę, a brama otwierała się na każde wezwanie przed wyleknionemi zbiegami. Mieszczono ich jak było można, podwórce wszystkie zawały wozy, konie i lud mnogi. Codziennie przybiegali posłańcy z najdziwniejszymi nowinami do klasztoru, a przeor o każdym kroku Millera był uwiadomiony, i choć siły szwedzkie przesadzano, on się ich wcale nie lękał. Przyjaźni klasztorowi sąsiedzi nadsyłali, spiesząc i korzystając z chwili wolnej, zapasy żywności ogromne, broń i ludzi, jeden kasztelan Warszucki dwanaście sporych dział dostarczył, które w samą porę nadsięgnęły.

Ksieża jakkolwiek wszyscy jednomyślnie postanowili się bronić, w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa, widząc postrach szlachty, która się tu zbiegała, owiani bojaźnią powszechną, wyraźnie tracili serce. Kordecki z litością spoglądał na przestraszonych, bo w jego duszy niepostało zwątpienie, owszem w miarę jak się groźne zbliżały tłumy, nabierał ducha, ożywał się i zdawał w dwójnasób nabywać powagi wodza i przezorności dowódcy. Dnie całe spędzał w podwórzu i na murach, nocę na modlitwie i czujnej straży, ciągle czynny, zawsze wesół i pogodnej twarzy, niósł z sobą ufność, roz-

siewał spokój, pocieszał i wskazując nieustannie na niebo, podnosząc myśli do cndu, kazał weń ufać i wierzyć.

Modlitwa była jego wielką zbroją bojową i nią jak żelazem obwarowywał piersi słabszych. dźwigając umysły, rozgrzewając serca, od ziemskich trosk wiodąc je do śmiałego wejrzenia na przyszłość pogodną. Zimna rachuba nie miała do niego przystępu, olbrzymiemi rozmiary posiłki niebieskie i potęgę zapału, natchnienia, wiary, oceniał; gdzie mu czego zabrakło, dopełniał niemi.

Mimowolnie widok jego ufności i wytrwania przeważny wpływ wywierał nawet na najsłabszych; gdy się oddalił, szemrano i stękano może, obawiano się i przepowiadano zgubę, lecz zaledwie się ukazał — przemówił, odezwał. uśmiechnął, bojaźń jak mgła rozpierzchnęła się cudownie, wstępowało w serca mężstwo i nadzieja. — Korzystano w klasztorze z chwili swobodnej jeszcze, by się potężniej obwarować i przygotować do boju, rucń był nieustanny dniem i nocą; lecz wśród tych zajęć Paulini nie opuszczali żadnej z modlitw, do których byli obowiązani, i chór północny i jutrznie z największą odbywały się ścisłością.

— Módlmy się, powtarzał przeor, żołnierz ostrzy broń przed walką, my zaostrajmy ducha, który jest bronią naszą, módlmy się i czuwajmy. Przypomnijmy tu, że zakon Paulinów, nazwany od świętego Pawła, pierwszego pustelnika, choć z czasem upłynionym od założenia jego w wieku XIII. nieco w zachowaniu ścisłej reguły pierwotnej mógł zwolnieć, był jednak jednym z najostrzejszych. Przypominanie nieustanne ostatniej godziny śmierci było jednym ze środków, których reguła dla podniesienia ducha w zakonie użyła. Ta myśl śmierci panowała całemu życiu zakonnika, niektóre klasztory na szkaplerzu białym nosiły nawet znamie śmierci — wyszytą głowę trupią, czego jednak w Polsce nie zachowywano, ale to godło znikomości powtarzało się często w kościele i klasztorze i uderzało oczy co chwila. Ostre posty, włosiennice, praca ręczna pustelników niegdyś, dziś zakonników już tylko, przygotowywały nieustannie do zgonu. W refektarzu pod wielkim krzy-

żem, który zajmował główną ścianę naprzeciw stołu przeora leżała trupa głowa, którą wszyscy bracia całowali nim do stołu zasiedli, a lektor pobłogosławiwszy stół, kończył słowy:

— Pamiętajcie na godzinę śmierci, a nigdy nie dopuście się złego.

W każdej celi stało na klęczniku pod krucyfiksem to przypomnienie śmierci. Gdy przyjmowano professów do zakonu, na uroczystych obłóczynach kładziono go w pokrytą całunem trumnę a chór zakonników śpiewał nad nim:

— Panie, nie pomnij grzechów jego w godzinie straszego sądu....

Przerażające *De profundis* dzieliło go na wieki od świata, przenosiło w to pośrednie stanowisko swobody i zrzeczenia się siebie, na którym żywot cały był tylko przygotowaniem do śmierci.

Potem z kolei przychodzili wszyscy bracia przed trumnę nowego zakonnika, i kropiąc go wodą święconą wołali mu:

— Bracie — umarłeś światu, żyjesz *Bogu!*

W ostatku śpiewano: *Libera* i modlono się jak za umarłego: *Panie, nakłoń uszy Twoje....*

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma powstawał z trumny zakonnik nowym rzec można człowiekiem, bo wielka, straszna, niepojęta jest siła modlitwy. — Zakonnicy i w XVII. wieku jeszcze od głównych przepisów reguły św. Augustyna nie byli wolni, modlitwy nocne, włosiennice i paski, dyscypliny, posty, spowiadanie chorych, grzebanie umarłych nieustannie wprawiały ich w to zaparcie się ciała, które jest najpiękniejszym zwyczajstwem na ziemi, bo ze wszystkich najtrudniejszym. Kordecki pilnujący regułę ze ścisłością, którą przechodził wszystkich poprzedników swoich, od czasu jak stał po dwakroć na czele zgromadzenia, podniósł go na duchu i wzmocnił w poświęceniu. Natchniony jak ci wielcy mężowie, co pierwsi byli założycielami zgromadzeń pustelniczych i zakonnych, owiany pobożnością, wyzuty rzec można z ciała, które podbił duszy, ani sobie ani

drugim nie przebaczał. Ale surowość jego była ojcowską i łagodną, nikogo milej i serdeczniej nad niego nie słuchano, bo proroczem wejrzeniem zawsze zajrzał w głębi człowieka, i uczucie a myśl skłonniejsze ku światu wnet jak czujny ogrodnik gałąź pochyloną, troskliwą podnosił ręką.

W miarę jak się zbliżali Szwedzi, szli razem z zapalem i pośpiechem dopełnianie przygotowania obrony, wspierane gorącą modlitwą. Długie godziny pobożnego zachwytu usposabiały ludzi do poświęceń, wznosiły ich ponad ziemię i marne rachuby zacierały w ich oczach. Wszystko potężniało i rosło w ołzawionem wejrzeniu pobożnych.... a strach odlatywał jak dym wlokąc się po ziemi. Pomimo tego potrzeba było największej pilności, czuwania i pracy nieustannej, by utrzymać mężstwo trzódce zebranej bojaźnią, spędzonej postrachem; szlachta, mieszczanie, przybyłcy sieli popłoch co godzina nowy, a przeor codziennie chwast ten z serc wyrwać musiał.

We Środę, dnia siedmnastego Listopada ku wieczorowi, pomimo że klasztor już był zbiegami napelniony, usłyszano pukanie do bramy, a ksiądz Piotr Lassota, z polecenia przeora dodany furtjanowi do straży wrót pierwszych, otworzyć kazał wzywającym przytułku.

Małeńki wózek ukazał się na moście, siedł przodem przed nim ksiądz Hjacynt Rudnicki, wracający z Wielunia i nieprzyjacielskiego obozu, za nim Michał Chlebowski z tegoż klasztoru wysłany, a na wózku jechał Jan Lassota z wnuczką Hanną.... Na koniach jego spędzonych i bokami robiących znać było pospieszenie przebytą niemałą drogę.

Zakonnicy powitali się uroczystem: *Memento mori*, westchnieniem i kilką słowami, a ksiądz Piotr Lassota pobrał, ujrawszy brata i jego wnuczkę, których się najmniej nie spodziewał. Oczom swoim zdawał się nie wierzyć, żywo przybiegł do wózka i więcej okazywał przestachu niż radości; ścisnął rękę pana Jana, pocałował dziewczę w czoło i załamując dłonie zawołał:

— A! i ty tu bracie? jakimże losem, jakimże trafem?

— Opowiem ci co mnie tu zagnało, lecz wprzód daj mi kątek, bym spoczął trochę, czuję się złamany drogą, wiesz moje cierpienia, miarkuj jak mi ich przybyło, w wilgotną porę, niewygodnie jadąc dniem i nocą dla ocalenia tego dziecięcia.

Ksiądz Piotr chciał coś mówić, ale zbladła twarz brata, jego lice zchorzałe nie dozwoliło mu; Hanna wołała szybko:

— Kochany księże Piotrze, daj kątek dziaduniowi, biedny ledwie się przywłókł, jęczał całą drogę....

Oniemiały, zamyślony, pospieszył przodem ksiądz Piotr, zapomniawszy bramy i straży, prowadząc wózek brata, i w odległym dziedzińcu, w wielkiem skrzydle zabudowań klasztornych, wychodzącem ku murom okolnym, wskazał izdebkę wśród mnóstwa już przez szlachtę pozajmowanych mieszkań. Gdy z pomocą ludzi paralityka złożono na słomie i pierwsze jego zaspokojono potrzeby; dwie łzy puściły się z oczów zamyślonemu kapłanowi.

— Czego płaczesz? spytał go Jan, wszakże i my tu bezpieczni pod opieką Matki Bożej?

— Wiesz-że gdzie jesteś? odparł ksiądz Lassota, oto — pod jednym dachem z tym, któremuś nie przebaczył.

— Jakto! schwycił się Jan, porywając na nogi i opierając o ścianę, jak to! Krzysztoporski tutaj? ja z nim?... Puszczajcie mnie! wolę wpaść w niewolę Szweda... I podniósł się cały drżący, a Hanna objęła go rękami, zachodząc się od płaczu.

— Uspokój się bracie, nic on ci tu uczynić złego nie może, lecz musiałem wcześniej oznajmić ci, że go znajdziesz...

— Krzysztoporski tu! Krzysztoporski tu! ja z nim, powtarzał Jan Lassota, rozdzierając na sobie odzienie — puszczajcie mnie, puszczajcie, pojedę dziś, zaraz, zostać tu nie mogę...

— Na Boga! uspokój się bracie, zawołał ksiądz Lassota powolniej, chciałem być od razu połknął tę gorycz i przeniósł ten cios po chrześcijańsku.

— I będę patrzył na niego — na tego co mi wydarł wszystko, co zabił tych których kochałem, — na wroga, na ciemiężcę mojego!

— Bracie, wszyscyśmy dzieci Chrystusowe....

— Ja tu nie pozostanę, zerwał się powtórnie z łóża starzec — nie, nie! nie chcę, nie mogę! jadę. Hanno prowadź mnie, jedźmy....

Gdy to mówił i wciąż siłił się ruszyć z okiem zaiskrzonym, z usty drżącymi, — przeor ukazał się we drzwiach z pogodnym swoim obliczem.

— Kogoż to nam *Bóg* sprowadził? zapytał księdza Lassotę.

— To biedny brat mój, ojczcie, rzekł ksiądz Piotr....

— Dla czegoż chce jechać? cicho i łagodnie wymówił Kordecki, którego uszów doszły ostatnie słowa starca. Ksiądz Piotr spuścił głowę i jak zwykle, zmieszany, zarumienił się tylko, a szlachcie drżący i zburzony podniósł głos zaraz:

— Proszę mnie wypuścić, rzekł nalegając na księdza Kordeckiego; przybyłem tu niewiedząc, że z naj-sroższym wrogiem moim pod jedno schroniłem się skrzydło, z wrogiem co mi prześladowaniem odjął jedyne skarby moje: żonę, córkę.... co nas nękał i chleba pozabawił, co i tu spokojności nie da — ojczcie, każ mnie wypuścić....

— Moje dziecko, odezwał się przeor poważnie, tu nie ma wrogów i nieprzyjaciół, tu są dzieci jednej matki, nieszczęśliwi a mężni jej obrońcy; nie rozumiem cię....

— Mówcie za mną bracie! w najwyższym uniesieniu zawołał z rozpaczą starzec. Przeor go przeżegnał.

— *Bóg* z tobą, rzekł, *Bóg* z tobą, nie godzi się tak nienawidzieć, i tak mściwie i wstrętliwie na brata poglądać; uspokój się, uspokój.... Wjechał tu wolno każdemu, lecz wyniść ztąd nikt nie może....

Bezsilny upadł pan Lassota na słomę i począł miotać się, a Kordecki zbliżając do niego, rzekł z uczuciem:

— Wiek powinien cię był uczynić skłonnieszym do przebaczenia; pomiarkuj się, nikt ci tu pod opieką moją złego i przykrości najmniejszej wyrządzić nie mo-

że. Nie pytam nawet o imię prześladowcy, nie chcę go wiedzieć; lecz jam tu starszy, ja opiekun wszystkich i nie dam nic uczynić...

— Wypuście mnie, wypuście... powtarzał z rodzajem obłąkania Jan Lassota.

— Szwedzi nadchodzą, mógłbyś wpaść w ich ręce, ani wiesz czego żadasz w rozjątrzeniu i gniewie. *Bóg* z tobą! dodał znowu żegnając go Kordecki — zaufaj mi proszę, nikt tu ani słowem, ani ręką, ani wejrzeniem nawet cię nie dotknie.

— Ale ja będę patrzył na niego, a widok jego serce mi krwawić będzie!... wołał starzec. — Przeor nie już nie odpowiedział, szepnął kilka słów księdzu Piotrowi Lassocie, zostawił go z bratem, a sam odszedł spieszonym krokiem do celi. — W korytarzach wielki był ścisk szlachty i zakonników, około księdza Rudnickiego i Chlebowskiego, a po twarzach dopytujących znać było. jakim przestraczem słowa przybyłych przejmowały. Kordecki szedł przeciw nim zachmurzony, a raczej smutny widząc taką słabość ducha w otaczających, lecz nie zachwiany tem wcale. Zbliżył się Rudnicki, chcąc mówić po ucałowaniu ręki przeora.

— Proszę do celi mojej, rzekł Kordecki, i powiódł księży za sobą; a tłum rozbiegł się po klasztorze, niosąc nowy przestrach z sobą...

— Cóż mi powiecie? spytał przeor, czy odpisał nam Wejhard na list mój i Kasztelana?

— Nie — rzekł profess z westchnieniem, wymówił tylko kilka słów szyderskich...

— Tegom się spodziewałem, a Sadowski?

— Dał radę bezsilną, zwlekać, traktować i najlepsze tylko wytargować sobie warunki poddania.

— Poddania! powtórzył Kordecki z dziwnym wyrazem.

— Cóż mi pisze ksiądz przeor z Wielunia?

— To zapewnie, co i ustnie polecił mi powiedzieć, przerwał ksiądz Chlebowski; widzieliśmy oczyma wła-

snemi siły Szwedzkie i najlepiej o nich sądzić możemy, dziewięć z górą tysięcy ludu, dziewiętnaście dział wielkich, cały do nich przybór, żołnierz wytrawny, wodzowie dojrzały. Z Millerem idą: książę Heski, Sadowski, Seweryn Kaliński, Wejhard i Zbrozek... Oprzeć się takiej potędze niepodobna.

— Powiedz mi ojcze, spytał niewzruszony Kordecki, czy sądzisz, że jest co niepodobnego Bogu!

Na te słowa książd Chlebowski zamilkł i skłonił głowę.

— Cóż więcej przynieśliście? rzekł przeor.

— Książd przeor Wieluński usilnie was prosi, abyście z drobnymi siłami waszemi, nie narazali świętego miejsca na zniszczenie oporem bezskutecznym; pierwszego nawet impetu Szwedów klasztor znieść nie jest w stanie. Kraj cały już się im poddał, nie pozostaje nam jak tylko wyprosić sobie co najlepsze punkta i przyjąć załogę.

— O punkta zawsze czas się będzie układać, odpowiedział Kordecki — lecz dla czego nie mamy ufać więcej Bogu, a mniej liczbie? Zgodnem ojców wszystkich zdaniem, postanowiliśmy się bronić i bronić będziemy. Na układy zawsze czas...

— Może później nie czas będzie traktować, gdy Szwedzi Częstochowę zdobędą, rzekł z cicha książd Chlebowski, żołnierz puści się rozbestwiony...

— Bracie, odparł przeor, nigdy *Bóg* nie opuścił tego, kto mu gorąco ufał wiarą żywą; tysiące mamy przykładów, a serce wasze powiedzieć wam powinno, czy i my godni cudu, jeśli nie uczynkami, to wiarą, lub obojgiem. Braciom śmierci niegodzi się lękać, a życie swoje cenić nad cześć Marji; com powiedział to się stanie! bronić się musimy do ostatka. Takie jest natchnienie *Boże!* wola wszystkich tutejszych zakonników; nie rozsiewajcie więc strachu, nie groźcie nieprzyjacielem, ale ufajcie w Bogu, a pracujmy... — To mówiąc, złożył list odebrany na stole i pospieszył do

Zamojskiego i Czarnieckiego na radę, a zakonnicy odeszli do cel im przeznaczonych. — Późno w noc przyskoczył posłaniec z uwiadomieniem, że Szwedzi o dwie mile od Częstochowej położyli się obozem i nazajutrz przybędą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

T O M II.

XI.

Na czwartek ksiądz Kordecki uroczyste zapowiedział nabożeństwo przed ołtarzem Najświętszej Orędowniczki; kościół i kaplica przedstawiały obraz dziwnej piękności, godzien owych czasów. Myśl męczeństwa, jak jasna aureola opromieniła głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy pod sklepieniem kościelnem zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa; na większej części twarzy osiadł przestrach chwilami i łzy z powiek wyciskał: jedni krzyżem leżeli, drudzy klęczeli w pokorze, inni jakby ust otworzyć nie mogli, siedzieli na ziemi z głowami spuszczone, w ogłupieniu i otrętwieniu, które chwilami przerywała krótka natchniona modlitwa. — Wśród ciszy wznosił się z chóru głos zakonników, śpiew chwały, i jak wstęga rozwijał splotami jasnymi; w powietrzu muzyka brzmiała, kadzidła sinemi kleby leciały pod sklepienia... a szmer modlitwy z westchnieniem zmieszany w przestankach śpiewu, szumiał jak las stary o wschodzie słońca. — Wtem ksiądz Kordecki wszedł na kazalnicę, pomodlił się i odezwał słowami pisma świętego:

„Melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et Sanctorum, sicut autem voluntas fuerit in coelo, ste fiat...”

Nie był to mowca owych czasów, napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym; to też gdy za-

grzawszy oziębłych, głos wznosił do Matki Najświętszej z błagalną modlitwą, do krwawych ran Jej Syna. wszechmocność Bożą, wielkość i potęgę Pana panów malując, schylone głowy dzwignęły się wszystkie i za-tętniły serca. Żołnierze uczyli się mężnymi przeciwko tysiącom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztoru wy-dała się w oczach wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększyły zastępy aniołów, i nadzieja napełniła dusze zwątpiałych.

Po mszy nastąpiły suplikacje. te wołania strapi-o-nych tak wymowne, a tak proste, których najwyszukańsza nie zastąpi modlitwa. rozległ się kościół powtarzaniem: *Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!*

I ze wszystkiego nabożeństwa, to może najgoręcej odśpiewane zostało: kapłan wziął z ołtarza wystawiony Przynajświętszy Sakrament, rozstał się lud, panowie Zamojski i Czarniecki ujęli celebrującego pod ręce, i procesja poszła ku drzwiom kościelnym, a za nią falą potoczyli się wszyscy...

Tak w powolnym pochodzie ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i odgłosu uroczystej tłumu modlitwy, do koła murów obniesiono Monstrancję, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Częstochowej. Ilekroć zbliżali się do dział, które zimne jeszcze pa-szcze zwracały na pustą okolicę, do kupy broni, kul i bomb, stawali wszyscy, kapłan występował i święcił te narzędzia śmierci, w Imię *Boga* zastępów! — Pię-kny to był obrzęd i widok wspaniały, któremu słońce jesienne wychylając się z za chmur towarzyszyło pro-mieniem jasności, z góry także zdając się błogosławić wierze tej garści ludu, co w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi. — Była to uroczystość jedyna, i równie z mową przeora podniosła ducha w obleżonych; bo on ją także obmyślił. Jeszcze się nie skończył obchód, gdy nagle wszystek lud zastanowił się oglądając w stronę Częstochówki.

Wojsko Szwedzkie zajmowało w tej chwili wioskę i poczyniło rozsiewać się po wzgórzach, zapełniając jakby mrowiskiem ruchomem przed chwilą puste jeszcze

drogi i pola. Na ten widok krzyk się wyrwał z piersi wszystkich; wszyscy poklekli, a Kordecki rozpoczął śpiewać:

Przed oczy Twoje Panie...

Te pokutne wyrazy znalazły odgłos w sercach wszystkich; każdy czuł, że ma co złożyć przed Bogiem i śpiewał gorąco przejęty. Orszak wśród bicia wszystkich dzwonów i odgłosów muzyki towarzyszącej pieśni, powoli zasunął się nazad do kościoła, gdzie się miało dokończyć nabożeństwo. Wszyscy rozeszli się wkrótce, jedni do mieszkań, drudzy w dziedzińce, inni na mury; a Kordecki spieszył rozstawiać ludzi, opatrywać działa, polecać jednym czujność, w drugich wlewać odwagę, weselem swem, pogodą twarzy i mężstwem zbrojąc wszystkich.

Widok z murów był zajmujący i ożywiony; Szwedzkie wojsko jak szarańcza rozsypało się u podnóża góry i obejmowało ją zewsząd. Widać było proporce z trzema koronami Gustawa, halabardy polyskujące, pierzaste kapelusze Szwedów na koniach w błyszczących zbrojach i jasnych sukniach galonowych, przy nich towarzyszących im dla rozpoznania miejsca Polaków, którzy wolałby i jakby gwałtem ciągnięci, szli okiem przerażeniem poglądając na jasną Górę. Po drogach wlokły się działa, prochy, wozy z namiotami i kulami; wiatr powiewający z tej strony, krzyk nawet gawiedzi i odgłosy trebaczy niekiedy do twierdzy donosił. Jakaś knupka jezdnych odjeżdżała i opatrywała mury z daleka, opasły Szwed jej przewodniczył, kilku innych jechali za nim...

Polacy stanęli obozem opodal kn miasteczku i oddzielili się widocznie od wojsk Karola Gustawa. Tymczasem Szwedzi już opanowali Częstochówkę i od południa leżący folwark klasztorny zajęli w oczach Kordeckiego.

— Dałbym do nich ognia, — rzekł pan Zamojski.

— Nie, — odpowiedział przeor, — pierwszym nam kroków nieprzyjacielskich rozpoczynać nie przystoi, niech oni zaczną, a na nich spadnie krew przelana.

Wtem gwałtownie dobijać się zaczęto do wrót: furtjan przybiegł z doniesieniem, że Polak jakiś, poseł od Millera, z listem przybył.

— Wpuścić go, — rzekł Kordecki, a sam pospieszył do bramy pierwszej. — Tu wąsaty towarzysz z chorągwi Gołyńskiego wręczył mu list dowódcy, a zarazem przyszła wieść, że Szwedzi w folwarku klasztornym, zabili rządzcę tamtejszego Jana Konopskiego. Był to pierwszy krok nieprzyjacielski.

— A zatem księże przeorze dobrodzieju *cognoscimus inimicos*, — rzekł pan Zamojski, niech się nam nie uwijają tak blisko pod nosem, za odpowiedź dać ognia.

— Słuszna, — rzekł Kordecki, — oni pierwsi niewinną krew przeleli, i wstępując na mury, krzyżem wielkim przeżegnał działa, wołając:

— W Imię Boże!

Na to hasło, wydano rozkaz wystrzału i pierwszy grzmot dział rozległ się jak grom silny po dolinie; kule przeszły powietrze, a gdy dym nieco opadł, njrzeli stojący na murach, popłoch który w Szwedach zrobili; Millerowscy bowiem wcale się tak śmiałej niespodziewali zaczepki. — Ogień działowy nieprzerwanie aż do oczyszczenia Jasnej-Góry z nieprzyjaciela trwał ciągle, i wśród hukn wystrzałów czytano list Millera. List to był widać jeszcze w nadziei łatwego, i rychłego poddania się klasztoru, tchnął niby radą przyjaźną, a groził zdaleka tylko. Rozkazywał Miller natychmiast wysłać do siebie zakonników dla traktowania o warunki, oznajmując, że przybył zająć Częstochowę na imię Karola Gustawa. Obiecywał łaskę swego Króla, poszanowanie świętości, wiary, obrzędów, własności wszelkiej; „lecz jeśli, kończył, opierać się będziecie śmieli, gdy już cała Polska zajęta, będę zmuszony nastąpić na was siłą i wówczas biada wam. Życzę raczej nie myśleć nawet o oporze próżnym.“

Przeor z uśmiechem złożył odczytany list na stole. — Wtem wprowadzono dwóch z komendy Gołyńskiego Polaków, przysłanych od generała z prośbą, aby ognia

dawać przestano i umówiono się o zawieszenie broni. Oznajmił o nich brat Paweł furtjan, który ich chwilę poprzedził.

Brat Paweł, pokornie wchodzący na zgromadzenie, był jednym z najzarliwszych, choć najmniej znaczących członków zakonu; prawdziwie powołany do niego, z niskiego stanu wyszedłszy, pracował i modlił się z taką gorliwością, na jaką tylko natchnieni prostaczkowie zdobyć się mogą. Mały, niepozorny, czarniawy, ale silny i krzepki i zawsze gotów do pracy, dopełniał i obowiązków stanu i nakazów przełożonego z zapałem nadwyzwyczajnym. Cały dzień przy robocie, nigdy nie stęknął ani się zniecierpliwił, a przeora nważając za świętego, czcząc go jak wyższą od siebie istotę, gdy mu sił zabrakło, gdy na duchu podupadł, szedł do niego i dla pokrzepienia prosił o ojcowskie błogosławieństwo. Nikt nad brata Pawła nienastanniej nie nosił włosiennicy, i gdy inni ją tylko na Adwent i wielki Post chowali, on ani jej, ani paska żelaznego, do snu nawet nie zrzucał; noce pędził klęczący, dnie na pracy ciągłej, w posługach ostatnich, które mu były najmilsze, z rozrzewnieniem oczekując dnia, gdy go osądzą godnym wyniesienia z braciszka na dostojność kapłana. Takim był brat Paweł, wzór tych prostaczków świętych, których jako skromnych pracowników w winnicy Pańskiej, tylu zapisały karty dziejów zakonnych w Polsce. — Wszedł on do sali i ze skrzywioną kwaśną twarzą wymienił dwóch Polaków przybyłych, a na rozkaz przeora drzwi im szeroko otworzył, sam oddalając się spiesźnie.

Dwaj panowie towarzysze weszli z rumieńcem na twarzy, zafrasowani widocznie i zmieszani swem położeniem. Oba byli lat średnich, jeden rodem z Wielkiej Polski, znać wojak od młodu; drugi nowy jeszcze, w pierwszym polu, trzymał się za panem bratem i przedstawiał tylko miną, nie wiele wiedząc jak sobie dać rady. — Przeor przyjął ich okazując zadziwienie:

— Kochani panowie! — rzekł, — a cóż to ja wi-

dzę? Polaków z Najświętszą Panną Częstochowską wojujących! czyście katolicy?

— Katolicy jesteśmy, — odpowiedział odważniejszy, — i Bóg widzi jak nas to boli, że ze Szwedem tu przybyliśmy; wojować wcale nie myślemy, ani wojującym pomagać, ale stać musimy.

— Taki to skutek płochego rzucania się, — zawołał Kordecki, — przystaliście do Szweda, a Szwed was na Matkę prowadzi.

— Nie zapomnieliśmy czei winnej miejscu świętemu, wielobny ojcze, — rzekł znowu pierwszy — i wojować nie myślemy, nechowaj Boże...

— To więc z zimną krwią i założonemi rękoma patrzeć będziecie, jak z nami Szwedzi bornkać się będą? Towarzysz westchnął.

— Wstyd, wstyd, — dodał przeor, — mało wiary w nas! opuściliście ojca-króla, porzuciliście sprawę ojczyzny-matki, związaliście się z najeźdźcami, jacyżecie synowie tej Rzeczypospolitej? — Wielkie widać było pomieszanie na twarzach posłów, gdy drugi bełkocząc począł prosić o zawieszenie broni. niewiedząc już z której beczki zacząć

Kordecki spojrział na Zamojskiego, który obok siedział, i do mowy gotować się zdawał, na Czarnieckiego potem, który tarł łysinę i wasy targał niecierpliwie.

— Niechże panowie Szwedzi ustąpią z folwarku, — odparł po chwili, — a my ognia dawać przestaniemy.

Spojrzeli po sobie towarzysze, jakby się radzili kto z nich pójdzie, i młodszy oddalił się szybko; drugi pozostał użalając się na swój los i położenie Polaków, usiłując przemówić do przytomnych i zbratać się z nimi; ale na próżno, bo wszyscy od niego jak od zapowietrzonego się usuwali. — Przeor jednak przyjął go jak przystało, i kielichem i miską; aż i drugi powrócił z oznajmieniem, że Miller z folwarku ustępować nie myśli.

— Wola wasza, więc i ja nie ustąpię i strzelać każę, — odpowiedział przełożony i tem ich pożegnał.

Posłowie odeszli smutni i przejęci; sumienie odzywało się do nich grożąc, zbudzone raz pierwszy słowami Kordeckiego. — Działa grzmiały do uocy.

XII.

Noc ta nie uśpila nikogo, ani w twierdzy, ani w obozie. — Ruch, gwar i rozpalone ognie świadczyły, że sen nie zamknął powiek przybyszom znużonym; na wysokiej wieżycy kościelnej, z rozkazu przeora zapalony gorzał świecąc daleko kaganiec, jakby wzywał pomocy i ratunku. — We wszystkich oknach płonęły światła. a obóz Millera połyskał mnogimi ogniskami rozrzuconemi w różnych kierunkach, i ukazującemi stanowiska oddziałów. Niebo było pochmurne, działa odzywały się do ciemnego mroku, ale coraz rzadziej i w dłuższych przestankach. — Kordecki na południowej korytnie przechadzał się po blankach z Zamojskim.

— Mieczniku, — mówił — uczycie mnie wojny!

— Pan Bóg to, nie ja, was uczy, — odparł Zamojski, — lepszy to nanczyciel odemnie.

— Widzę, że jeszcze jedną ofiarę spełnić nam potrzeba.

— Wojna żyje ofiarami, — odparł Miecznik z westchnieniem.

— Powiedźcie raczej, że wszystko co żyje, ofiarą tylko utrzymuje życie; tam tylko żywot gdzie ofiara; ale tu nie o tem mowa. Widzicie ztąd nasz folwark; mozoły tam naszych wieśniaków, bogate zapasy zboża, chleba, darów bożych, a Szwed sobie w nich pościela snopki naszym potem zlane i cieszy się, że się niemi przeżywi. Cóż wy na to?

— Spalićby potrzeba, — rzekł Zamojski.

— A! widzę ja to od rana, a rozkazu nie daję — odparł przeor z cicha z boleścią wyraźną, tak to ko-

sztuje pracę ludzką i dary Boże niszczyć. O! nie nasza to rzecz wojna, nie nasza, panie Mieczniku! niech rzucą bomby, ja na ten ogień patrzeć nie chcę, zbyt mnie wiele on kosztuje. — To mówiąc, spiesźnie odszedł, a Zamojski zawołał Wachlera, Niemca od dział, do siebie.

Niemiec to był całą gębą, bo i brzuchaty i gębaty, serca w nim ani za grosz, ręce do pracy niechętne. Z potrzeby tylko wzięli go księża, bo nikt go nie lubił. Cały Boży dzień ujadło się to nieznośne niemczysko za karm, za płace, za nagrody, za wygody; a przyszło robić, niechętnie i dumnie, mruczając posługiwał. Od czasu przyjscia Szwedów jeszcze się stał mniej ochotny i gderliwszy, i rzekłbyś, patrzył tylko, którędy do nich droga. Z Polakami zawsze nadęty, nie bardzo posłuszny, postępował jak z czemś niższem od siebie, nabożny był tylko w niedzielę, a wesół do pieniędzy; ale, że znał swoją sztukę, musiano go trzymać, choć to była plama załogi Częstochowskiej. — Cóż począć gdy się czasem obejść bez takich pomocników nie można? Ujmowano go datkiem, jadletem, darem, obietnicą choć nie jednego chętna brała, ten kawał mięsa przez mury przerzucić. Wachler mruczając po swojemu poszedł do pana Miecznika.

— Macie przygotowane bomby ogniste, widzicie to światło na folwarku? — rzekł mu Zamojski — rzucić ogień i spaść stodoły i gunna. — Niemiec spojrział, ruszył ramionami i stanął jak słup.

— Słyszysz waść? — rzekł Zamojski.

— Po nocy! — odmruknął nareszcie Niemiec.

— Po nocy, zaraz, wołać kanonierów, działa sztyftować i ognia — nie czekając.

Chciał się choćby pospierać niemczysko, ale przy świetle stojącej w strzelnicy latarni ujrzał twarz Zamojskiego i wzrok jego groźnie rozkazujący; szepnął coś niezrozumiałe i zajął się spełnieniem rozporządzeń. — Nie odszedł Miecznik, aż pierwsza bomba kreśląc ogniste koło w powietrzu, padła w zabudowania folwarczne; za nią jakby wyścigając się łeciały inne, mie-

rząc wszystkie na dachy brogów i zabudowań, z których natychmiast buchnął płomień i czarne, drobne postacie Szwedów, rojem sypać się poczęły. Wiatr dął od wschodu i niósł płachty ogniste w pola tak, że nawet pozostała z pierwszego Wejhardowskiego ognia kaplica św. Barbary, nie zajęła się od tego pożaru. Ogień szerząc się rozwidniał obozowiska Szwedów w nieładzie będące i miasteczko, którego fary wieża, na tle nieba ciemnem, błyszcząc się malowała ze swym krzyżem, kaplica też św. Jakóba, klasztor, wszystko odbitemi blaski gorzeć się zdawało; pozostała tylko w cieniach część murów północna i północno-zachodnia. Grzmiąły działa do dwunastej, poploch i ruch w obozie był wielki, aż wreszcie pożar nie mając co niszczyć, ustawać począł i strzelanie przerwano.

W chórze śpiewali zakonnicy. — Po zabudowaniach klasztornych, szlachta pierwszą tę noc obłężenia przeżyła w strachu i niepokoju największym: modlili się jedni, przysłuchiwali drudzy, niektórzy wchodzili na mury, poglądali na zniszczenie i tęskno dumali o jutrze. Przeor wyszedłszy z chóru, udał się po cichu za mury ku stronie północnej, bo mu pożar folwarku, z przeciwnych baszt widoczny jeszcze, był przykrym nad miarę widokiem; obszedł część kortyny, a potem zstąpił w podwórze i począł oglądać wszystkie twierdzy zakątki, wszędzie witany hasłem.... — A hasło było dnia tego: *Marja Panna — Paweł święty!*

Świeciło się jeszcze w mieszkaniu, które zajął pan Jan Lassota, i tu Kordecki kroki swe zwrócił, zapukał; gdyż wprzód jeszcze jęk głuchy i mowa niewyraźna oznajmiły mu, że nie spano. Wszedł więc i zastał na pościeli starca z głową schyloną, ze wzrokiem martwym; przy nim Hanna siedziała płacząca na niskim pieńku, który jej za stoleczek służył. Błede światelko migającej lampy rozwidniało sklepioną izdebkę, smutną, nagą i pustą. Starzec podniósł głowę ku przeorowi, sądząc, że wchodzi brat jego, ale ujrawszy Kordeckiego, spuścił ją znów, jakby mu mówił milcze-

niem, że obcy nie był mu pożądanym gościem. Kordecki nie zważał na to i usiadł przy pościeli.

— Bracie mój, — rzekł — cierpisz, widzę to, chciałbym cię pocieszyć, chciałbym ci dodać odwagi i wytrwałości.

— Jakże nie mam cierpieć? — odparł po chwili Lassota — widzisz mój ojciec to dziecko; tyle mi tylko zostało na świecie, resztę wszystko wydarł nieprzyjaciel; czuję przychodzącą śmierć, i tej ostatniej drogiej istoty nie mam komu zostawić...

— A Bóg, mój bracie, a Bóg?

— Bóg o mnie zapomniał.

— Cóż mówisz stary! co mówisz? pomiarkuj się, nie Bóg o tobie, ty chyba zapomniałeś o Nim?

Lassota zmilczał posępnie.

— Nie chciałbym ci się naprzykrzać, panie Janie, — mówił dalej przeor, — ale jako gospodarz tutejszy dla zapobieżenia niemiłych spotkań, radbym wiedzieć, co cię to tak boli, kogo to masz wrogiem?

— Alboż nie wiecie jeszcze?

— Nie pytałem nikogo; nie ulży wam to bólu, gdy mi się zwierzycie? spróbujcie...

— Chciałbym, nie wiem czy potrafię... — spojrzał na wnuczkę.

— A naprzód — rzekł przeor, — wiedźcie, że nie ma straszniejszego bólu w duszy nad ten, jaki zadaje nienawiść, jest to trucizna, której kropla psuje w nas wszystko wielkie i święte; z nią się ani modlić, ani kochać Boga ni ludzi nie można; wszystko kwaśnieje od niej w duszy i w ocet się zmienia. Starajcie się podnieść do Boga i darować winy, a nierzycie jak lekko odetchniecie potem; jaka nadzieja i spokój wstąpią w duszę waszą.

— Darować! przebaczyć! — zawołał stary — o! nie mogę, nie mogę... darować boleści lat kilkudziesięciu, darować moje cierpienia, wszystko com przeżył w Imię Boga potrafiłbym może, byłem go nie widział, ale przebaczyć, co ucierpieli drudzy, ci, których kochałem, których mi wydarli... nigdy, nigdy!

Przeor pomilczał chwilę.

— Wszystko — rzekł — przebaczyć potrzeba, wszystko — jak Bóg przebaczył i darował, chceszli by ci było przebaczone.

— Wiem, rzekł powoli szlacheic podnosząc głowę i na rękach ją spierając — bo powtarzam codzień słowa modlitwy, ale ich winy przebaczyć nie mogę, nie mogę...

— I dla tego cierpisz, mówił Kordecki.

— Można darować upokorzonym, ale zuchwałym i uragającym?...

— Powtarzam ci mój bracie, jeśli kiedy, to nad grobem trzeba wszystko i wszystkim przebaczyć. Chrystus dla nas przykładem, on modlił się za zbójców swoich gdy go katowali, i przebaczył on nie tylko mękę swoją ale cierpienie swej Matki...

Szlacheic boleśnie jeknął, spojrział na wnuczkę i dwie łzy zbiegły mu po żółkłej twarzy, której policzki ceglany rumieniec choroby zapalał.

— Posłuchaj mnie ojczy, rzekł po chwili, widząc, że Hanna odeszła do pierwszej izdebki, trzeba, żebyście poznali życie moje, a osądzicie czym winien, że przebaczyć nie umiem; życie to nie powszednie. Wiecie może od brata mojego, żeśmy nie byli ubodzy, nie! Bóg dał kawał ziemi pięknej i chleba dostatkiem, i imię pocziwe i konsyderacją n ludzi. Było nas tylko dwóch u ojca, ale młodszego wcześniej przeznaczono i oddano do klasztoru, bo matka kochała mnie tylko, i pieściła nad miarę. Stare to dzieje, ojczy; ja dziś starzec siwy, ale to były najszcześniejsze życia chwile. bo spokojne, bo wesołe, a bez troski na przyszłość. Wychowałem się po części w domu, po części w szkołach u Jezuitów, a potem gdy mi Pan Bóg ojca odebrał, powróciłem matce w gospodarstwie pomagać. Byłem już dorosły, ale pstro w głowie jak u każdego młokosa, a do tego jedynaka, bom się już za takiego uważał. Wszystko mi dogadzało; z psami, z końmi. z wesołymi towarzyszami, uganiałem się dnie i nocie od kniei do kniei, rzadko nawet, czego mi dziś Bóg

widzi żal okrutnie, do starej zaglądając matki. Nie-wielką też był jej pomocą; tylko że na mnie spoj-rzała kiedy niekiedy i pocałowała w głowę, a choć sa-ma jedna długie dnie wysiadywała nad swoją książką pobożną i różańcem, nie poskarżyła się nigdy. Jam z młodości szumiał i szumiał. Jakoś, nie wiem już po co, zaniósł mnie interes do Sandomierza, gdzieś mu-siał kilka dni przebawić, a i tu znaleźli się koło mnie towarzysze do hulanki. Wypadło tak, że podczas mojej bytności, najbogatszy z tamtejszych mieszczan, niejaki Franciszek Gallar, wyprawiał starszej swej córce we-sele. A jak to za owych czasów bywało, na wesele prosili kto żyw, i kogo gdzie spotkali, bo i z ulicy uboż, i szlachta znajoma i nieznajoma nawet cisnęli się do otwartego domu kupca. Odbywało się to po sta-roświecku z maszkarami, z błaznami, z muzyką, z wielkim stołem i wielkim strojem, a trwało dni dzie-sięć. Że to jakoś było blisko domu w którym stałem, a moi przyjaciele już tych Gallarów znali dawniej, po-ciągnęli i mnie na bankiet weselny. Ot! jak czasem całe życie ludzkie od jednego zawisło kroku, (i starzec westchnął ciężko) ale mi nie żal, nie, nie żal. — Star-sza córka Gallarowa szła za szlachcica, bo to był mie-szczanin bogaty co się zowie, kupiec wielki, i mówił o sobie jakoby był wygnańcem, *religionis causa* z ja-kiegoś tam niemieckiego kraju, gdzie katolików prze-śladowano, opowiadał też że był szlachcicem i dla musu się tylko ndał do handlu. Bóg tam zresztą wie jego niemieckie szlachectwo. To pewna, że i sam był per-sonat, okazała i poważna figura i familja jego wyglą-dała gdyby coś lepszego niż prości mieszczanie. Oso-bliwie też obie córki były piękne; bom podobno mówił, że ich miał dwie, starsza, co już szła za mąż za pana Otrębowskiego z Przewałowa, była śliczna jak obrazek, ale młodsza świeciła się gdyby gwiazda między tem mieszczaństwem. I tak mnie zaraz za serce chwyciło to dziewczę, żem i rozumu zbył i głowy i zapomniał się o sobie. Już tedy wesela pilnowałem do końca i poznałem się bliżej z Gallarami, którzy zamożnego

szlachcica przyjmowali z dystynkcją, uczciwie i jak się należało. Konstancja było imię młodszej, szła zenną w taniec raz wraz i uśmiechała się do mnie; jeszcze innych od niej odsadzał, aż mało do bójki i szabel nie przyszło, i tak mignęły mi się te dnie weselne gdyby z bicia trzasł. — Ale ostatniego dnia nie obeszło się bez awantury. Już to ja widział zrazu, że kolo niej ćma gachów się kręciła, alem ich rozpedził łatwo, bo to byli mieszczańczuki; tylko się jeden pozostał wąsacz z szabelką, szlachcie golopięta, niejaki Krzysztoporski. Ten się nie dał zjeść w kaszy, i kroku mi nie ustępował. Starliśmy się raz i drugi na słowa cierpkie, przemówili ostro, ale mnie jakoś przyjaciele odciągnęli od bójki, dla domu to czyniąc, bo Gallar stary był człowiek poważny i przykroby mu było, żebyśmy się popłatali, a do tego *omen* zły dla nowożeńców. Mój tedy antagonistą nie ustępował wcale, a Konstancja choć się zdawała dla mnie bardzo przyjaźna, i szła ze mną tańcować, i mówiła bardzo pięknie, uważałem, że byłem się odsunął, to jednako i z tym Krzysztoporskim śmieszkowała i gziła się. Jakoś to mnie po sercu drapało, ale nic.... Tu i wesele się kończy, a ja w Sandomierzu siedzę, i matka pisze — powracaj, a ja już od Gallarów ani krokiem; tu rano, tu i wieczór, skrzypki za sobą prowadzę, a oni przyjmują ochotnie.

Tylko ze wsi szlachetka uparty siedzi na nosie i siedzi, ani wykurzyć; i co odstąpię, to on do panny. Narazie tak dni jeszcze z dziesięć po weselu przeszkakawszy, trzeba było do domu, bo się i pieniądze wyszastały, i u żydków jeszcze napożyczalo. Matka choć wiedziała o wszystkim, bom miał przy sobie starszego sługę, co jej donosił każdą rzecz, nic mi nie powiedziała; ale gdy wkrótce potem znowu do Sandomierza się siodłam, już nie wycierpiała i mówi mi otwarcie — myślisz, że to ja nie wiem, otóż z tej Gallarowej imprezy nic nie będzie. A ja matce do nóg i taki od razu, że bez niej żyć nie mogę. Było tam dosyć sporu i próśb, ale jak to serce macierzyńskie miękkie dla syna ulubionego, a ja wołałem, że do kozaków pójde,

jeśli mi się żenić nie pozwoli i począłem jej jeszcze wmawiać szlachectwo Gallarów, jakoś się rozplakała, umitygowiała — i pojechałem. Tu znowu miesiąc czasu spędziłem na biesiadach już otwarcie konkurując, ale mi ten Krzysztoporski nie ustępował. Tedy bez ceremonji wyzwałem go na rękę, aleśmy się porabali na-próżno, bo skoro odleżał i wylizał się, ja do panny aż i on z drugiej strony; a Konstancja póki sama, to do mnie oczy zawraca, jakeśmy we dwóch, to jakby nie wiedziała, kogo sobie wybrać. Człek to był przystojny i śmiały, a żywego języka, co się kobietom podoba. Jużem ja to konnotował, że z tego pociechy nie będzie, ale jakby na mnie czary rzucono, bo nawet matka moja i ludzie mówili generalnie, że pewnie mi coś w winie zadano, od razu tak *primo impetu* rozmiłowałem się, ani na to rady. Tymczasem *in tractu* tych starań o pannę, matka moja umarła, panie świeć nad jej duszą i domieść ją zbawienia wiekuistego; — ja zostałem panem swojej woli. Ale żałoba rok i sześć niedziel trwała; więcem już bez muzyki dojeżdżał do panny i wprost oświadczyłem się Gallarowi, który to przyjął dobrze i zaraz mi podziękował za zaszczyt jego familji uczyniony. Panna, przy której zawsze ów Krzysztoporski siedział, trochę popłakała, jam to miał za zwyczajne ceremonie, i pierścionki zamieniliśmy, a ślub odłożony został po wyjściu żałoby. A jakoś też zaraz ludzie mówili, że w żałobie zaręczyny nie dobrze wróżą, ale się na to nie zważało wówczas.

Ile razy przyjadę bywało do Gallarów, jest mój gach koło panny, a czasem zjadę zeicha, to siedzą jedno podle drugiego i szepeczą coś poufale; już to mnie okropnie po sercu krajało, żem go drugi raz chciał wyzwać, ale rodzice pomiarkowawszy się dom mu wypowiedzieli. Z tego już tak byłem szczęśliwy, żem do reszty głowę utracił. Tymczasem stary Gallar chodził koło mnie, różnemi racjami dowiadując się o majątność, chcąc niby zapewnienia losu dla córki, — ze swej strony złote góry obiecując; majątek mój był czysty, w ziemi, a jego w szkatułce i gębie; ale się to wów-

czas wszystkiemu wierzyło. Dosyć, że jak począł mi ukazywać, iż broń Boże śmierci mojej, córkę wyzuja krewni ze wszystkiego, a to i owo przywozić dla skonwinkowania, tak ja rozmiłowany, ruszyłem głupi wspa- niałomyślnością, i znajcie szlachcica, zapisałem całą majątność moją, jakby sprzedając ją przyszłej żonie, a nie sobie nie ekscypując i nie zostawując. Wkrótce po- tem i żaloba się skończyła, a ja zawiózł Konstancję na wieś, ożeniwszy się. Kilka miesięcy upłynęło szczę- śliwie, ałem się rychło spostrzegł, że z piękną twarzą nie takim szczęście kupił, jak mi się widziało. Żona moja do miasta i do rozrywek przywykła, do skrzyp- ków, skoków i gwaru, nudziła się, ani czem zająć chciała. Gospodarstwo matczyne szło w niwecz; ażeby ją za- bawić, trzeba było nieustannie sprowadzać muzyki, i szaleć. Już mnie to dojadło, myślałem, że się przecie kiedy skończy; ale gdzie tam, co dalej to lepiej. A do tego żona posmutniała, i ani ją rozkołysać, ani ją roz- bawić. Tymczasem *Bóg* dał córkę, myślę już znowu, otóż ją do domu przywiąże, ale i to nie, jak była tak została; dziecię z mamką poszło do czeladnej izby, a pani gdy pozdrowiała, to ją wieź do Sandomierza, to sprawuj w domu bankiety, czy jest czy niema za co.

Aż tu i Krzysztoporski się zjawia; tu jest tu go niema, pokaże się i zniknie, i donoszą mi już ludzie, że liściki biegają. Żle, trzeba radzić; jadę do starych Gallarów; ale Niemiec to sobie lekko waży, pół śmie- chem pół niedowiarstwem mnie zbywa i poczyną jakby nie znał się do tego, co szlachcicowi wiuien. Jejmość w tąż swoje, a gdym przyszedł do wymówek. ona w gniew; jam także nie z kamienia, dość, że prze- mówiliśmy się raz i drugi i trzeci, a co raz kwaśniej z sobą. Aż jednego razu powracam do domu, niema — Gdzie? do Sandomierza. Już mnie ten Sandomierz ko- ścią w gardle siedział; bez zapytania, bez wiedzy mo- jej, ale że to do rodziców — nie śmiałem nic powie- dzieć i jadę za nią. Tu mnie przyjmują kwaśno, do żony nie dopuszczają i znowu najrzałem Krzysztopor- skiego. Już nie żartem wziąłem się do rodziców i do

niego, ale hałasu narobiwszy, przepędziwszy piekielnego gacha, gdym chciał żonę odebrać, nie dają. Odjechałem do domu, gdzie mi córeczka pozostała; myślę, przegnuiewa się i przyjedzie, aż unija miesiąc, drugi. i słyszę w konsystorzu machinacje o rozwód! Aż mnie krew oblała, bo tu żal i sromota; ja znowu do niej, ale gdzie tam! pozamykano i dają mi znać, że stary Gallar nie żartem koło sprawy chodzi, a ludzie com ich przepłacał, powiadają, że Krzysztoperski taki tam nieustannie koło niej.

Cóż długo mówić? rozstaliśmy się. musiałem rad nie rad na rozwód pozwolić, bo mi już i to życie dojadło; jejmość zaraz nieczekając wybrała się za Krzysztoperskiego. Jenó się to stało, aż z innej beczki poczęli, i do majątku mi się biorą. Majątek był wprost zaprzędany, ani się wywikłać; przeczyć swojej robocie *ignominia*, kondyktu okazać niepodobua; na łascem został. Krzysztoperski goły, ona bez serca... Toczyła się jednak sprawa, toczyła i przegrałem ją, naciągawszy się po sądach, natraciwszy zdrowia, pokoju i życia. Jużem i postarzał, a tylko mi córka została jedyną pociechą, bo i ubóstwo przyszło i późny żal, a przyjaciele jak wymiótł, przed biedą pierzchuęli wszyscy.

Krzysztoperski, pamiętny sadła com mu zalał za skórę, zajadle na mnie powstawał, odebrawszy mi żonę, zagarnawszy majątek, jeszcze na sławie mi szkodził, gdzie tylko mógł ujmował. Już tego dalej ścierpieć nie mogłem, bo srogi ból był w sercu i znown wyzwałem go na rękę. Po długich ceregielach stanął. Ale cóż? mnie z gniewu ręka drżała, on miał całą głowę i obciął mnie tylko. Wyleżałem, wykurowałem się i z reszty pozostałej majętności żyłem jakimś mógł, a i córka podrastała. Choć mi się ciężko za mój afekt wypłaciła Konstaucja, jeszcze dla niej zostało jakieś w sercu uczucie, jak do matki dziecięcia mojego, zresztą Bóg wie!

Tu dochodzą mnie wieści, że i ona nieszczęśliwa, Pan Bóg jej oddał za moje. Krzysztoperski był w początku dobrym mężem, ale potem gdyby bisurman jaki

obchodzić się z nią począł. Już jak to tam było, to było, a żal mi się zrobiło kobieciska; wielem przez nią wycierpiał, przecież miałem ją zawsze za żonę i ani myślał o innej, choć wiek był po temu i trafiły mi się dobre partje, ale takie serce znarowione ciągnęło ku niej. Jeden, drugi z sąsiadów zaczęli mi prawić dziwne rzeczy o losie pani Krzysztoporskiej, aż mnie niecierpliwość porywała, ale myślę sobie z początku: a mnie co do tego? Jednakże z drugiej strony było to matka mojego dziecka. I tak i owak myślałem, rozbieierałem, rzucałem się niewiedząc co począć, aż slysze, a tu już ją Krzysztoporski zamknął w domu, i jak w więzieniu trzyma, że biedna kobieta szaleje. Tu już i wytrwać było trudno: zebrałem ludzi, kilku nbogich krewniaków, uzbroiliśmy się dobrze, porachowali z czasem. i nocką do dworu pana Krzysztoporskiego zajężdżamy.

Kilkanaście lat było, jak jej nie widziałem w oczy, a jednak mi coś w piersi zatłukło, gdym pod dom podjeżdżał... Ciemno było i cicho a pusto, obeszlśmy domostwo, wszyscy spali, w jednej tylko izdebce na górze świeciło się mdle światelko.

Miałem ja z sobą człowieka, co mnie tam prowadził, ten wwiódł nas do izby Krzysztoporskiego, że gdyśmy go już otoczyli, dopiero się zbudził, krzyknął na służbę (a ci już byli wprzód powiązani) i za oręż pochwycił, aleśmy od niego odebrali szablę i rusznice. Naówczas stanąwszy przed nim jak mściciel, spytałem go o wydartą mi żonę, co z nią uczynił i mierząc do niego jak do psa, rozkazałem by mi ukazał gdzie była, i wytłumaczył się jak się z nią obchodzi. Nie moja rzecz, rzekłem, słuchać cię liczby, które sąd ludzki i Boży weźmie z ciebie, ale ścierpieć nie mogę, by ta, która była żoną moją, znosiła niewolę; jeśli więc okaże się nieprawdą co na cię mówią, jam winien zem ci spokój zamącić; jeśliś winien, ja tę sprawiedliwość opieszalą przedstawiam...

Na te słowa pobladł Krzysztoporski, ale schwytany musiał wreszcie wieść do żony; ażem zdrętwiał, gdym

ją ujrzał na kłódki i klucze zamkniętą w górnej izdebce, samą jedną, w podartej sukience, z włosiem rozczochranym. Siedziała na ziemi tak wymizerowana, blada i straszna, że gdybym nie wiedział o niej, jużbym jej nie poznał. Włos mi na głowie stanął. A być to przecie matka jego syna, bo mu zaraz w rok po świętokradzkim małżeństwie, dała następcę; wymógł na niej zapisy majątku, który mnie wydarli, a obawiając się widać zalotności jej — bo była do zbytku rozmiłowana w sobie i lekka niewiasta, tak ją niegodziwie zamknął.

Kobieta zrazu się przelekła napadu tego i mnie nie poznała. Powiedziałem jej z czem przyszedłem, żeby ją bronić i niegodziwego ciemniejąc upokorzyć; popatrzała się na mnie i załża łzami, padła mi do nóg, milczała długo, nareszcie głos jej powrócił:

— Zbawco mój, zawołała, jam ciebie nie była warta, byłam winna, wilem była winna! Bóg mnie pokarał, za resztę grzechów moich sama odpokutuję. Niegodnam cieszyć się dziećmi, niegodnam żyć z niemi, grzesznica wielka! Bóg mnie w tej niewoli i zamknięciu oświecił i poruszył, dziękuję ci, że wyzwalasz mnie abym resztę życia spędzić mogła na pokucie.

— Gdzież chcesz iść? spytałem, widząc że się wybiera.

— Gdzie mnie oczy nie ujrzą ludzkie i Bóg jeden widzieć będzie, odpowiedziała. Ale pozwólcie mi wprzód pożegnać i choć niegodnej pobłogosławić dziecię moje.

Zeszliśmy z nią do alkierza, gdzie spał syn, którego płacząc ucałowała i pożegnała; potem mi się jeszcze do nóg rzuciła raz drugi, prosząc abym jej winę przebaczył i wymogłszy na mnie, że jej szukać więcej nie będę, uszła zaraz nocą.

— Cóż się z nią stało? zapytał przeor.

— Odtąd jej nie widziałem, kończył szlachcic powolnie, ale nie tu jeszcze koniec historii. Odeszliśmy Krzysztoporskiego we wściekłości i gniewie, którego pohamować nie mogłem; lażał mnie, aż do tego przywiódł, żem go wyplazował. Jakoś wkrótce potem umarł mu

syn jednak, a jak się to stało, wścieklej jeszcze obrócił zemstę swoją na mnie. Pozostała mi córka, którą wydać chciałem za uczciwego młodziana z sąsiedztwa. Krzysztoporski póty chodził, póki mi nie przeszkodził. Usunął się on, ale znalazłem jej drugiego i temu ją z błogosławieństwem poślubiłem. Nieskończyło się prześladowanie; tailem przed córką historję matki, by jej życia nie zatrnuwać, mówiłem zawsze, że umarła. Krzysztoporski widać o tem uwiadomiony, wszystko opisawszy najszkaradniej, wybrał chwilę by biednej kobiecie przesłać te czernidła, właśnie gdy wydawszy na świat córkę, leżała jeszcze chora.... Przeczytała, rozboleła się i umarła.... Pozostało mi tylko po niej to wnuczę i...

Tu przeorowi przerwał słuchanie grzmot dział. lecz nim powstał, ścisnął za rękę starca i rzekł:

— Bóg długo czeka na npamiętanie, a my wierzyć powinniśmy w jego sprawiedliwość. Można mieć żal w sercu, ale nienawiści niegodzi się. Zły człowiek więcej godzien litości, niż gniewu; a na wszystkie rany duszy, jedno jest tylko lekarstwo — modlitwa...

Tu powstał Kordecki, błogosławiąc uspionej wnucze starca, która znużona podróżą, w pierwszej izdebce oparłszy się o ścianę zdrzemnęła... Grom dział wywołał przeora na mury.

XIII.

Noc cała zesła bezsennie; jeszcze się nie byli oswoił zakonnicy i szlachta z wojną, która ich żelanem opasała kołem; jeszcze każdy szelest, każdy krzyk ich przerażał, zdawało im się, że słyszą szturm, że widzą zdobycie; brzask wschodzącego dnia zastał wszystkich na nogach.

Stosownie do rozkazów Przeora, pomimo zajęcia nowego, które mnożyła walka, nie nie zmieniło się w nabożeństwie, w obyczajach zakonnych; dzwony ozwały się o swojej godzinie, zwołując na mszę do kaplicy Najświętszej Panny, gdzie odspiewywano godzinki i pry-marję.

Gdy się to dzieje, Szwedzi płaczą się dokoła i po wczorajszym popłochu, po spędzonej także bezsennie nocy, wygnani pożarem z folwarku, szukają stanowisk nowych i zabierają do silniejszego natarcia. Z murów widać oddziały rozchodzące się w różne strony i zabierające do sypania baterij robotników. Główne ognisko, które za przewodnictwem Wejharda w początku się było położyło po za spalonym folwarkiem, przeciwko wrót prawie zamkowych, przeniosło się na stronę przeciwną, i część wojsk silniejsza przeszła okrążając z nieufnością górę, od południa na wschodopółnoc. Przy kościółku św. Barbary zostali tylko książę Heski z pułkownikiem Sadowskim, u pogorzelisk prawie folwarcznych się szykując. Miller, po wczorajszym oglądzie twierdzy, zrozumiał, lub może miał to od szpiegów, że północna i wschodnio-północna część murów była słabsza od innych (w istocie tak było); tu więc sam przyparłszy się do Częstochówki, nieopodal od figury Zbawiciela stojącej na pochyłości, obrał nowe stanowisko i zamyślał sypać baterje dla dział, które z sobą przyprowadził. Część twierdzy z tej strony dachami gontowymi klasztoru górująca, zwrócona ku niemu dawała nadzieję, że ją łatwo potrafi kulami ognistemi zapalić.

Działa zaledwie były ustawione na dylach, które z pogorzelisk powywlekano i jako tako obrzucono ziemią, ledwie Miller przeszedł tu i żołnierza swego rozłożył. natychmiast grad kul sypnął się na klasztor. Jenerał nazywał to *dzień dobry* dla zakonników, a Wejhard nie przestawał utrzymywać, że byle ich trochę nastraszone, zaraz się poddadzą. Kaliński potakiwał zdaniu hrabiego, Sadowski uśmiechał się milcząc i ruszając ramionami.

Dzwony właśnie na prymarję zwoływały, gdy grom działa i gdzieś padające nieszkodliwe kule bezsilne, popłoch wielki zrzuciły w podwórzach. Na pierwszą zabłąkaną kulę, co się potoczyła po bruku, okiem podziwnym i strachu rozbiegając się wszyscy poglądali zdaleka. Kordecki, który obchodził stanowiska, wobec wszystkich zbliżył się do miejsca, gdzie upadła, podniósł ją i głośno się odezwał:

— Złożym ją na ołtarzu Boga-rodzicy, ofiarując Jej boleść naszą. To mówiąc, wziął ją w pojęcie habitu i poniosł do kaplicy.

Z murów też już się odzywały działa jasnogórskie, odpowiedź na dzień dobry niosąc Millerowi. Jego wojska wczorajszymi stratami nieuleknione jeszcze, cisnęły się tłumami od wschodu do północy, szykując się i stanowiąc; pierwszy wystrzał w tę stronę przerzedził ich szeregi; widać było, jak się rozbiegać, mieszać i rozsypywać zaczęli, cisnąc na zgliszcza wioski. Kilka tam jeszcze domostw, szop i stodoła stało niedopałonych i Miller kazał do nich cofnąć swoim, którzy pod dachami broń swą i rynsztunek składać poczęli.

Sam obrawszy kwaterę w chacie nieobałonej, rozsypał starszyznę, by pilniejsze poczynić rozporządzenia sił, wystawionych przez chwilę na ogień twierdzy, i w nieładzie rozprószonych.

Zdawało się, że Szwedzi korzystając z dalszych domostw niedopałonej Częstochówki, tu się rozłożyć przy nich myślą, i sam mieczuik zobaczywszy to, piasnął aż w ręce.

— Rychtować armaty na budowlę — puścić na nie bomby ogniste... Jeszcze i to spaść musimy.

Przeor, który stał za nim, nic już nie rzekł, ale widać było, że bołał.

— Woła Boża! — odezwał się po chwili — woła Boża!

Dano chwilę Szwedom, żeby się bezpiecznie rozstawiali po budynkach, których dachy słomiane były łatwą pastwą płomieniom; po jakimś czasie, gdy są-

dzić było można, że już się w szopach rozgościli, część dział z twierdzy puściła kule ogniste.

Jakby cudem wzniecony pożar, rozgorzał natychmiast; płomień z dymem wypędził żołnierza i ujrano go uciekającego żywiej niż przyszedł; broń złożona w szopach, której uciekając pochwycić nie mogli, po chwili rozżarzona strzelać poczęła do swoich. Żołdacy rozpiechli się na wszystkie strony, i kupami podbiegając bliżej murów, padali od kul Jasnej-Góry. Widać było przestrach, zamieszanie i złość Millera, trąby żywo zaczęły zwoływać ludzi; mundury szwedzkie uściślały górę... biegali, mijali się, uciekali ku dołowi.

— Dzięki Bogu — rzekł pan Zamojski — udało się jakośmy chcieli; Szwedzi wyparowani z budynków, strata w ich szeregach znaczna. Dobrze i to na początek; nie chwalać się, rozporządziłem jak należało; nie darmom Karlińskiego całą noc czytał.

Obrócił się do przeora z uśmiechem zadowolenia, ale na twarzy kapłana wyczytał smutek.

— Cóż to wasza przewielebność, witacie pomyślność twarzą tak posępną?

— Czyż pomyślność taka może radować kapłana? — odparł Kordecki — konieczność tylko czyni z nas żołnierzy, a widok tych umarłych w grzechu... w złości, jak nie ma boleć i smucić?

— Na to wojna — rzekł Zamojski — lecz jeśli myślicie tak opłakiwać każdą nieprzyjaciela stratę...

W tej chwili uwaga ich odwróconą została sceną szczególniejszą; z fosi pod murami klasztoru wysunęła się postać niewieścia, w płachtach białych, jakby mara z grobu wstająca; ze śmiechem poczęła witać Szwedów i kłaniała się im od ust, wskazując na bramę klasztoru, na kościół i mury.

— A to nasza żebraczka! — rzekł przeor — dziwna rzecz, jak ją to wszystko nie zastrasza, nie schroniła się nawet do klasztoru.

Kostucha wyszła ze swej kryjówki śmiało i w oczach wszystkich poczęła powolnym krokiem obchodząc mury od strony północnej, coraz się schylać ku ziemi, jakby

co zbierała; chociaż ogień Szwedów, acz nie zawsze dosięgający murów, z tego właśnie boku był najżywszy. Kule padały tu i owdzie, na wpół w ziemię wryte, niektóre bezsilnie zostały na wierzchu, inne od murów odskoczywszy, toczyły się ku fosom z kontraskarpów. Wśród nich Konstancja spokojnym krokiem szła śpiwając i zawiesiwszy płachtę u pasa, jak kobiety, co na grzyby wychodzą, poczęła podnosić, zbierać je i w fartuch składać.

Zamojski stał osłupiały.

— Wielka dla nas nauka — rzekł ze zdumieniem — jak się tu nam chlubić z męstwa! ona go ma więcej od nas, i więcej wiary, niżeli my wszyscy, patrzcie jak śmiało idzie i zbiera, aż Szwedzi posłupieli.

Kordecki łzy miał w oczach, serce mu biło.

— Tak nieulekli, tak ufni, tak weseli powinniśmy być wszyscy — rzekł powoli.

W tem znać ją postrzeżono z obozów, ukazało się kilku jeźdźców; widać było po strojach, po osiodłaniu koni, po rzedach i po uzbrojeniu, że to byli polscy żołnierze.

Kordecki się oburzył.

— I oni! — zawołał — i oni na Częstochowę! na matkę dzieci! o zgrozo!

Jeźdźcy zbliżali się ku murom, na ich czele jechał barczysty, słuszny mężczyzna w czerwonym żupanie i piaskowym kontuszu, z kołczanem u boku, łukiem na plecach, z szablą dobytą i krzykiem na ustach... Głos jego nie dochodził patrzących, ale znać było, że zachęcał i prowadził pod mury. Widać Miller, czy Wejhard, spoiwszy biedaka, użyli go za przewodnicę, chcąc Polaków jego przykładem przywieść do czynnego udziału w Częstochowskim szturmie.

Z oburzeniem patrzali wszyscy z murów na tę kalwakatę ciurów zapewne opitych; przeor ręce złożył, modlić się począł, a oczy zakrył.

— Dzieci! dzieci własne! na matkę — powtarzał z łkaniem.

Jeździec zbliżał się coraz pod mury ze swoim or-

szakiem; z szeregów polskich, ten, ów wyrwał się za przewodzcą, wywijając szablami kłusowali ku górze. Naprzeciw nich stała zdumiona Konstancja z fartuchem kul już pełnym, kiwając głową, grożąc na nosie, pokazując obraz N. Panny na murze zewnętrznym odmalowany.

W tem wystrzał z murów obalił dowódcę tej wycieczki, padł na ziemię z koniem razem; otoczyli go kilku bliższych, popatrzyli, ale widać zabity był w miejscu, a kule świstały, bo natychmiast pierzchnęli wszyscy i żwawo do obozu zmykać poczęli.

— Módlmy się za grzeszną jego duszę — szepnął przeor.

Wszyscy ukłękli.

XIV.

Miller niedługo w szopie na Częstochowieckich zgłiszczach posiedziawszy, musiał się z niej wybierać, rozkazawszy nieco opodać na rumowiskach namiot swój rozbić. Na twarzy jego malował się gniew i upokorzenie tem gwałtowniejsze. że sobie poczynił jak z mniachami, a znalazł w nich ostrożność, przebiegłość i znajomość najlepszych żołnierzy. Z każdego opuszczenia się jego i błędni korzystano natychmiast, a poczynione ofiary oznajmowały, że klasztor myśli się bronić do upadłego. Chodził i mruczał; Wejhard, który go tu sprowadził nie pokazywał się teraz; wysyłał po niego wściekając się posłańców, aż nareszcie hrabia nie mając powodu i wymówki, przybyć musiał.

Miller spotkał go zaraz wyrzutami:

— Widzicie — rzekł ze złością — tu co innego wcale się święci, to się zabiera na zapalczywą obronę, tracimy czas i ludzi.

— Prawdziwie, nie pojmuję — rzekł Wejhard łagodnie — oni się bronić nie mogą, targują się tylko o poddanie, o warunki...

— A śliczny mi targ — zawołał Miller — w zadatku patrz co trupa!

— Przypadek! przypadek! — rzekł Wrzeszczewicz.

— Co? i spalenie folwarku! i tych szop, i ci pobici to wszystko ma być przypadek?

— Ale powtarzam generałowi, mnisi bronić się tak długo nie mogą — zawołał Wejhard — z czem? ze stu kilkudziesięciu ludźmi, przeciwko dziewięciu tysięcom? ani biegłych dowódców nie mają. Wysilili się dzisiaj, trochę im też szczęście. trochę nieostrożność nasza posłużyła i po wszystkim.

Miller odwrócił się z gniewem.

— Ale to tak trwać nie może! — odezwał się wysapawszy — potrzeba kończyć.

— Skończymy generale, niech Kaliński jedzie do klasztoru i pocznie się z nimi targować.

Miller wskazał tylko ręką Kalińskiemu klasztor.

— Ruszaj pułkowniku — rzekł — a żwawo, i przynoś mi punkta od mnichów, nie, to klasztor w perzynę obróć.

Pan starosta Braclawski, któremu wcale nie smakowały kule świstające do kola klasztoru i szwedzkie i częstochowskie, kwaśną dosyć zrobił minę, ale grać rolę statysty i mieć sobie powierzone traktowanie, pochlebiało mu z drugiej strony; zresztą Miller wymówek nie cierpiał, potrzeba było słuchać.

Kaliński siadł na konia, przodem na jakie dwieście kroków jednego i drugiego żołnierza wyprawivszy z białą chorągwią i okrążywszy po za kapliczką św. Jakuba, ostrożnie zbliżył się ku bramie. Kule świstały tymczasem, a w drodze, w skutek ich nieregularnego biegu, tysiąc uwag moralnych czynił sobie pan starosta, czując dreszcz przechodzący po za skórą. Kaliński był człowiekiem bez siły i charakteru, bojaźliwym a dumnym, pragnącym wzniesienia i plaszącym dla niego; wymownym kłamcą i wzorowym pochlebcą; właśnie podobnego mu do traktowania potrzebowali Szwedzi.

Na wezwanie trębacza, otwarła się furtka i starosta

z oczyma zawiązanemi, wprowadzony został sam jeden wewnątrz twierdzy.

W miłczeniu prowadzono go kurytarzami, i gdy chustka opadła mu z czoła, znalazł się w definitorjum naprzeciw krzyża i obrazu Matki Boskiej. Przeor siedział w krześle, kilku zakonników w stallach, kilku szlachty stali z boku. Kaliński miał zupełnie pozór obwinionego, którego stawia przed trybunałem. Spłoszony przez chwilę i nieuspokojony jeszcze po przejażdżce, opamiętał się rychło i odezwał słodkim powtaniem.

Uklon zbyt grzeczny, by serdeczność zwiastował, odpowiedział mu na nie.

— Przychodzę tu już raz drugi — odezwał się starosta — ojcowie kochani, przychodzę z radą, serdecznem napomnieniem. Nie myślcie, by nas Polaków nie kosztowało co czynimy, ale przekonani jesteśmy, że się poświęcamy dla waszego dobra. Nasza tu przytomność tyłe nas samych bolejąca, jest jakby ochroną od okropności, jakieby was od Szwedów spotkać mogły, gdybyśmy między nimi a wami nie pośredniczyli, nie stali...

— Ale o cóż to idzie? panie starosto — spytał zimnem zagadnieniem przerywając czułą mowę Kordecki.

— O cóż ma iść, jeśli nie o prędkie poddanie — kończył Kaliński łagodnie i z pozorem głębokiego uczucia. Zaklinam was nie narażajcie się. Jestli to podobna, w kilkuset ludzi, przypuszczam nawet w tysiąc żołnierza, oprzeć się takiej sile? Zmiłujcie się sami nad sobą, chciejcie zimniejszym okiem wejrzeć w to co czynicie. Nie znacie Millera, nie macie pojęcia potęgi Karola Gustawa... nie wierzycie może, że cała mu już Polska przysięgła..

— O! nie cała, panie starosto — oburzył się ksiądz Kordecki — i da *Bóg* odprzysięgną się go tak rychło, jak mu przysięgali pospiesznie nowi jego poddani.

Starosta zarumienił się, ale jakby tego nie brał wcale do siebie, mówił dalej:

— Nie znacie Millera, jest to wódz najbieglejszy,

pełen przebiegłości, umiejętności, doświadczenia, energii, dowcipu... Łagodnie z nim postępując, dobry i łaskawy, przyjaciel Polaków największy.

Pan Zamojski mimowolnie się rozśmiał.

— Ta przyjaźń — rzekł nawiasem — jawna i dowodów nie potrzebuje, pełne są generalskie wory polskich pamiątek; tak nas kocha, że zewsząd coś zabiera.

— To są potwarze! to są potwarze! — odparł starosta z ruchem deklamatorskim — to żołnierz winien nie wódz.

— Za żołnierza zawsze wódz odpowiada — wrzucił miecznik.

— Wojna! czasy takie! — kończył niezważając Kaliński. Powtarzam, Miller jest wódz wielki. Jego myślą, ubezpieczenie Polski od najazdów, bo taka wola dobrotliwego monarchy naszego Karola Gustawa, potrzebuje się tu umocnić na granicach Szlązka i musi zająć Częstochowę, jedynie dla dobra całego kraju naszego. Poddanie się wasze jest nieuchronnem, ale może być dwojakie: dobrowolne, a zatem łaskawe ze strony jego, lub zmuszone, więc gniewne i mściwe. Jeśli go *rozdrażnimy*...

— Nie mieszajmy spraw, panie starosto — przerwał przerwał przeor poważnie — raczcie mówić o nas z osobna...

Jakby nie słyszał, Kaliński ciągnął dalej:

— Jeśli go rozdrażnicie, stanie się srogim i nieubłagany; ogniem i mieczem mścić się będzie. *Parcere subjectis, sed debellare superbos*, to prawidło wojenne. Wierzcie mi ojcowie, chwili niema do stracenia. — Wysłuchał tej mowy Kordecki dosyć cierpliwie, a gdy Kaliński skończył, odezwał się łagodnie:

— Jakiem to prawem napadnięta została Częstochowa, powiedźcie mi, miłościwy panie, zkaż na to przysły rozkazy?

— Jakto? — zawołał Kaliński zdumiony — jakim prawem, pytacie!...

— Bo my tej napaści nie pojmujemy i rozumieć jej powodu nie możemy. Król imość Szwedzki, dodał

z przyciskiem, nie tylko że tego nie rozkazał, ale wola jego była, żebyśmy zostali spokojni i bezpieczni — weźmijcie i czytajcie. — To mówiąc podał staroście papier z wielką pieczęcią Karola Gustawa.

— Co to jest? co to? — zdumiony chwytając w drżące ręce podane pismo, zawołał Kaliński...

Był to list Karola Gustawa dany dnia 30. Września w Kazimierzu pod Krakowem, zapewniający Częstochowie bezpieczeństwo od najazdów i napaści wojsk Szwedzkich.

— General ma zapewne późniejsze rozkazy! — odparł przeczytawszy poseł.

— Ale że my o nich nie wiemy, — rzekł przeor, — i sądzim, że późniejsze pierwszym obietnicom przeciwnie być nie mogą, mamy więc Millera za rabusia i napastnika. — Starosta się ofuknął zapyrzony.

— To więc cała wasza odpowiedź? rzekł po chwili.

— Cała i bardzo prosta, — odpowiedział przełożony.

— Poślijcież sobie z nią zakonników swoich, — zawołał starosta, — bo ja jej nie poniosę.

— Ojcowie? którzy się z was ofiarnują? — spytał Kordecki. — Wszyscy prawie przytomni okazali gotowość, a z nich dwaj, Tomicki i Mielecki wskazani zostali przez przeora. i natychmiast odebrawszy instrukcję, wyszli do obozu. Kaliński usiłując jeszcze kilkakroć i różnemi sposoby niepokonanych zakonników straszyć, odszedł nakoniec kwaśny i gniewny.

— Wkrótce tu inaczej przyjdziemy! — zamruczał dumnie, zatraskując drzwi sali. — Gdy białe suknie Paulinów ukazały się od twierdzy, Miller, który swoich szykował właśnie, na wskazanych mu przez Wejharda mnichów spojrzał z tryumfem i dumą.

— A przecież — rzekł — idą, opamiętali się nareszcie. Wejhard tylko się uśmiechał.

— Byłem tego pewny generale, opierać się myśli nawet nie mają, to proste i jasne niepodobieństwo.

Wysłano zaraz kilku żołnierzy i wkrótce ojciec Marcelli Tomicki stanął przed Szwedem, który siedząc

na pniaku pokrytym kobiercem z herbami polskimi, zabierał się uroczyście dać posłuchanie.

— No, cóż powiecie? — spytał spoglądając na nich wzrokiem pańskim i ośmielić pragnącym.

— Przyszliśmy — odparł ksiądz Tomicki — wyrazić waszej excellencji podziwienie nasze: nie możemy pojąć, co znaczą pierwszy i drugi teraz napad tak gwałtowny na klasztor nasz, wbrew wyraźnej woli króla J. M. Szwedzkiego, którego listy zapewniają nam spokój i bezpieczeństwo. Nie możemy w was uznać wodza Szwedzkiego, gdy idziecie przeciwko rozkazom wyższym; a tem mniej traktować z wami nie możemy. zastanawiając się... — Jeszcze tych słów nie dokończył ksiądz Tomicki, gdy Miller jak piorunem rażony z siedzenia się pochwycił.

— Co to jest? krzyknął — słyszysz hrabio (na Wejharda spadło wszystko, on stał jak osłupiały) — Wy śmiecie mi to powiedzieć, że nie chcecie traktować ze mną! że mnie nie uznajecie wodzem! Wiecie że władza moja jest nieograniczona niczem, że z buntownikami mogę się wszędzie rozprawiać i karcić ich jak mi się podoba, i że gdybym was obn na suchej wierzbie powiesić kazal, wlos-by mi za to nie spadł z głowy.

— Panie generale, rzekł Tomicki, nie buntujemy się wcale, nie przez zuchwalstwo to mówimy, jątrzyć was zapewne ani byśmy chcieli, ani pora; ale rzecz jest wielkiej wagi, potrzebuje namysłu, wymaga ostrożności. Mamy listy bezpieczeństwa, które składamy, mamy wyraźną wolę monarchy...

— A jaz to jego woli nie jestem dla was wiarygodnym tłumaczem? — zawolał Miller w gniewie.

Zakonnicy zmilkli, generał odwrócił się ze złością od nich i rzekł:

— Idźcie sobie! idźcie, ale zapowiadam wam, że tu kamień na kamieniu nie zostanie, ani się wasze balwochwalskie świętości obronią moim działom — Precz! — Tak odprawivszy mnichów, ledwie odeszli, wpadł na Wejharda:

— Słyszałeś hrabio — zakrzyczał z gniewnym śmiechem — słyszałeś to zuchwalstwo wygolonych pałek, ja się mam przed nimi tłumaczyć! ja usprawiedliwiać z tego co czynię! To nie są mnisi, to nie bojaźliwi starce jakimiście mi ich wyobrażali, nie zdziecinniali ludzie, ale przebiegli i chytrzy zwodzicie i oszusty... — Ogień tym czasem w ciągu tych parlamentacji z obu stron nie ustawał, ale dziwnym skutkiem położenia wojsk i klasztoru, spiesznego nrządzenia się Szwedów, kule ich dnia tego rzadko dosięgały twierdzy Jasno-Górskiej, żadnej w niej nie czyniąc szkody, a oblężeni, puszczając swemi jakkolwiek mniej doskonałemi, spaliwszy w nocy folwark, zrana ostatki Częstochówki, kładli trupa co chwila. Nie można tego jednak było wcale przypisywać Wachlerowi, który niechętnie koło dział chodził, mruczał poglądając na potęgę Szwedzką, źle wróżąc klasztorowi, z musu tylko spełniając rozkazy.

Już się zbliżał wieczór, gdy generał wydyszawszy się, wyłajawszy w koło kto mu się na oczy nawinął, kazał szukać w skrzyni papierów ordynansu królewskiego, polecającego mu zająć Częstochowę, Bolesławice, Wieluń i Krzepice razem. List to był dawnej daty, bo Szwedzi nie od dziś w Krzepicach i Wieluniu siedzieli, a zatem poprzedzał później wydany do Paulinów w Kazimierzu, ale nie został odwołany. Zawsze do posyłek używając Polaków, Miller i tą razą niejakię Kuklinowskiego z regimentu konnego, pchnął z nim do klasztoru, choć się ten nieco od honoru poselstwa wymawiał i składał różnemi racjami, byle nie iść do Częstochowej — kazano jednak, musiał.

XV.

• Była już noc prawie¹, gdy list ten doszedł do rąk Kordeckiego; znajdował się on w swej celi z kilką zakonnikami, Miecznikiem, panem Czarnieckiem i Małachowskim. Działa z obu stron o zmierzchu ustawać poczęły, a rozkaz przeora dany na murach, aby poprzestać ognia, jak skoro Szwedzi niepokoić twierdzę staną, ściśle i ochotnie spełniony został.

Profess Rudnicki przyniósł pismo i wprowadził Kuklinowskiego, którego nie odprawiono, zsyłając się spóźnioną porą i odkładając na jutro.

— Ho! zobaczymy też co nam generał pisze! — rzekł rozpieczętowując Kordecki.

— Ciekawym — dodał pan Zamojski — ale *timeo Danaos et dona ferentes*, choćby się lizał, niebardzo mn wierzyć. — Cóż to ja widzę! — zawołał rzucawszy okiem na papier, — wszak ci to wyrażuy rozkaz króla JMości zajęcia Częstochowej. A co księżę przeorze, nie mówiłem żeście się źle wzięli, i że z tej beczki nie należało poczynać, otóż zbili nas z tropu! Skonwinkowali, jakem pocziw, patrzcie! *stat* czarno na białem, zająć Częstochowę! a co teraz poczniemy? — Wszyscy zdawali się mocno zafrasowani, tylko przeor się uśmiechnął.

— Bynajmniej to nie konwinkuje, rzekł spokojnie.

— Wy się śmiejecie ojeze, a to *Ca'amitas*, bo nie zaprzeczycie, że nas spędził ze stanowiska.

— Nie, kochany Mieczniku.

— Jakto? Mówcie, niema rozkazu królewskiego, a on wam okazuje rozkaz jego, a w dodatku przysłał go *in originali*, chyba zażądacie, żeby był w aktach grodzkich poświadczony!

— Juściż to prawda! — dorzucił pan Piotr — cale to nie moja rzecz; bić się to ale, a w te korowody z niemi wchodzić, nie potem. Kaźcie na każdy list ognia dać: posłańców nie puszczać, bo to wszystko

szpiegi; traktacje wszelkie suspendować. i siec.... taka moja rada.

— Dla czegoż panie Piotrze, nie mamy używać wszelkiej broni godziwej, jaka się trafia? — zapytał Kordecki, — i owszem słowami z niemi walczyć mniej się może krwi przeleje.

— Ba! ale nas temi chytrściami pokonają... pismo to niebezpieczna rzecz...

— Nie! panie Mieczniku, nie panie Piotrze, przy pomocy Bożej i tego się nie ulekniemy.

— Ależ naprzykład tn. argument niepokonany, jak go zgryść?

— Bardzo łatwo.

— Przynajmniej ja w pokorze ducha, niemożność uznaje, rzekł kłaniając się Zamojski.

— A taka rzecz prosta i jasna, mówił z uśmiechem przeor, wskazując na kartę. Częstochowa to miasto — Częstochowa, rozumcie mnie; klasztor czyż nie wiecie, że się zowie zawsze i wszędzie Jasną-Górą — po całym świecie słynąc nazwaniem *Clarus mons*. Niechże sobie Miller zajmuje Częstochowę, a Jasnej-Góry mu nie damy..... Ze wszystkich ust razem wyrwał się wykrzyk radośny i wesoly.

— Doskonale i wybornie księże przeorze dobrodziejn! szlijmyż mu zaraz zwycięzką odpowiedź.

— Czekaście, nie mamy czego spieszyć — odparł zakonnik, — dziś już noc, dobrze nam i kilka godzin mieć w zysku, jutro i to nie rychło, pošlemy do niego z listem. Musimy godzinę każdą cenić, bo ta chwila życiem ludzkim się płaci; zwlekać, marudzić, targować, na tem rzecz... — Z uszanowaniem w milczeniu znowu spojrzeli na przeora przytomni. i słowem mu się nikt nie sprzeciwił, trafiał do przekonania wszystkich.

— A teraz — dodał Kordecki do szlachty — pójdźmy mury obejrzeć i żołnierza pokrzepić. — To mówiąc narzucił swój płaszcz, i poprzędzając gości ruszył ze swej celi ku korytarzom w podwórce, od strony północnej zaczynając przegląd hetmański. z wodza powagą,

natchnieniem, z rezygnacją kapłana, z mężstwem żołnierza. — Działa już wszystkie milczały; rozpalone ich paszcze dymiły tylko jeszcze wśród chłodu nocy, okrywając się parą jakby ze znużenia; przy nich leżał lud, puszkarze pod namiotkami, jedni modląc się na różańcach, drudzy pożywając posiłek wieczorny, inni gwarząc o wypadkach dnia tego. Żadna śmierć nie zasmuciła początku walki w twierdzy, a choć Miller silił się wyłom zrobić w słabszych murach od północy, jeszcze i jednej nie skruszył dotąd cegiełki. W jednym miejscu weselszy śmiech i gwar ludzi zastanowił przeora; jakaś postać w ciemności na mur się prawie wdrapawszy, rzuciła coś żołnierzom. Przelekły Zamojski widząc kogoś z wewnątrz się dobywającego, poskoczył z wołaniem.

— Kto to? co to jest? — Głowa w płachty uwinęta odpowiedziała mu z za muru:

— Sługa matki Boskiej! nie to Mieczniku dobrodzieju! nie! to ja! stara sługa N. Panny Częstochowskiej, przyniosłam żołnierzom trochę Szwedzkich gruszek, sama już nie ukąszę ich, bo zębów nie mam, oni niech się pożywią.

— Jakie to gruszki Szwedzkie? podchwycił Zamojski. — Żołnierze się śmieli i zbierali po blankowaniu rozsypane kule różnego kalibru, które stara żebraczka rzucała im, uzbierawszy ich od rana dobry zapas. Przeor nadszedł i twarz mu się rozpogodziła.

— To nasza ranna, którąśmy to widzieli pod murami, pomocnica. Widzicie, a w amunicję nas opatruje; weźcie, weźcie, od przybytku głowa nie boli, i to dar Boży; kto wie, jak długo pociągnie obleżenie, zapas nie szkodzi.

— Ale jakże się na mur wdrapała? — spytał Miecznik:

— *Bóg* to wie, — odpowiedział Kordecki, — źle tylko że może nieprzyjacielowi wskazać drogę.

— Nie bójcie się, nie bójcie, Szwed tu nie wlezie, rzekła Kostucha, to moja chata, a ja swojego kąta obronię... Po murze iść jak po wschodkach, a tu i

bramka jeszcze i' gzemsy... nie osobliwego nie doka-
załam. Brat Paweł puścić nie chciał, że późno, mu-
siałam tedy oddać co się zebrało... Dobranoc panom,
bo mnie czas odpocząć, życzę spokojnej nocy! Szwedzi
spią — sza! nie budźmy licha kiedy spi... luli, luli! —
Głos schodził, słabnął i ustał...

XVI.

Nazajutrz była niedziela i święto Ofiarowania Naj-
świętszej Panny; obłężenie nie mogło przerwać nabo-
żeństwa uroczystego, które przeor rozporządził wcześniej
ze zwykłą wystawnością, bo to był dzień patronki,
dzień Jej pamiątką uznaczony, który wśród niebezpie-
czeństwa obchodzić chciano gorliwiej jeszcze niż zwy-
czajnie. — Kordecki sam spiewał mszę wielką przed
ołtarzem Marji, z tem świętem przejęciem, z tym za-
palem ognistym, co jak iskra rozpala kogo dotknie;
i gdy dnia tego przypadające we Mszy świętej słowa
odśpiewywał:

Concupiscit et deficit anima mea in atria Domini;
cor meum et caro mea exultaverunt in Deum vivum...

„Dusza moja pożąda i omdlewa, pragnąc wniść
do domu Bożego, serce moje i ciało drżą z radości do
Boga żywego.“

Znać było, że wyrazy te płynęły mu z duszy, że
ich zimno nie powtórzyły usta. ale się wyrwały z uczu-
ciem, z uniesieniem, z zapalem...

I mury kościoła drżały od spiewu, od muzyki, od
dzwonów bicia, a Szwed jakby zawstydzony milczał;
znać Polacy będący w obozie powiedzieli mu o święcie,
które sami beze mszy nawet obchodzili może.

Ksiądz Jan Starodomski miał dnia tego rzewne ka-
zanie, które poruszyło serca wszystkich i wlało mężstwo
w złęknionych, potrzebujących nieustannej podniety,

aby duch ich nie opuszczał. Twarz Kordeckiego jasna, ufna, blaskiem wiary świecąca, była drugą mową całą, była najlepszym bodźcem do odwagi. Na jego ramionach leżały losy tylu ludzi, świętości tak drogich, a on stał spokojny. — Zwołaniem do Boga: Święty! znowu wyszli wszyscy obejść mury z przenajświętszym Sakramentem; wysunęły się chorągwie, powiały z wiatrami wizerunki świętych, srebrny krzyż dźwignął nad strzelnicę, wysypał się za niemi lud gromadnie. Szwedzi patrzeli w zdumieniu, osłupieniu, jak na coś niepojętego dla nich, na ten spokój modlitwy po wczorajszym dział grzmocie; śpiewy przejmowały ich jakimś niepojętym strachem. Gorzej było w obozie polskim: tu zgryzota sumienia, tu żal ciężki panował; wszyscy z odkrytymi głowami witali processją daleką, czując przytomność Bożą na tych uświęconych murach. Ich dłonie skalane podniesieniem oręża na świętości własne, ciążyły bezwładne, nie mogąc złożyć się do modlitwy, spadały ku ziemi; czoła pokutniczo kłoniły się, przykładały kolana, dreszcz przejmował, a ze śpiewem co ich dochodził, zdawały się słyszeć przekleństwo, odrzucenie, wyrok skazujący ich na wyłączenie z bratniego grona, które krzyż łączył.

Milczenie głuche, przeciągłe, grobowe, westchnieniami tylko przerywane, panowało nad tą częścią obozu; szwedzkie bluźnierstwa, śmiechy bezbożnych, co urągali uroczystości nie mogąc jej dzielić w obec tej Arki, którą niesiono na postrach Filistynów, miotane obelgi i przekleństwa protestantów, najboleśniej Polakom czuć się dawały; — widzieli dziś komu rękę podali, kogo posiłkowali i przeciw komu: poznawali, że samobójcy targnęli się na siebie samych, na to, co mieli najdroższego w świecie — wiarę!

Ktoby wówczas spojrział na Polaków w obozie szwedzkim stojących, na pobladłe ich twarze, na zmartwiałe usta, chmurne czoła, nie wróżyłby Gustawowi długiego związku z nimi. W obec religijnego obrządku odskoczyły od siebie te dwie związane ale nie zrosłe części nieforemnej całości, i groźnie patrzyły jak

wrogi; Wejhard nawet, nie Polak, katolik tylko, udając wesele, czuł się niespokojnym; dźwięk dzwonów i śpiew, zdawały mu się czynić wyrzuty.

Miller także patrzył, niecierpliwił się trochę, ale mu to było obojętne; żartowaćby był chciał, a żart mu nie szedł, bo za czary jakieś uważał ten obchód, a czarów się obawiał. Odwracał głowę, krył oczy, rzucał się niespokojny, rad żeby to rychlej ustało.

— No! długoż ci mnisi pod pozorem nabożeństwa zwodzić i nudzić mnie będą? zawołał w ostatku zniercierpliwiony, — każe dać ognia do ich chorągwi i bałwochwalczych obrazów. Czemu mi nie przysylają odpowiedzi. A! tyś katolik, — odwrócił się do Wejharda z przekąsem, — powiedzże, długo to jeszcze potrwa?

— Skończy się około południa, — odpowiedział hrabia poważnie.

Ale i południe nadeszło, a z klasztoru śpiewy, dzwonów dźwięki dochodziły, procesja krążyła jeszcze, powiewały chorągwie.

Gdy tak pobożnie za świętem Ciałem umęczonego Boga idą wszyscy do koła murów, ledwie chorzy i niedołęgi pozostali po izbach, stary Lassota wywłókł się także z wnuczką swoją, a Krzysztoporski w tłumie szlachty, siwą, olysiałą głową, ponurą i groźną twarzą górował. Wzrok jego zasępiony brwią nawisłą, a zimny i chmurny, ciężko obracał się dokoła; szedł, ale się nie modlił, jakby mu kamień usta nacisnął. Postać to była poważna lecz straszna: starzec z wyrazem siły i niepokonanej woli na czole, ustami dumnymi, silnymi barki i ruchami gwałtownymi jak dusza. Znać było w rysach, znać w marszczkach głębokich, że silne namiętności życie jego przepaliły, że cierpiał, używał i bolał, a walczył niepoddając się do końca. Ciężka szablica włókła się za nim brząkając po bruku, jakby się na niego skarżyła; jedną ręką trzymał się w bok drugą niósł pogniecioną czapkę z pióropuszem.

Oblicze to, podniesione nad tłum wzrostem Krzysztoporskiego, przerażało zamartwym na niem wyrazem

oporu i samowoli. Znać myślą był gdzieindziej, bo wzrok błdził nieuważny, szklanny, to tu, to owdzie zwracając się, z jedną ciągle dziką obojętnością, z duszy na wierzech wypędzoną.

Opodał nieco szedł Lassota, złamany wiekiem, sparty na wnuczce, takim jakeśmy go widzieli w jego ubogiej chatce, tylko na twarz dziwny występował rumieniec, bo czuł choć nie widział jeszcze nieprzyjaciela swojego w tłumie. I chciał się modlić, a zrywała mu się w ustach poczęta modlitwa, drgnął ile razy go kto dotknął, na każdy szelest głowę odwracał, słowa marły na wargach, oko z księgi zbiegało na lud, z ludu na księgę. Hanna podtrzymywała go i śpiewała pieśń szybko, żywo, jakby nią chciała myśl jakąś w sobie przygłuszyć, czegoś zapomnieć, do czegoś się osmiesić.

Podniesiona głowa Krzysztoporskiego, wciąż z obojętnem wejrzeniem, stała nad tłumem, i długo, długo wzrok jego szklanny nie objawiał nic, krom jednostajnego cierpienia; nagle oczy jego zaiskrzyły się, zabłyśły jak ogniem piorunowym, głowa rzuciła się na ramiona, wargi zatrzęsły konwulsyjnie, i włos pozostały na czaszce zdawał najeżać; ręka ścisnęła szablę, posunął się żywo — i stanął. Ale lud popychał go z sobą i unosił dalej. Szedł ale już inaczej, krokiem urywanym, namiętym, jakby go co pędziło i wstrzymywało. Oczy utkwione w jedno miejsce, zniżyć z niego nie mogły — zobaczył Lassotę a przy nim dziecię, pociechę, nadzieję! On nie miał nikogo, jego życie płynęło jak krwią zakrwawiony strumień, wśród błot zapadłych. Tamtemu Bóg promieniem jasnym ustroił czoło zmarszczone; jemu wszystko odebrał i zostawił go samym, znękanym, zbolałym. Chęć zemsty przeleciała przez głowę, złość i gniew obudziły się w sercu, ale oko padło mimowolnie na Ciało Chrystusa... na świętość.

I czy raz pierwszy w duszy jego obudziło się coś niepojętego, ręka opuściła szablę, wzrok upadł na ziemię, piersi ulżyło westchnienie. Zastanowił się i tłum go popychał, a wzrok jego znowu padł na żywego Boga;

Krzysztoporski uczył się świętokradzłą, idąc z uczuciem zemsty za tym, który wszystko zabójcom swoim przebaczył. Ale to była chwila tylko, chwila jak promyk słońca w zimie, przelotna i krótka, i Krzysztoporski znowu zapłonął gniewem, znów chwycił oręż, znów oko krwawe, posępne, straszne żąda zemsty, zwrócił na starca, jakby go niem chciał pożreć.

I rzekłbyś, że tę potęgę wzroku uczył schorzały starzec, zadrżał także, zniepokoił się, zatrzymał, siły go opuszczały; odwrócił oczy i wrogie wejrzenia spotkały się z sobą. Zwarli się jak mieczami, jakby barki z barkami się ścięły. — Nic odmałować nie potrafi tej chwili krótkiej, w której ich oczy same stoczyły z sobą walkę śmiertelną: wlepili je w siebie jakby się wyzywali, a żaden ustąpić nie chciał, i stali oba i patrzeli, a jedli się wzajemnie. Całe życie, cała siła ich zbiegła do zakrwawionych oczów; uczuli jakby życie przez nie uciekało, i po walce. złamani zostali i bezsilni. Krzysztoporski stał wryty, wnuczka ciągnęła starca; on pierwszy wrócił do modlitwy ustami, choć jej jeszcze zakrwawione serce nie rozumiało długo, pierwszy on przebaczył w imię Boże.

Nikt nie spostrzegł tego dramatu jednej chwili, nikt, a raczej jedno tylko obce oczy. Stara żebraczka, którą wpuszczono do twierdzy na nabożeństwo zresztą kul, co ich wczoraj przez mur przerzucić nie mogła, — szła także za processją, ale ze zmienioną twarzą. Wzrok jej osmutniały i niespokojny wyszukał w tłumie tych dwóch ludzi i wracał ku nim nieustannie. Śmiech co jej usta wyginał zwykle, zbiegł z warg zmarszczonych, które posępny wyraz przybrały. Szła i patrzała, a oczy jej radeby się rozedrzeć na dwoje; to padały na starca, to na Krzysztoporskiego, z litością i strachem naprzemian; to na Hanne, na którą z niewysłownym miłością poglądała wyrazem. Długo tak szła aż pod drzwi kościelne, i gdy się dwaj nieprzyjaciele zwarli oczyma, zadrżała, odwróciła się, poznała co w ich duszy się działo, stanęła jak przykuta w miejscu i już nie powróciła do kaplicy. Sparła się

o mur i pozostała przy nim coś szepejąc, czegoś się miotając dziwnie; lecz, że ją zdawna miano za szaloną, nikt na to nie zważał.

Wszyscy wyszli z kościoła, i dopiero wówczas w puste jego mury, kadzidłem i modlitwą świeżą przesiąkłe, wstąpiła powoli żebraczka, wprost idąc przed obraz Bogarodzicy. Tu padła krzyżem na posadzkę i tak została dopóki jej zakrystjan wyjść nie rozkazał, zamykając kaplicę.

Tymczasem Miller czekał i złościł się bezsilnie, aż wreszcie nierychło przyniesiono mu list przeora. Wiemy już jego odpowiedź. Wejhard, który na widok posłańca nadbiegł, spodziewając się tryumfu, punktów ugody lub czegoś podobnego, czytał list generałowi. Szwed poskoczył z miejsca usłyszawszy odpowiedź przeora, choć była pokorna i uszanowania pełna; ale ten spokój mnichów, to ich zaufanie w obec ogromnych sił szwedzkich, ta śmiałość wśród otaczającego niebezpieczeństwa, którego nie zdawali się widzieć i uznawać, w głowie mu się nie mieściła.

— To szaleńcy! — zawołał.

— To tylko mnichy — odrzekł Wejhard — gdyby tam był choć jeden żołnierz, nauczyłby ich co im grozi.

List Kordeckiego czytano. Przeor przybrał w nim nową dla siebie postać dyplomaty-kapłana; wywijał się jak mógł z Millerowskich zagadnień: „Naszem powołaniem, pisał, jest nie wybierać królów, ale naznaczonym od Boga dotrwać w raz poświęconej wierze.

— O! to już co innego! — rzekł Szwed, — nie uznają znowu króla szwedzkiego, buntownicy!

„Wybrany, czytał Wejhard zakąsając wargi, dochodujemy niezłomnie posłuszeństwa i wierności wszyscy, z tem miejscem świętem (które dotychczas zawsze, jako w protekcji, tak w weneracji wielkiej królów zostawało), nie ręką orężną (gdyż to nie nasza jest potencyj królów przeciwieć się) ale naszą zakonnością napomnieni do tego. Widzieliśmy ordynans króla J. M.

szwedzkiego, ale ponieważ prezydent dostateczne mamy, którym wszelkie najazdy swawolnych...

— *Incursio Insolentium!* — zakrzyknął Miller zjadł biorąc to do siebie, i czytającemu każąc powtarzać Wejhardowi — ha! mnie to tak częstują i waści panie hrabio, czytajmy dalej!...

Gdy Wejhard doszedł do miejsca, w którym przeor różnicę Częstochowej od Jasnej-Góry położył, Miller począł się znowu srożyć, rzucać i łajać, i nie dał już kończyć czytania listu.

— Słyszysz — rzekł do posłańca — chytrym mniemam za całą odpowiedź ponieś słowa moje, zniszczenie ich czeka! w gruz i popioły ich ten kurnik obróć. — To mówiąc odegnął go i natychmiast siadł na koń gotując się całą siłą wyrzucić na klasztor.

XVII.

Dzień to był straszny dla obleżonych, ale Kordecki zaraz po nabożeństwie sam stanął na murach i w natchnieniu, rozplomieniony wiarą, kierował obroną, którą potrafił uczynić dalszym ciągiem modlitwy. Zamojski — co się spodziewał dowodzić i był pewien, że jego znajomość sztuki rycerskiej, wielką tu będzie pomocą, — Czarniecki i inna szlachta, uznali hetmana w przeorze. Nikt ust nie śmiał otworzyć. Inny to był już człowiek, i potęgą jego słowa, jego skinienia, tak była wielka, że jej nikt, nawet miłość własna wojaków starych sprzeciwić się nie mogła. Pogodna była twarz jego, wzrost zdawał olbrymić, głos dwoić, myśl obejmowała wszystko i przewidywała jak widzeniem przyszłości to co się stać miało.

Jeszcze się Szwedzi nie byli zgarnęli do usypanych na przedce pięciu swoich baterii, z których żywy ogień postanowił Miller zwrócić na klasztor, w nadziei, że

go zapali; a już po dachach wszystkich, po drewnianych budowłach. ludzie, woda, haki, mokre opony i stróżowie byli gotowi. Kordecki sam to wszystko przysposobił zawczasu. Miecznik spoglądając z podziwieniem i czcią, milczący stanął pod rozkazy przeora.

Jemu dostało się strzedz baszty i części kortyny północnej. Czarnieckiemu dowództwo nad ludźmi ustawionymi na północo-wschodzie. Moszyński wziął dział od wschodu, Skórzewski i Krzysztoperski od południa i południo-wschodu. Lud czerniał na murach dokoła; do dział gotowych, niewiasty. dzieci, księża sami nosili kule, zataczali kamienie i drzewo. W dziedzińcach szybko wdziewano zbroje, opatrywano rusznice i szcęk oręża zewsząd słyszeć się dawał.

Tymczasem z rozkazu przeora, dla dodania serca żołnierzom, i jakby na urągowisko Szwedowi, na górnej wieżycy zabrzmiała muzyka klasztorna starą pieśnią wojenną: Boga-rodzica Dziewica.

Kto żyw z przejęciem wtórował, aż po okolicy rozlegał się ten hymn i uderzył znowu uszy i serca Polaków u Szweda będących, którzy mu wtórować nie mogli. Oni, nie warci już byli śpiewać Bogarodzicy.

— Wszystko w pogotowiu! wołał Kordecki — ale nie nasza rzecz poczynać, czekajmy niech Szwedzi pierwsi się odezwą; pomnijmy, że się im tylko bronimy,

I pieśń wśród ciszy rozlewała się daleko, wspaniałe jak rzeka srebrzysta; każdy stał w miejscu, spoglądał i czekał. W obozie Szweda widać było ruch wielki, trąby i kotły zwoływały lud pod chorągwie. starszyzna przełatywała na koniach, hufce ściśnięte przechodziły na stanowiska, w baterjach świeżo posypanych celowano działa; Miller otoczony pułkownikami z księciem Heskim, Sadowskim i Wejhardem stanął na wzgórku i patrzył.

Pięć baterji w ciągu nocy przygotowanych, zagrażały Jasnej-Górze: pierwsza naprzeciw samego klasztoru, na dachy jego zdawała się wymierzoną, druga czterodziałowa, dalej nieco ku Częstochowie posuniona była;

trzecia największa z boku od dwóch pierwszych z północy wymierzona, bardzo mocno z koszów plecionych zbita, którą Szwedzi przez te dni przygotowali, wodą polewana i obmarzła, najstraszniejszy miała pozór; w niej dział ośm stały obwarowane szansem i twardym i podniosłym; dwie ostatnie ustawiono od kościoła św. Barbary i od zachodu.

Chwila oczekiwania przerażająca była dla żołnierza w Częstochowie, szczęściem nie długo potrwała: Szwed szybko się gotował. Kordecki chodził, zachęcał, rozgrzewał i ukląkł wreszcie na stopniach bastjonu, wołając:

— Módlmy się, Zdrowaś Marja!

Cicha modlitwa, która kończyła głośnie Bogarodnicę, poprzedziła wystrzał szwedzki; ale razem z nim odezwała się znów muzyka starą pieśnią kościelną, która serce podniosła.

Zadymiły baterje, huk rozległ się straszliwy i bomby, kule, granaty, karkasy, z ogniem, ze śmiercią, wleciały nad mury klasztorne.

— Teraz w imię Boże, ognia! — zawolał przeor, wznosząc do góry krzyżem Pańskim uzbrojoną rękę — ognia!

Odpowiedziały razem działa Jasno-Górskie, a na mury posunęli się zewsząd żołnierze, bo i piechota szwedzka, minawszy strzał działowy, biegła do szturmowi. Na dachach gorzały bomby rzucone, ale ogień gasili stróżowie, w podwórcach kule padały gradem mijając żołnierza; jedne źle skierowane przenosiły klasztor i kościół, drugie ich nie osiągały. Śpiew na chwałę Marji brzmiał ciągle, i głuszył chwilami rozlegające się po górach strzałów grzmoty. Przeor z krzyżem szedł i śpiewał, zastanawiając się przy zlekniionych, błogosławiąc mężnych. Gdy po pierwszej chwili przestrachu, po kilku wystrzałach szwedzkich nieszkodliwych, nikt nie padł, a wszyscy jakby cudem ujrzeni się cali, z nowym zapalem każdy się rzucił do walki. Działa na baterjach ustawione z fortecy dość szczęśliwie napastowano kulami, a z ręcznej strzelby

rażono bliżej się podkradającą piechotę. — Wśród tego zgiełku wojennego, nieustraszona żebraczka, która przed chwilą wyszła z połańcem za mury przechadzała się spokojnie, jak gdyby wśród lasu zbierała jagody lub grzyby, kule szwedzkie do fartucha gromadząc. Strzelano do niej napróżno, nie jej ulęknąć nie mogło, powolnym krokiem szła dalej, zastanawiała się, wracała, wcale nie zważając na świszczące nad nią kule.

Zajadłość Szwedów, którzy wysilali się na pokonanie tej garści, a dopiąć nawet nie mogli, by ją nabawili strachem, dochodziła do najwyższego stopnia; w przestankach odzywająca się jeszcze muzyka dokuwała im jak naigrawanie i szyderstwo. Miller rozsyłał rozkazy, gniewny, rozgorączkowany i dziwiąc się, że karkasy nie zapalały dachów, mieniał puszkarzy, bezczęścił swoich ludzi, łajał Wejharda. Wszystko napróżno; w kilku miejscach błysnął pożądany plomyk, ale zaledwie się ukazawszy, gasnął, i dym tylko działowy otaczał twierdzę. Szwedzi padali od kul Jasnej-Góry z dział i śmigownie miotanych, a tak celnie mierzonych łosem, choć niemi niewprawne kierowały ręce, że ilekroć pokusili się Szwedzi ku górze, odparci zostali ze znaczną szkodą. Slabe mury północne wytrzymywały nadspodziewanie.

Tak przeszedł szybko godziny do wieczora, wśród huku dział, wśród muzyki na wieży, wśród krzátania w obozie i klasztorze; Miller wysilał się na gęste strzały, Kordecki mu odpowiadał powolniej ale ciągle, i bronił od rzuconego ognia. Większa część ludu Jasno-Górskiego ze śpiewem ochoczym spełniała poruczone sobie prace; wszyscy prawie mieli u pasa lub na szyi różańce, na piersi blaszane obrazki N. Panny, a w ustach chwałę patronki. — Szlachta stała na wyznaczonych miejscach, kierując obroną i ludem z gorliwością niezwałczoną; bojaźliwsi tyłko, słabi, starce, niewiasty i dzieci, w głębi zabudowań klęczeli na modlitwie. Muisi którzy nie mieli wyznaczonych stanowisk i dozoru, szli tymczasem jak innych dni na nabożeństwo o zwykłej

godzinie, dzwon ich zwoływał w chwilach regułą zakonną opisanych; a chór napełniały razem głosy modlitwy i wrzawa niedalekiego boju, od którego trzęsły się okna i chwiać zdawały mury. Niekiedy padająca kula, która za sobą obłam ściany nosła, trzask łamiącej się krokwi na dachu, wołanie stróżów, chlust wody, przerywały silniej jednostajną psalmodję mnichów. — Kordecki był razem wszędzie: i na modlitwie z braćmi i na murach z żołnierzem; rzekłbyś, że się podwajał. Głos jego brzmiał donośnie na wszystkie strony, a pogodne oblicze ukazywało uiespodzianie, przewodnicząc do śpiewu i boju. Chwilami tylko wpadał w głębokie zamyślenie, prorocze, posępne, jak gdyby postrzegał przed sobą wszystkie przyszłości klęski i ofiary, jakby go duch przenosił w cięższe jeszcze czasy, którym i wodzów i proroków zabraknąć miało; niekiedy iza zabłysła mu na oku; ale prędko spaliła ją na licu odwaga, i mnich-wódz, z przytomnością żołnierza, co wzrósł w bojach, znowu wydawał rozkazy, znowu zachęcał i kierował. — Noc nadchodząca uśmierzyła napast i dozwoliła zwolnić obronę. Szwedzi ufni w siły swoje i przewagę, chcieli swobodnie odpocząć, a zakonnicy radzi byli, że się opamiętają po całodniowym gwarze. Obóz jeszcze szumiał, jak oddalająca się chmura. Między wodzami, których zwołano na radę, znać było waśń jakąś, i rozsianie niechęci. Miller w duchu obwiniał o wszystko Wejharda, który go namówił rzucić się na ten jak go nazywał, kurnik; widział już, że z mnichami tak łatwo jak sądził mu nie pójdzie, wstydził się odstąpić z niczem. Myślał, że przyszedłszy zagarnie, zbogaci się i wróci, a tu zabierało się na formalne długie oblężenie, w którym bez działań szturmowych obejść się było trudno. Dzień ubiegły dowiódł mu silniej jeszcze, że małe jego połowe działa, nie podobają tym murem i odwadze, że zakonników huk i stukot, groźby i lajania nie zastrasza. Wejhard przesładowany wymówkami, widocznie unikał Millera, który nań kwaśno spoglądał. Sadowski milcząc spełniał co mu było polecane, bez zbytku gorliwości ale ściśle.

Kaliński zajmował się ciągle to przypochlebianiem Wejhardowi, to na wszelki wypadek usiłując sobie pozyskać względy Millera, przed którym się płaszczy. starał na każde jego zawołanie okazywać gotowość. Miller kwaśny był i zły ciągle, mieszkał w chłodnym namiocie. pił miód i niewyśmienite wino własne, nie miał co jeść, bo się był jeszcze nieusposobił w potrzebne na stół zapasy; słoty dojmowały mu, a najgorzej cierpiał na tem, że walczył z mnichami i od razu ich nie pożył. Zaraz tegoż wieczora wysłano gońca do Krakowa po burzące działa wielkie, których konieczna okazała się potrzeba. Wejhard napróżno usiłował jeszcze dowieść, że się bez tego obejdzie.

Pouuro zszedł wieczór w obozie; choć flasze i szklanki krążyły, choć hrabia starał się rozbawić i poweselić Szweda, ten milczał zaszępiiony.

— Trochę cierpliwości, panie generale, — rzekł w końcu urażony ciągłemi wymówkami, mówiłem i mówię, że to długo potrwać nie może, mnisi na kolanach łaski błagać będą; zresztą znajdziemy na nich sposoby.

— Tak! gdy wielkie działa nadejdą.

— I bez tych dział się obejdzie, znacząco odparł Wejhard, zobaczymy...

— I bez dział? spytał Miller, a cóż je zastąpi?

— Są różne sposoby prowadzenia wojny, tajemniczo rzekł hrabia.

— Naprzykład? — spytał Horn gubernator Krzepicki, milczący Szwed, który Wejharda nie lubił — na przykład, hrabio? chciejże nas nauczyć.

— Nie potrzebuję ich wyliczać, odparł Czech, wszakże wszyscy zarówno wiemy, że nie tylko kulami się wojnuje. Wiecej teraz powiedzieć nie mogę.

Miller ręką machnął i rozśmiał się szydersko:

— Obiecujesz nam zawsze złote góry, które się kończą na śliskich i skalistych, jak i tu. — Już teraz nie dam ci wiary. Częstochowa daleko mi się inaczej zblińska wydała.

Wejhard umyślnie przerwał, i coś do Kalińskiego przemówił, spojrzal na zegarek znacząco, skinął na

starostę i oba oddalili się do swoich namiotów. Tu gdy stanęli, zbliżył się do pułkownika i spytał go po cichu:

— A co? idzie?

— Powoli jak zwyczajnie w początku.

— Dajcież mi tego Niemca niech się z nim rozmówię.

— Każemy go zawołać! Klasnął w dłonie Kaliński, wszedł pacholik i wyprawiono go, coś mu szepnąwszy.

Wejhard chodził żywo po namiocie i zdawał się niecierpliwie marzyć; gdy we drzwiach plotek się podniósł i wszedł mały, niepoczesny człowiek, z oczyma pod czołem zakłesłemi, z twarzą płaską a szeroką jak u Tatara, szeroki w plecach, silny, a w rysach mający coś odrażliwego i przykrego.

Wejhard obejrzał go wprzód bacznie, i odezwał się do niego po niemiecku:

— Kto ty jesteś?

— Do usług waszych, panie pułkowniku, Niemiec, rodem z Prus książęcych, w służbie króla J. M. Szwedzkiego, oddziału ks. Heskiego.

— Jak ci na imię?

— Nathan Purbach.

— W jakiej służysz broni?

— W piechocie.

— To ty się podejmujesz zawiązać w klasztorze stosunki, i przeciągnąć Niemca puszkarza na naszą stronę!

— Ja to tak mówiłem pułkownikowi, wskazał na Kalińskiego, że mógłbym spróbować. W twierdzy jest mój krewniak Wachler przy działach, wiem że jemu tam między Polakami nie musi smakować, można by pogadać.

— Jakże się możesz do niego przybliżyć?

— Jak? rzekł uśmiechając się Purbach, ja tego sam jeszcze nie wiem, trzeba nocą podkraść się pod mury na rozmowę. Wachler w namiotku koło dział, nocy ciemne; wiem trochę z której strony go szukać.

— Potrzebujesz pieniędzy? spytał kusząc Wejhard.

— A cóż bez nich zrobić? odparł ruszając ramionami Niemiec.

— Noc ciemna, próbój rzekł zbliżając się Wejhard, i dając mu kilka talarów: daj mi zaraz znać co uczynisz, o tem zaś nikomu, ani ks. Heskiemu, ani starszyźnie twojej ani słowa. Nagrodę sowitą będziesz miał odemnie. Wachler niech tak działami kieruje, żeby nam nieszkodziły, niech powie gdzie mury są najsłabsze, z której strony przez furtkę wpuścić nas może do twierdzy. Jesliby załogi nie namówił do poddania, może działa pozagwoźdzać i do nas uciekać... Zresztą wiadomo o co chodzi.... Idź i powracaj rychło.

Niemiec powoli przeliczył pieniądze łakomem okiem, pokiwał głową i znikł w ciemności, podniósłszy zasłonę namiotu.

Noc była jesienna, choć oczy wykol, chmurna i wietrzna, tylko w obozie Szwedów paliły się ognie rozpierzchłe, i mury Jasnej-Góry z polecenia przeora, aby się pod nie nie skradali nocą nieprzyjacielem, gdzie nigdzie oświecone zostały; na wieży wywieszony był także wielki kaganiec, który zdala bardzo mógł być widziany, acz słabe światelko rzucał, miotał nim wicher i kiedy niekiedy jak błada tylko ukazywał się gwiazdeczka.

Nathan wyszedłszy z namiotu, schował grosz do skórzanego mieszka, podumał, obejrzał się i od św. Jakóba począł powoli podkradać ku górze. Kilka razy własne go strażę wstrzymały, ale poznawszy puszczono dalej. Rzucił okiem na mury i widząc je oświecone, a ludzi nigdzie widocznych, wstrzymał się rozmyślając, jak sobie począć. Po chwili gdy nie gasło, a czas upływał, począł nie wprost już pod mury się zbliżać, ale powolnie kryć się za pagórki, za kłody drzewa popalonego, za cegłę kupami gruzów leżącą, i pełznął cicho a ostrożnie. Lecz gdy się już pod fosę i mury przywłókł, niepodobieństwo było ruszać dalej i cokolwiek bądź poczynąć, bo na nich stali wszędzie ludzie przeciw strzelnic, paliły się ognie, i postrzeżony byłby

życiem przypłacił. Wiedząc już stanowisko Wachlera. pelznął dalej pod bastjon północno-wschodni, przy którym była i furtka potajemna w fosę wychodząca, i schronienie starej żebraczki. Tu światło jakoś było przygasło na murach i cicho do koła. Przytuliwszy się do ziemi, laźł dalej posel, potrafił spuścić się w fosę, a nie nad sobą nie słysząc i nie widząc nikogo na murze, pół głosem począł wołać: Wachler! Wachler!

Tuż przy nim coś się zaruszało, ale głos mu żaden nie odpowiedział; powtórzył pytanie, i po długim przestanku znajomą mową odpowiadano po cichu:

— Wer da? kto tam?

— Wachler? powtórzył dla upewnienia się Nathan.

— Ja! ja! ale któż tam u licha woła? i zkąd?

— Tst! Nathan Purbach.

— Co ty tu u licha robisz?

— Możnaż mówić?

— Mów tylko nie głośno, co cię tu przyniosło?

— Służę, służę w regimencie ks. Heskiego.

— Jakżeś ty tu przyszedł?

— Na brzuchu! wczoraj mi jeszcze o tobie powiedzieli.... A co? jak tam u was?

— Bieda i głupstwo! rzekł z murów puszkarz. Was tam tysiące, nas tu garstka, a bronić się każą!

— Można mówić? spytał trwożliwie Purbach.

— Mówcie śmiało.

— Po co wy Polakom pomagacie? ostrożnie i z wahaniem rzekł Niemiec. — Porozumieście się no z nami, będziecie mieli za co ręce zaczepić!

Wachler milczał. A! ba! rzekł po chwili, tu u nas dziwy, jutroby ksiądz general wiedział o wszystkim.

— Śmiej się z tego! jakże to być może?

— Nie wiesz nic! to czarownik jakiś!

A po namyśle dodał:

— No! a jakby tak, to wieleż zapłacą?

— Gadać co chcesz.

W tem od dołu z fosy dał się słyszeć śmiech, który z pod nóg Nathana, z ziemi się zdawał dobywać; a w górze zagrzmiało pytanie:

— Wachler? gdzie jest Wachler?

Rozmowa została przerwana i cisza głęboka znowu. Ksiądz Kordecki z Czarnieckim, poprzedzani pochodnią niesioną przez braciszka Pawła, przeszli powolnie obok zmieszanego puszkarza. Ten tak miał wywróconą twarz, zmienione rysy i drżący był cały, że aż przeor się zastanowił.

— Co to ci? spytał.

— Nic, odparł bełkocząc Niemiec, trochem niezdrows.

— Idźże do brata aptekarza, on ci zaraz poradzi, na twojem miejscu postawim tymczasem innego. Ale Wachler w śmiertelnym strachu by tym sposobem zdrady nie odkryto, począł się wymawiać i udając gorliwość wielką, nie chciał opuścić stanowiska.

— Zdaje mi się, rzekł pośpiesznie, zdaje mi się, że słyszałem jakiś szmer koło murów — nocą najwięcej pilnować się potrzeba. Odejść nie można!

Przeor bacznie popatrzał na niego i nie uszło oka jego zmieszanie Niemca, powstał chwilę i rzekł:

— Słuchaj Wachler, najlepsze podobno na wszystkie choroby lekarstwo spokojne sumienie i poczciwość. Klasztor potrafi cię wynagrodzić za twoją pracę...

To powiedziawszy i jeszcze raz wymierzwszy nań oko, którego błysku znieść nie mógł Wachler, przeor pociągnął dalej:

— Coś ja tego Niemca nie lubię, rzekł do pana Czarnieckiego po cichu.

— A któżby Niemca lubił? odparł szlachcic ruszając ramionami. Przyznam się waszej przewielebności, że co do mnie, jakkolwiek kotem ze wszystkich stworzeń najwięcej się brzydzę, wolę jednak kota niż Niemca.

— Przecież to ludzie i bracia...

— Jużciż to prawda, według prawa Chrystusowego tak-by być powinno; ale że się nam ci braciszkwowie nie udali, i to pewna.

Przybywali ku wrotom i z cicha zbliżyli się do braciszka Pawła, który nie mając nic do czynienia, bo brama była spuszczone, zaryglowana i straż w niej, a zwód podniesiony, wyręczał koło dział uspiętego i znużonego żołnierza; z różańcem w rękę, z odkrytą głową klęcząc, modląc się i stróżując. Szelest kroków nadchodzących obudził go. odwrócił się i ujrzał Kordeckiego, podniósł szybko. zczzerwieniony i zmieszany jakby na złym schwytany nezynku.

— A co u was słyhać, bracie? spytał uśmiechając się przeor.

— Cóż to i wy także bracie Pawle żołnierzecie, dodał Czarniecki.

— A cóż, panie, człek rad że się na cokolwiek przydać może.

W tem uszedłszy po blankowaniu kroków kilkanaście, spotkali ojca Tomickiego, któremu powierzone było oświecenie murów; on też ciągle je obchodził. pilnując by ognie nie pogasły.

Ten minął ich pozdrawiając po klasztornemu, a Kordecki widząc wszędzie ruch i pilność, rozrzewniony zawołał:

— Bóg łaskaw, obronimy się! z takimi ludźmi i cudu niebo nie poskąpi.

Czarniecki milczał.

— Obronimy się czy nie, księżę przeorze, rzekł wyczekawszy trochę, ale bronić się musimy do ostatka i będzie na co patrzeć, czego słuchać!

W tem na zwrocie kortyny, u bastjonu nowy spotkał ich widok: postawiony tu Janas Węgrzyn, najemny żołdak, a człek żołnierskiego ducha i wiary mocnej. siedział na kupie powrozów, i dumiał czegoś zasmucony. Przed nim lud jego spał, on sam czuwał za wszystkich. Ujrzawszy Kordeckiego począł oczy przecierać, i po tym mimowolnym ruchu domyślił się przeor, że ten wielki barczysty olbrzym, płakał.

— Co ci jest Janasz? spytał troskliwie ojcowskim głosem przełożony.

— Co mi jest? nie ojcie, nie! odrzekł żołnierz, przybierając się do śmiechu.

— Plakalesz?

— Ja? nie, nie...

— Nie kłam moje dziecko...

— Łzy te mi wilgoć i mgła wycisnęła.

— Nie oszukasz mnie przecie, co to ci jest? może ci czego braknie?

— Nie, ojcie kochany, powtórzył całując rękę przerażonego żołnierza, a chcąc całej prawdy, ot tak coś przyszło na myśl, i człowiek jak kobieta poczul łzy nim się ich zawstydał.

— Przecież nie wyszły ci z powiek bez przyczyny?

— Co mam przed wami tajić, nie są to łzy gniewu, ani wstydu... Ot, wśród ciszy, wśród nocy, ten wiatr tęskno szumiący od gór naszych, od stepów z nad Teisy przyniósł mi wspomnienie mojego kraju, moich braci. Człek się całe życie włóczył po świecie i nigdy po za siebie nie obejrzał, a czegoś tak się tęskno zrobiło, tak za swoimi ciężko! Niewiedzieć co! dzieciństwo. To ta baba wszystkiemu winna!

— Jaka baba? — zapytał Czarniecki niecierpliwie.

— A! żeby ją kula nie minęła — rzekł Janasz odzyskując żołnierski obyczaj — jakeśmy się tu jeszcze przed pierwszym najściem przyrzadzali do boju, ta żebraczka mi przepowiedziała że zginę...

— Wstydzilibyś się wierzyć na wiatr rzuconemu słowu! — ofeknął go Kordecki.

— Juściż zapewne, że to słowo, ale czegoż we mnie tak głęboko uwięzło, że się go pozbyć nie mogę.

— Pomódl się, i odpędź te myśli.

— Modłę się codzień, modliłem i teraz; a kiedy mi Pan Bóg dał spotkać was księżę przeorze dobrodzieju, pozwólcieź się o jedną łaskę prosić?

— No! cóż to znowu za łaska! chętnie.

— Jeśliby mnie zabili...

— Porzućże to...

— No, ale nie nie szkodzi to przypuścić, wszakże chodzi to po ludziach; kaźcie mnie ojcie pochować

gdzie na górze wysoko, żeby choć wiatr doniósł do mnie jaki głos rodzinny... i poślijcie starej matce jaki grosz, co tam zostanie po mnie.

— Wstydz się! wstydz! a żołnierz — podchwycił Czarniecki — co to o tem myśleć, drugim jeszcze serce popsujesz... A Kordecki dorzucił łagodniej:

— Zapewne, odegnaj te myśli, ale uchowaj Boże nie-szczęścia, pewnie stanie się jak pragniesz... nie zapomnim o tobie... — Janasz w rękę pocałował przeora i zamilkł. — Poszli dalej. — Jedna część kortyny powierzona była Mikołajowi Krzysztoporskiemu, i na niej znalazł go przeor z Czarnieckim, chodzącego wielkim krokiem, zadumanego, ponurego a groźnego. Kordecki w jego twarzy znalazł ślad dnia upłynionego; smutniejsza, surowsza była niż zwykle, i widocznie zmieniona uczuciem.

— Wy tutaj? zapytał go.

— Na stanowisku — odparł szlachcic — noc nudna i długa, czekam dnia i Szweda; nie wiem czemuby się i w nocy nie bić!

— Dość ich będziemy mieli i za dnia, nie wywołujcie.

— A wam panie bracie — śmiejąc się zawołał Czarniecki — już tęskno, prochu powąchawszy.

— O! tęskno — odpowiedział Krzysztoporski — póki człek nie kosztuje wojny to się wzdraga, ale poczuwszy ją, radby żeby już nie ustawała.

— Dobra krew! — szepnął sobie pan Piotr — ale do jutra niedaleko.

— Nie pójdziecie spocząć? — rzekł Kordecki, mury dobrze strzeżone.

— Nie, nie, chce tu zostać. Spać nie mogę, od lat kilku oka prawie nie zmrzam; wole tu być niż w dusznej izbie. Pilność nie szkodzi, ludzie pospią się ła-two, a Szwed jednym okiem tylko drzemie.

Obeszli krążąc tak do koła fortocy, i wszędzie znajdowali lud w gotowości, światła pozapalane, czujność i baczność. Kordecki uspokojony, przeżegnawszy wszystkie cztery strony twierdzy, zszedł z panem Czar-

nieckim wschodkami w podwórze. I tu było życie: chodziły straże i wczorajsze okrucy murów zbierano, a gdzie się ściana osypała, gdzie szkodę zrządziły kule, już ją starano się naprawić i umocnić nadwreżone części.

— Pocziwy lud nasz, mówił przeor odchodząc, ale mu jednej cnoty braknie, i nam też wszystkim, cośmy z łona tego ludu wyszli — wytrwania. W pierwszej chwili jak piorun gorący jesteśmy i silni, lecz stałości nie ma. Jutro, za dni kilka, ujrzyecie tych gorliwych, słabnących na duchu i opadających na siłach. Bóg dał nam serca tylko, a to głowa daje wytrwanie; uczucie nas samo popycha i póki je mamy, bohaterujemy, ale co się nie uczyni w pierwszej chwili, nie rachuj na drugą. To mnie kłopotce, jeśli się oblężenie pociągnie.

— Święte słowa — dodał pan Piotr, ale Bóg da, że się zmieni, a może nie jest tak powszechne jak sądzicie... Tak to mówią i na Tatarów, że ich zawsze cierpliwością pokonać można, bo niedostoją skoro z pierwszego razu im się nie uda; tylko Rusina nie przestoisz, już to i Karliński napisał.

— A wytrwanie to wielka cnota! — z westchnieniem rzekł Kordecki.

XVIII.

Jak tylko rozwidniało, Szwedzkie działa odezwały się zuowu, zjadłe gęstemi kulami rzucając na klasztor; Kordecki, który zawsze oczekiwał, by nieprzyjaciel pierwszy poczynął, odpowiedział ogniem z twierdzy na wszystkie strony wymierzonym. Ludzie po przetrwanem szczęśliwie dniu wczorajszym, który w początku taką ich nabawił bojaźnią, a skończył się bez ofiar, z zapalem tym większym brali się do obrony. Wachler tylko niedbale koło swoich dział się krzątał, i lichy je celował i powoli strzelał, a mrucał ciągle. Gdy go kto

dozierał, sprawiał się jeszcze jako tako, zostawiony sam sobie, zaraz ręce zakładał. — Nie uszło to oka tych co nadzór mieli nad strzelbą, i pan Zamojski kilka razy go ofuknął, ale dojdź z Niemcem sprawy, on swoje, ten swoje; ledwie się odwrócił starszy, Wachler się znów ociągał. Nie wiele też szkody kule z tej strony przyszkodziły nieprzyjacielowi. Z innych za to pilniej szło i lepiej. Co chwila widać było zmieniających stanowiska Szwedów, bo im na nich dokuczano: najwięcej kręcili się około baterji które wzmacniali, sypali, oblewali wodą, aby ich kule łącznie nie nabrały. Kierował tą robotą pułkownik *de Fossis*, inżynier, przyjaciel Wejharda, człowiek biegły w swej sztuce. ale jak się to trafia u tych, którym Bóg da rozum, a serca i uczucia poskąpi, człek bez wiary i bez poszanowania dla niej i innych. Reforma już wiele naówczas podobnych wychowywała ludzi; *de Fossis* był ciekawem swojego wieku zjawiskiem. Z równą gorliwością jak drudzy nawracają, on wywraçał wiarę w każdym, z kim go życie na chwilę bodaj zetknęło, i było to jego ciągłą pracą, usiłowaniem, rzekłbyś celem jedynym. Chwycił był gdzieś filozofów, a nie pojął ich dobrze; zostało mu z nich tylko przekonanie, że cała prawda jest w słowach ludzkich, a życia tyle co tutaj. Ostrożnie swoje niedowiarstwo w świat popychał, bo wiedział że różnowierców nowej fazy, a cóż dopiero o ateuszach mówić, sami kalwiniści i luteranie pałili, wyganiali, prześladowali; mimo to jednak, zaczepiony, tak był pewien swego, iż się wstrzymać nie mógł od wydania na jaw z sceptycyzmem i niewiarą. Wszystko u niego, czego pałcem nie dotknął, było baśnią i przesądem, a tak daleko posuwał wątpienie, że niekiedy szaleń prawię dochodziło. — Można miarkować jakim być musiał meralnie człowiek tak usposobiony umysłowie; cała nauka życia, dla niego zamykały się w dwóch słowach: Rachuj i korzystaj. Na tej podstawie spoczywały jego zasady moralności. Złe i dobre, szlachetne i niepocziwe, piękne i szkaradne, nie czyniły na nim wrażenia żadnego, póki nie zmierzył go do potrzeby chwili, i nie porachował jakie

skutki mieć może. — Takim był de Fossis, przyjaciel Wejharda, prawa ręka Millera, człek zresztą wyćwiczony w swoim rzemiośle, dowcipu niemałego, a w obejściu rzadkiej łatwości; i nie dziw, nie miał czego by bronil, prócz niedowiarstwa, reszta przekonań i czynności była dlań obojętna. Za prawidło miał: nie mieszać się w cudze sprawy, każdy sobie, każda dla siebie. I szło mu dobrze, choć sami protestanci patrzali nań ukosem, że na wszelką wiarę był obojętny, i oburzali się, gdy raz podchmielony rzekł kończąc rozmowę: — Dajcie mi los u Turka, to się zbisurmanię. — Wejhard, którego plochemu umysłowi ta pozorna moc charakteru wyższością się zdawała, związał się z nim dość ściśle. Przez niego, on sam już nie mogąc, bo był wiarę stracił, zagrzewał Millera do obleżenia i wytrwania pod Częstochową, okazując mu dostanie jej niechaybnem i łatwem. De Fossis pierwszych dni zaraz obejrzał położenie góry, ustawił na przedce baterje; teraz poprawiał zakresłone szançe i radził użyć ludzi dla podsadzania miny pod część wschodnio-północna murów, gdzie istotnie były najslabsze. Niedostatek tylko ludzi zdatnych do tej roboty wstrzymywał Szwedów, póki się naradzili zkąd ich dostać.

W klasztorze gradem kul osypanym, nie było wielkiej szkody, choć postrach szerzył się powoli, jak potajemnie zapuszczony ogień. Kule zwijały się cudownie, jakby ręka Bożej Matki wszelką im siłę odbierała; staczały się w podwórce, leżały po brukach, służąc później do obrony. — Na gontowych dachach, wśród suchego drzewa, ogniste pociski nie potrafiły tak pożądanego Szwedom rozniecić pożaru; napróżno się wysilali by klasztor zapalić, i dnia tego nie udało się jeszcze. Kilka kul przeniosłszy przez mury, padły z drugiej strony twierdzy, gdzie nikogo nie razily, inne w samym klasztorze, ledwie zarysowały ślady przejścia po grubych jego ścianach; jedna odbita od komina wpadłszy oknem do izby pani Jaroszewskiej, gdy matka z krzykiem na widok jej leciała ku kolebce dziecięcia, na którą groźny pocisk zdawał się mierzyć, stoczyła

się powolnie i stanęła pod biegunem kołyski. Na widok tej łaski Bożej dla siebie, pani Jaroszevska pochwyciwszy dziecię, pobiegła złożyć je u ołtarza Najświętszej Panny. — Rozrzewnienie, zapal, męstwo, były we wszystkich, a duch zdawał się przelewać z wodza na tych, któremi kierował. — Kordecki oddalając się tylko na modlitwę, resztę dnia stał na murach. — Już zmierchało, gdy u bramy brat Paweł posłyszał znajomy głos żebraczki Konstancji.

— A co ty tam powiesz? spytał rzucając różaniec.

— Nie braciszku! proszę mnie tylko wpuścić do klasztoru; trochę się knł uzbierało, i teskno mi za Matką Najświętszą, żeby Jej się pokłonić. Puścić mnie proszę — całą noc, cały dzień w fosie siedziałam wśród huku i łoskotu, teraz mi się chce pomodlić, a za to wam zapłacę kulami. i o Szwedach coś powiem; niebawem pójdę nazad, bo mi trzeba pilnować swojej baszty, tać to i ja teraz żołnierz.

Powoli, rozpatrzywszy się, że sama jedna była, brat Paweł z uśmiechem otworzył staruszcze, i zaraz pilno za nią zarygłował. Kostucha pokłoniła mu się i wedle zwyczaju koniec jego szkaplerza ucałowała, okręciła się szybko i żywo rzuciwszy kule pod nogi, poszła do kościoła. Wkrótce wysunęła się z niego.

Z okiem zaiskrzonem a łzawem, pod murami się ciągnąc, zdawała czegoś szukać i poglądać; w tem Krzysztoperski, który na swojej kortynie wartował, groźnie ją zastanowił.

— Kto ty taka i dokąd idziesz?

Na dźwięk tego głosu, — ponury i gniewny, cofnęła się stara i zadrżała.

— Czego się podkradasz i taisz? rzekł dowódzca.

— Idę pod murem, bo się opierać muszę — zasłaniając twarz, odparła starucha.

Aż ktoś z załogi poświadczył, że ją znano i Krzysztoperski odwrócił się od niej, więcej już nie wstrzymując.

Żywo szła dalej Kostucha, ale w podwórcach choć dobrze znajoma, trafić nie mogła gdzie chciała; pod-

suwała się pod okna, pod drzwi, podsłuchiwała głosów i nigdzie nie zdawała zaspokojona. W tem zdała ukazał się ksiądz Piotr Lassota i stara coś podumawszy, poszła w ślad za nim, w pewnej trzymając się odległości.

Ksiądz Piotr poszedł do brata, a żebraczka przytuliła się do drzwi mieszkania, przysiadła przy ścianie, przyłożyła ucho do niej, przyłgnęła cała osłaniając chustami, jak gdyby dzemała.

W tem na próg wyszła Hanna, i ta nieforemna kupa łachmanów ożywiła się na widok dziewczęcia, głowa wychudła z pod chust się wysnuła ze szczególnem zajęciem, z pragnieniem, z jakąś miłością palającą w wejrzeniu, które zwróciła ku Hannie. Zbliżyć się do niej jednak nie śmiała, tylko drżąc, powoli posuwała się po ziemi, nie mogąc nawet ust otworzyć.

— Moja piękna panienko, — słodząc głos jak mogła, odezwała się wreszcie, — moja śliczna panienko, może wam w czem posłużyć, może wam czem pomódz?

— Dziękuję ci staruszek, — odpowiedziała Hanna z miłym uśmiechem, wdzięcznym głosem, którego stara słuchała jakby w zachwyceniu, nie mi nie potrzeba, wyszłam tylko, bo tam mój dziad z księdzem Piotrem rozmawiają po cichu, nie chcę im przeszkadzać. A tyś matko tutejsza?

— Tutejsza! moje złote jabłuszko, mój kwiateczku różany, moje słoneczko jasne — biedna żebraczka i sługa Matki Boskiej.

— Więc ci może jałmużny, albo chleba?

— O! nie — nie — odpowiedziała szybko stara i po chwili poprawiała się — tak, tak — chleba — drobny mały kawałeczek chleba, jeśli łaska twoja, mój śliczny aniołeczku...

Hanna pobiegła szybko, i wróciła z chlebem do starej, a gdy się zbliżyła do niej, drżały Konstancji ręce i chwyciła dłoń Hanny, białe jej paluszki do ust cisnąć z wdzięcznością, jakby ten chleb życie jej dawał, jakby go rok nie jadła.

Hauna aż zapłonęła wzruszona cała, sama niewiedząc czemu to nagle żebraczki ku niej zbliżenie, jej łzy, jej uczucie, oniesmiały ją i zmieszały; wychwyciła rękę.

— A! biedna, toś ty była taka głodna! zawołała.

— Głodna! o! głodna! odpowiedziała Konstancja: ty nie wiesz mój anielku, coś mi dała z tym chleba kawalkiem: życie, pociechę, radość, szczęście...

— Jakto! czyż cię tu nikt nie pożałuje, niepokarmi? mówiła Hanna; przychodź tu co dzień moja starszuszko, a ja się z tobą moim podzielę chętnie, pomodlisz się za to za duszę mojej matki, za dziada mojego zdrowie.

— Pomodłę się gorąco! pomodłę — odparła żywo Konstancja, po ziemi pełznąc ku nogom dziewczynki, z wzrokiem w nią wlepionym jak w tęczę. — Będę się modlić u Matki Boskiej ołtarza, że wam szczęście i spokój wymodłę....

— Dziad bardzo mi słaby — mówiła dalej Hanna — na nogi zapada coraz gorzej, smutny popłakuje często, a tu jeszcze i strach ciągły nie pomoże mu.

— Matka Boża was pocieszy.

— A! ale mnie tam wołają! odwróciła się Hauna.

— Pozwolisz mi przyjść jutro — zawołała żebraczka — pozwolisz złoty aniołeczku, nie dla chleba, ale...

— Dobrze, dobrze, przyjdź jutro!

To mówiąc znikła Hanna. Konstancja ów chleba kawałek przycisnęła do piersi, poczęła całować, zawiązać go w chusty i chować naprzód do torby, potem położyła go sobie na sercu, i zdjęła jeszcze i chwyciła, jakby go kto jej wydzierał.

Potem zerwała się na nogi i żywo pobiegła do kościoła. Kościół stał ciągle otworem dzień cały i część nocy nawet; lampy płonęły na ołtarzach, dwóch zakonników odmawiali modlitwy na cześć Marji i śpiewali pieśni. Mrok już padł we wnętrza budowy milczącej, wśród której te kilka świateł mglisto płonących, te modły cicho szemrane, miały coś w sobie

pogrzebowego. Żebraczka poszła do ołtarza Matki Boskiej, padła przed nim, powstała i przelamując chleb Hanny na dwoje, większą jego połowę położyła na stopniach, modląc się gorąco.

Rzekłbyś że skarb swój największy podzieliła z Bogiem.

Jęk tylko jakiś wyrwał się z jej piersi, wybiegła całując swoją resztkę chleba, pieszcząc się z nią i pospieszyła do bramy. Lecąc tak żywo, uderzyła się o idącego w przeciwną stronę Janasza Węgrzyua, który ją powitał przekleństwem.

— A babo szalona — zawolał — to ty latasz po nocy gdyby wiedźma jaka, stój!

Dumna jak królowa, odwróciła się do niego starucha, cisnąc ciągle swój chleba kawałek do wyschłej piersi i zdawała inuą kobietą, tak ją ten skarb czynił poważną i szczęśliwą.

— Czego to chcesz? zapytała.

— Czego! a wiesz ty nieszczęśliwa, że od tej pory jakieś mi powiedziała, że mni ekula nie minie, spać ani jeść nie mogę; licho ci uadalo tę głupią przepowiednię; powiedz mi, wytłumacz, zkad ci to przyszło?

— Albo-żem ci to mówiła? — spytała zdziwiona.

— Jakże nie! jeszcze przeczysz?

— Nie przeczę, ale nic nie pamiętam.

— Skądże ci się to wzięło?

— Ja nie wiem.

— Więc to czcze tylko słowo?

— Czcze! a jestże czcze słowo na świecie? spytała z uśmiechem. Jedno mówi serce, drugie mówi głowa, inne jakiś głos wewnętrzny... a niema czczego słowa. Bóg wiele słów dyktuje, a wszystkie słyszy!! Gotuj się na śmierć! gotuj się na śmierć!

Janasz aż się za głowę pochwycił?

— Więc muszę umrzeć?

— Umrzesz czy nie, a nie zaszkodzi ci o śmierci pomyśleć. Był ktoś w Częstochowie, co na ciebie płakał, a lzy idą daleko, wysoko; a jęk idzie szeroko, a Bóg wszystkiego słucha...

— Zkądże ty to wszystko wiesz babo! mów! przekłeta! mów! — zagniewał się Janasz.

— Wiatr mi mówił, ściany szeptały, nic nie wiem. ktoś płakał, i ktoś przestał płakać i leży tam, gdzie i ty położysz głowę biedaku; w surowej ziemi, pod darnią zieloną. O! nie tak to źle umrzeć, jak ci się zdaje! spokojnie, cicho! i wszystko skończone, a żyć!!!

To mówiąc, jakby sobie swój chleb przypomniała, ncałowała go znowu, zaśmiała się wesoło, poskoczyła i znikła w ciemnościach.

XIX.

Nazajutrz nieprzerwany ogień wszystkich bateryj i kule na dachy klasztorne padające nieustannie, spocząć nie dały na chwilę; od rana potrzeba było zacząć ubezpieczać się od ognia i oddawać Szwedom niepokój, który tu zrzadzili. Po wczesnej mszy i snptikacjach, muzyce grać rozkazawszy ciągle na wieży, dla dodania serca, Kordecki w płaszczu swym, w białej sukni. chodził, rozporządzał, zagrzewał, umacniał słowem i przykładem; szlachta dotrzymywała mu dotąd dobrze inężtmem i ufnością w *Bogu*. Osobliwie też Zamojski, który często przemawiał do ludu, i okazać swą wysoką umiejętność sztuki wojennej miał zręczność, nie ustawał w pracy. Czarniecki na powierzonej mu części murów, dumal posępniejszy; w pocziwem jego sercu roily się olbrzymie marzenia i plány; niepokój jakiś na twarzy widoczny, oznajmiał że dumal głęboko; trochę też i czynność gorąca pana Zamojskiego spać mu nie dawała; chciał się także odznaczyć. jeśli nie tak uczoną strategją, to mężnem sercem. Stawał, poglądał, coś ważył, coś myślał i szukać sie zdawał oczyma przeora, którego w ostatku się doczekał. Aż

mu rozjaśniało lice, gdy go spostrzegł, kręcąc wąża pospieszył ku niemu z pogodniejszą twarzą, z uśmiechem szerokim.

— Na stanowisku! księżę przeorze! wodzu, na stanowisku! stajemy i witamy cię.

— Niech was *Bóg* błogosławi, niech wam *Bóg* nagradza.

— Nigdy tak waszej przewielebności nie czekał, jak dnia dzisiejszego, bo mi myśl po sercu chodzi i muszę ją wypowiedzieć — jak grzech mi ciąży.

— A! cóż to znowu? kochany panie Piotrze, — odezwał się z uśmiechem Kordecki.

— Odejdźmy tylko nieco na stronę, żeby nas nikt nie słyszał, a chciejcie no posłuchać mnie bacznie... Oto tak! Szwed widocznie ma nas za bajbardzo, trzeba mu to wybić z głowy, żeby nas inaczej przecie uważał, niech się lepiej lęka! Przeszłej nocy dobrze opatrywałem ich obóz, z wieczora ze wszystkich stron wychodziłem mu się przyglądać; nie mają najmniejszej ostrożności i żartują z nas sobie, nie licząc nawet Jasno-Górze za żołnierzy. Ich kohorty podsuwają się pod same mury, bez straży, bez podjazdów, nie dbając na nas wcale, *Bóg* to widocznie tak ich zaslepił, a nam trzeba przy tem upiec swoją pieczeń.

— Jakim sposobem? — spytał przeor.

— Jak? najłatwiej! Oto biorę ludzi ochotczych, wysuwam się bramką od wschodu, po cichu przechodzę czaty (jeśli są!) i z tyłu na oddział ich napadam, który w rogu od wschodo-północy leży ognie pałac, pijąc i hulając noc całą; nic łatwiejszego, nic pewniejszego. Nim oni za broń pochwycą, my ich pobijemy...

Kordecki się zarumienił.

— Takich mi ludzi dawaj! — zawołał, ręce podnosząc do góry, — takiej wiary, takich serc, a nasz kraj nie padnie ofiarą pierwszego zdobywcy, co się o niego pokusi. Wśród zwątpienia, rozpacz, spodlenia, jak kwiat wśród chwastów, rosną jeszcze wielkie dusze. Idźcie, idźcie w Imię Boże, panie Piotrze, ale ostrożnie, bo życie ludzkie drogie!

— A zatem mam pozwolenie zajęcia się wycieczką, podchwycił radośnie szlachcic.

— A nie poradziłby się o to pana Zamojskiego? spytał przeor po chwili.

Czarniecki zagryzł usta, widać mu to było nie po myśli, ale żywo odparł:

— A i owszem, i owszem, chodźmy.

Podeszli kilkanaście kroków, pan Miecznik coś rachował stojąc, czy może nową mowę układał w myśli na jaki wypadek. odwrócił się, powitali.

— A! coś nowego! — spytał, poglądając po twarzach widocznie myślą rozjaśnionych.

— Nie prawdaż — zaczął Czarniecki -- że Szwedzi z nas sobie żartują, panie Mieczniku, myślą nas postraszyć jak dzieci i jak z dziećmi wojować: w nocy, z wieczora, samiście to widzieć musieli, ani dbają. idą spać bez straży, lub hulaj dusza w obozie. Można by ich trochę nauczyć rozumu nocną wycieczką z klasztoru, noce ciemne, Szwed nieopatrzny, a nam dzięki *Bogu*, serca nie brak.

Zamojski aż w ręce splasnął.

— W to mi graj panie Pietrze, rzekł, zesłiliśmy się na myśl jedną, z tą różnicą, żem ja jeszcze strategicznie rozważał i plany kreślił, gdy myśl ta już z serca waszego wybiegła żywa i calusieńka... Plan wyśmienity. No! a zkadże uczynimy wycieczkę?

— Ze wschodniej strony, przez furtkę wschodnią, rzekł Czarniecki, obejdem oddział, który leży naprzeciw Częstochówki i tył im zajmę.

— Przewybornie! a teraz *de executione* radźmy, panie Pietrze, przerwał Zamojski, wszak pójdziemy z ochotnikiem, któż wodzem, kto żołnierzem, i wiele nas?

W tem przeor im przerwał.

— Do takiej imprezy nie bierzcie jeno tych, co się sami nastęrczą; komu *Bóg* natchnie iść, niech idzie, nie zapraszać nikogo, ja z murów patrzeć, żegnać i modlić się będę, a nie wstanę dopóki *Bóg* mi was nie

powróci mężne dzieci sławnej matki!

Natychmiast wśród łoskotu wystrzałów i muzyki brzmienia, mięszających się z sobą, poszli panowie dowódcy zbierać głosy na wycieczkę.

W początku zamiar ten kilkuset śmiałków w obec kilku tysięcznego nieprzyjacielskiego wojska, zdawał się tak zuchwały, tak dziwny, tak niebezpieczny większej liczbie, że wszyscy go przyjęli niedowierzaniem; ale pan Piotr dobył z piersi głosn, co umiał przekonywać.

— Co u licha — rzekł prosto po szlachecku a dobitnie — a toć jak orzech zgryść rzecz łatwa! ledwiebym nie rzekł, że w niej niebezpieczeństwa niema. Wczoraj jeszcze mógł się pod mury podkraść pan Hijacynt Brzuchański i wieści nam przynieść z miasteczka, a mybyśmy nocką nie mogli ich obejść i trochę przetrzepać. Pójdziem, chluśniem i powrócim. Ot tak, a zatem komu Pan *Bóg* dał wolę, kto laskaw, zemną.

A Zamojski dodał:

— *Sed quid tentare nocebit! Tendit ad ardua virtus!* tak, panowie bracia, herkulesowemi czyny, herkulesowej dobija się sławy, a kto nie uczynił nic głośnego, ten głośnym nie będzie. *Dei Matris Patrocinium* zbroi nas i osłania. *stant angeli ad dextram defensorum ejus*, i świętego domu Jej, czegoż tu się obawiać?

— Obawiać, nie — przerwał Moszyński — ale rachować potrzeba, zginać nic strasznego, ale sprawę zgubić można. Może ten ich bezpieczny sen jest udaniem, ich nieopatrność rachubą? Nuż zgina wszyscy, nie straciż na tem Częstochowa, gdy pozbawioną zostanie najwaleczniejszych swych obrońców; nie należyż całych sił zachować na obwarowanie fortecy?

— Żle bo jegomość rachujesz! — rzekł ujmując się za myśl swoją Czarniecki — zuchwalstwo jest jedynym naszym orężem i ocaleniem; zuchwalstwem tylko zrobić coś możemy. Co czynimy, niepodobnem jest do wiary, więc w to bić i nie rachować na zimno, potrzeba szaleć.

Okrzyk pochwały, który się i samemu panu Mo-
szyńskiemu wyrwał, powitał gorące przemówienie Czar-
nieckiego.

— A kto ze mną, w Imię Matki Bożej? — spytał
dowódzca.

— Ja pierwszy! — podchwycił Zamojski.

— Nie, kochany mieczniku — wstrzymał go przeor
— dwóch wodzów na los oddać nie mogę, wy musicie
zostać ze mną.

— Jakto! ja miałbym zostać?

— Tak być musi! — rzekł przeor.

— Rozkaz?

— Wyrażny rozkaz.

— Ha! to go muszę słuchać z rezygnacją — we-
stchnął miecznik — ale powiem wam, że mię nigdy
drożej posłuszeństwo nie kosztowało.

Czarnieckiemu w oczach błysło i pobiegł.

Zaledwie wezwanie jego rozeszło się po ludziach,
gdy zewsząd głosy towarzyszyć mu się oświadczyły, i
wkrótce liczba ich już była dostateczna; nie tyle tu
bowiem likn co doboru potrzebowano.

Nadszedł i Janasz Węgrzyn.

— A i mnie z sobą weźmiecie? — rzekł posępnie.

— Co? przecież się śmierci boisz? — zawołał ktoś z boku.

— Bać się nie boję, ale mi ten głupi strach kością
w gardle siadł; mam zginać, to co prędzej, to lepiej,
więc i ja z wami.

Przeor ze łzami pobłogosławił tę kupkę, która
w dziedzińcu już zebrana naradzała się, szemrała, zbro-
iła i umawiała, wśród padających zewsząd kul szwedz-
kich i łoskotu łamiących się murów. W zajęciu tą
nową wycieczką, wśród przygotowań i planów, dzień
spłynął szybko, a przeznaczeni do niej niecierpliwi-
li się wyglądając ciemności.

Coraz to pan Czarniecki wychodził na mur, spojrzał
na niebo, na słońko i pokiwał głową, jakby wymawiał
dniowi, że na złość mu trwa tak długo. Z południa,
gdy jeszcze waży, rozmyśla i już wcześniej zwycięża,
nagle posłyszał, że go ktoś zlekka trącił w ramię; od-

wrócił się, była to stara żebraczka. Powitała go z uśmiechem i ukłonem do ziemi.

— Czego chcesz? moja kochana — rzekł podkasnjąc połę kontusza i myśląc dobywać sakiewki.

— Nie jałmużny — odpowiedziała po cichu — nie, nie. Wszak nocą macie iść na obóz szwedzki?

— Co! już i żebracy o tem wiedzą?

Stara się zaśmiała.

— Alboż to ja nie służka Matki Boskiej, żeby ze mną robić tajemnice? Otóż posłuchajcie mnie: jak skoro do fosy zejdziecie furta, zcicha trzy razy klaśnijcie w dłonie, ja się do was przystawię.

— A ty nam po co?

— Zobaczycie! czasem się i mały przydać może! Ja nocuję w fosie zewnątrz murów, w dzień przechodzę do miasteczka i z miasteczka, kilka razy przez obozy. Poprowadzę was tak między św. Jakóbem a baterją, że żywa dusza nie postrzeże i wpadniecie z tyłu na plecy Szwedowi śpiącemu, że się nie opamięta zkąd nań ten piorun zleciał.

— A to śliczna wycieczka, której baba wozdem! — zaśmiał się pan Piotr.

— No! no! śmieście się sobie jak chcecie, panie Czarniecki — wesóło odpowiedziała Konstancja — nie ja to, ale Bóg was prowadzić będzie. Więc pamiętajcie.

— Ha! nie odrzucam i tej pomocy — rzekł odważny wojak — *mirabilia!* Jakże nam tu nie walczyć, gdy i to biedactwo ma tyle męstwa w duszy, stojąc nad grobem.

Mrok padał, ognie szwedzkie zdaleka widne, znały doskonale miejsca w których się obóz rozłożył; tak byli nieopatrni, tak pewni siebie, że jak skoro działa wieczorem spoczęły, rozkładać się, noclegować, pić i hulać, a potem usypiać poczęły, bez zwykłych w takich razach ubezpieczeń. Milerowi ani się śniło, by wystraszeni mnisi z garścią ludu napadać go mieli we własnym obozie. Tymczasem mała kupka odważnych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy,

pałasze i kosy nawet, pod wodzą Czarnieckiego zbierała się już w podwórzu. Coraz to z głębi ciemności nocnej wychodził orężny żołnierz i stawał pomnażając liczbę ochotnika. Gromadka ta nie miała wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i ubranych jednakowo, każdy odziany był i uzbrojony po swojemu, każdy przypasywał doświadczeńszy miecz pradziadowski, karabelę, co mu do ręki przypadła, którą był nawykł machać i płatać; wdziewał hełm wygodny, opasywał pierś pancerzem dobranym do niego. Na wielu z tych zbroi polyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII. w. w Polsce, i dziś jeszcze na wykopanych widoczna; bo gdzie ten znak rdza wyjadła, cztery po nim otwory zostały. Inni mieli na szyi blachy z wizerunkami Matki Boskiej, inni różańce pozawieszali na szyi, bręczące na zbroi, lub z tyłu i z przodu wiszące szkaplerze z imieniem Marji. Garść ta śmiałków, oświecona kilką pochodniami, dziwnie się malowniczo przedstawiała ze swą różnaitością stroju, twarzy, zbroi. Czarniecki przeglądał każdego z osobna; ciężko zbrojnym ulżył nieco, rozkazał nie obciążać ładunkami i zbytkiem zawadnego oręża, szable pobrano pod pachy, aby nie brzęczały, pozakasywano kontusze do kolan, i już wszyscy byli w pogotowiu, gdy Kordecki nadszedł z krzyżem w rękę.

— Wszystko — odezwał się — poczynajmy od *Boga*, pomódlmy się naprzód bracia, ucałujcie ten krzyż za który walczyście! To mówiąc podniósł ręce i z natchnieniem począł modlitwę, którą skończył przeżegnaniem. Wszyscy potem od Czarnieckiego do ostatniego ciury, ucałowali znak zbawienia, a gdy maleńka furtka ukryta w fosie otwierała się i wypuszczała w milczeniu idących mężnych obrońców Częstochowej, przeor nad nią na murach ukląkł na kamieniu, i w zachwycie jakimś pozostał obcy wszystkimu, co się w koło niego działo. Wśród cisy szli wszyscy fosą do miejsca, w którem przez kontraskarpy wydobyć się z niej mieli i nim pau Czarniecki klasnął w dłonie, już Konstancja pokazała się na przedzie z kijem w rękę, wiodąc wycieczkę i

szepecząc „Zdrowaś Marja“. Sam zresztą naczelnik nie spuszczał się na nią całkowicie, miarkował kierunek, aby obejść Szwedów. Szli tak dobre ćwierć godziny, gdy Konstancja rzuciła się na ziemię i zdawała chwytać coś pod nogami, wołając cicho o pomoc, wszyscy podbiegli ku niej z przestachem. Jakiś człowiek (było to jeszcze niedaleko murów) leżał na ziemi szamocąc się, ale mu żebaczka tak silnie ręką zatkała gębę, że krzyczeć nie mógł; natychmiast chwycono go, zakneblowano i związawszy rzucono w fosę aż do powrotu a wycieczka poszła dalej.

Przestach chwilowy zmienił się w niecierpliwe pragnienie walki; Janasz Węgrzyn nadewszystko przodkował, jakby chciał mierzyć się ze śmiercią, jakby jej szukał i pragnął. — Na lewo już pomijali Szwedów, chętką brała spróbować, mając ich pod ręką, ale Czarniecki ciągnął dalej, i dopiero tył im wzięwszy miał rozpocząć utarczkę. Ten czas powolnego i ostrożnego przejścia wśród ciemności, wydał się wiekiem ludziom słabszego serca, co niepewności więcej się bali niż nieprzyjaciela. Nie dawano znaku do boju; lecz coraz a coraz zwracano na lewo powolnie i widać było, że minąwszy część spiących po namiotach i szalasach Szwedów, wkrótce uderzyć miano.

W obozie było cicho i bezpiecznie, nigdzie czat, nigdzie posunionej straży; żołnierz opity wylegał się na mokrej ziemi, na garści słomy, osłaniając od wilżącego deszczu. Nagle żebaczka im znikła z oczów; a Czarniecki wyjął szablę z pochew: błysła w powietrzu i z krzykiem:

— Jezus, Marja, Józef!

Z tem hasłem śmierci w ustach, mężni żołnierze rzucili się na bliższych żołdaków, o których się prawie oparli. Kilkadziesiąt strzałów razem zagrmiało w powietrzu długimi pasy płomienia, i nic nie potrafi odmalować obrazu, jaki przedstawiała część obozu szwedzkiego, schwycona tak niespodzianie. Ludzie porywali się ze snu, nie wiedząc co się stało, nie umiając rozpoznać, gdzie uciekać mieli, i wprost na strzały Czar-

nieckiego się kierując. Janasz z jedną szablą już krwawą i ociekłą, rznął się w obóz nieprzyjacielski jak szalony, straciwszy nakrycie głowy, opętany bojem, nie syty zabójstwa, gnał w prawo i lewo rozpierzchłych Szwedów, tego po łbie, tego po krzyżach, innego po rękę płątając. Wpadł do namiotów i mordował nstępionych, deptał nogami, rozbił piersią powstających. — Popłoch rozchodził się w całej tej części obozu, którą objęli Jasno-Górcy; przytykała ona do namiotu Millera i lud coraz się szerzej rozbudzać zaczął do koła, tak, że wycieczka znalazła się wkrótce wśród przeważnej zewsząd siły szwedzkiej, jak w wieńcu męczeńskim. Ale z nią była przytomność i męstwo, tu niespodziana napaść siała postrach, a napad nie od strony klastoru ale ze środka samego obozu, zdawał się jakąś obcą odświeżającą... Gdzieniegdzie wśród krzyków, wrzawy, ozwał się bęben krótko i rozbity ucichł, ówdzie piszczałka i trąba poczęły zwoływać i umilkły. A za panem Piotrem jak rzeka leżeli trupem posłani Szwedzi; on szybko, żywo, rznął się przez nich ku klasztorowi. W drodze napadli na dwa działa i natychmiast je zagwoździli. Tuż przy maleńkiej baterii był namiot pułkownika *de Fossis*, który z wieczora nadowodzwszy u Wejharda o nicości człowieka, i przesadach ludzi obiecujących im inne życie, legł spać z uśmiechem zadowolenia. Janasz wpadł do jego namiotu i miecz utopił w piersi bezbożnej; oczy tylko otwarły się straszliwie, głowa podźwignęła konwulsyjnie, ręce zadrgały, jakby szukał miecza, i nieszczęśliwy upadł wiecznym snem do ziemi przykutą. Janasz szedł dalej a dalej, rzucił się w strony i niepamiętny kierunku, ani trzymając kupy, pojedynczo na swoją rękę rzeź sobie sprawiał. Długo mu się to udawało, aż Szwed wpół nagi zaskoczył go i wzięli się za barki szamotać. Jak dwa wilki wściekłe zżarli się z sobą, zębami, nogami, rekoma; w tem wystrzał z boku obu ich na ziemię obalił, poskoczyli Czarnieckiego ludzie chcąc ratować Węgrzyna, ale już ducha wyzionął i ręką tylko wskazał na klasztor. Wycieczka biegła coraz żywiej do fos i fórty, bo

za nią rozbudzony obóz cały, ruszał się, kupił, opamiętywał i gonił. Miller ze snu się porwawszy, skoczył na konia z Hornem, i ufny w swoją siłę, poznawszy, że to robota klasztorna, pędził za wycieczką. Zatrzymał go namiot pułkownika de Fossis, którego chciał zbudzić, by działa na śmiałków wymierzono; de Fossis leżał we krwi swej się brocząc. Generał za głowę się pochwycił.

— Ognia, ognia! — krzyczał, ale dwa działa, które szkodzić mogły uciekającym, zagwożdżone były na głucho. Horn, który jak Miller niecierpliwiał się i oburzał tem zuchwalstwem garści ludu, puścił się konno naprzód, pomimo ciemności i zawałów, z podniesioną szablą mierząc na wodza, gdy któryś z ostatnich i już minionych Polaków przyskoczył i ciął go silnie kosą w piersi. Horn zachwiał się, chwycił oburącz, i upadł z koniem razem, postrzelony jednocześnie. Miller nadbiegł gdy już leżał na ziemi i zatrzymał się wściekły, nie mogąc rzec słowa, drżący od gniewu, zdumienia i jakiegoś panicznego strachu, który uczuł, widząc ulubieńca rannego. Krzyknął dając rozkaz ścigania, i rozporządziwszy ratunek dla Horna, sam spiesźnie zawrócił się ku namiotowi.

Już też co żyło zerwało się ze snu i biegło, chwytając muszkiety; bebnym biły larum, trąby grały, ognie się zapalały, a nasi śmiałkowie ku twierdzy przerynając się, coraz żywszym spieszyli krokiem. Czarniecczyki jako hasło powtarzali zbierając się „Jezus, Maryja Józef“. Z tym okrzykiem zwycięzkim dobili się do murów twierdzy, spuścili w fosę i fórtka otworzyła, i wszyscy prawie co się byli puścili na tę niebezpieczną wycieczkę, wrócili nazad cali, zagrzani na duchu, jakby ogniasta kąpielą nabrawszy sił nowych. — Kordecki klęczał i modlił się jeszcze; całując kraj jego szaty Czarniecki, który z wzruszenia i zapału nic powiedzieć nie mógł, obudził przeora z tego pobożnego zachwycenia.

— Otóż macie nas nazad — rzekł pan Piotr — i szczęśliwie...

— A! Bogu niech będą dzięki... lecz ofiary?... kto zginął?

— Jednegośmy tylko podobno stracili — biedaka Węgrzyna.

— Biedaczysko! *Bóg* mu oznajmił zgon przeczuciem, módlmy się za jego duszę.

W tem nadbiegł Zamojski.

— A co? — zapytał gorąco.

— Wszystko dobrze, jak z masłem poszło. Popatrzcie-no na Szwedów, cośmy im za sztukę splełali, kręcą się jak w ukropie.

W istocie widok obozu z murów przedstawił jakby mrowisko, w które padnie gałąź drzewa — migały wszędzie drobne ognie i wśród ciemności poruszały się żywo w różnych kierunkach ku podnóżu góry; znać Szwedzi nie wiedząc dobrze co to było z nimi, obawiając się jeszcze, ze stanowisk bliższych na dalsze i niższe się cofali, stawili czaty i rozpalali ogniska, lud biegął, ruszał się i szumiał.

— O! jak to *Bóg* wielki — krzyknął z uniesieniem Zamojski, biegnąc do dział, które Wachler strzegł na wpół spiący. Ognie ich posłużą nam za cel — Niemce, celuj i pal do obozu...

Niemiec chwycił się acz niechętnie z posłania pod namiotkiem, spojrzął na Zamojskiego, pomruczał, ale widząc że nie przelewki, posłuchać musiał i działa poczęły grzmieć z bliższych stanowisk, do reszty płosząc Szwedów.

XX.

Wschodzący dzień oświecił obraz zamieszania i nieładu; jak świt objechał Miller swój lud, policzył straty z których go najwięcej bolała śmierć pułkownika de Fossis i śmiertelna rana Horna; kazał pościągać trupa,

działa zagwożdżone zdjąć z baterji, nowe na ich miejsca naprowadzić i jał się z całą złością i gniewem, do jakich doprowadziło go to zuchwalstwo, nowego szturm. Działa nie ustając na chwilę były do murów, ale na próżno; bo szkoda nie była ani tak wielką, ani tak widoczną, żeby go pocieszyć miała. Wejhard dowiedziawszy się o śmierci de Fossis i ranie Horna dopiero nazajutrz, gdyż nocnego alarmu, stojąc opodał w innej stronie, nie słyszał nawet, pobiegł ku Millerowemu stanowisku, ale mu w oczy zajrzeć nie śmiał. Miller byłby znów wszystko na niego zrzucił, i miarkował, że generał wściekać się musi.

W istocie Szwed był tak straszny, jak każdy w bezsilnej złości szatan; czując swoją potęgę, wyższość, umiejętność, nie potrafić ani dobyć, ani zniszczyć tego kurnika, którego bronili wieśniacy, szlachta i księża! Wszystkie laury wodza tracił tu nadaremnie, w nierównym i wstydlwym boju. Było czego oszaleć! To też szalał opasły wódz, i chodząc w swoim namiocie, coraz powtarzał: — Żeby tu głowę miał położyć, nie ustąpię aż zdobędę.

Po działa burzące posławszy do Krakowa, gnał posłańca za posłańcem, aby dniem i nocą wieziono je co najprędzej. Tymczasem dano mu znać, że górnicy z Olkusza przypędzeni do robienia miuy, którą chciano od północy podłożyć pod mury, przybyli. De Fossis miał tą robotą kierować, plan już był gotowy, ale komu innemu teraz i to mniej świadomemu pozostało jego wykonanie.

Spędzono nieszczęśliwych górników, którzy pod strażą jak więźniowie trzymani, stali smutni i przełkli. Jeden tylko pomiędzy nimi, starzec silny, barczysty, górujący całą głową, z włosiem posiwiałym, sparty na kiju, z dumą na twarzy, a z wzgardą spoglądał na Szwedów, jakby ich wejrzeniem miał pobić nie mogąc dlonią. Reszta znużona, stała i leżała na ziemi, raczej niewolników niż posiłków mając postać. W zamieszaniu rannem, rozkazał Miller prowadzić ich ku górze i wyznaczyć robotę, ale około południa znać

mu dano, że Olkusecy górnicy opierają się i nie chcą miny rozpoczynać.

Sądząc, że to tylko niewyrozumienie jakie, lub trudność w robocie, posłano do nich Polaka aby się z nimi porozumiał. Był to pan Kuklinowski, chętny służka Szwedów.

Zastał ich otoczonych żołnierzem na ziemi leżących, z pospuszczanemi głowami, tylko starzec ciągle na kiju sparty o swej sile się trzymał i na wodza wyglądał.

— Ho! do roboty! rozpoczynajcie górę! — zakrzyczał Kuklinowski.

— Albośmy to Szwedzi, czy zdrajcy jak ty — zawołał oburzony starzec — żebyśmy mieli na Matkę Najświętszą ręce podnosić.

— Co! jak to?

— A! tak ci to — żywiej jeszcze rzekł stary — chcecie nas pozabijać to pozabijajcie sobie, lepiej zginąć od was, niż w piekle ginać przez wieczność; nie będziemy robić i po wszystkim.

Kuklinowski spojrzał i szybko odjechał, dając o tem znać generałowi; Miller ledwie uszom wierząc, zakrzyczał: — Wieszać łajdaków! wieszać!

— Ale — zawołał Kuklinowski stojący blisko — jak ich powiesimy, to któż będzie minę robił?

— Wziąć tylko jednego co tam ich buntuje, na próbę, a reszta się upokorzy — powtórzył generał — a nie to dziesiątego na stryczek! — Kaliński wystąpił.

— Pozwólcie mi do nich pójść, panie generale?

— Idź mości starosto, ale ich nie proś, nieposłusznych na gałęź, jak psów wywieszam. Staroście podano konia, pospieszył do górników. Stali w miejscu jak przedtem, i spojrzawszy na te chmurne oblicza ludzi, zwrócone ku kaplicy Matki Boskiej z czcią, pobożnością, z przestraczem wiernych jej dzieci, starosta uczuł jakby wstyd, coś nakształt zgryzoty, — naukę wielką, którą odpędził od siebie. Prędko ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rzekł łagodnie: — No! do ro-

boty dzieci! co to wy sobie myślicie? Nie znacie generała? nagrodzi za robotę, ale ukarze nieposłusznych; już wyrok śmierci wydany na was; kto do młota się nie weźmie, pójdzie na szubienicę!

— A no! to i wieszajcie — odparł starzec dumnie, czegoż czekać?

— Co to wam w głowie?

— Co w głowie? to, że Szwedowi heretykowi przeciw Matce Jezusowej nie będziemy pomagać jak wy, panowie szlachta.

Zarumienił się Kaliński. — Ty starcze! — krzyknął, pierwszy pójdiesz na szubienicę!

— I Chrystus wisiał — rzekł górnik spokojnie — szubienica za bożą sprawę nie hańbi!

Kaliński stanął wryty, słów mu nie stało, myśli mu brakło przeciw temu bohaterskiemu starcowi, który tak zimno, tak mężnie uragał ze śmierci. Znać było po twarzach reszty, że on sam tylko ich trzymał, więc kazał zaraz porwać Jana Waćka, starszego górnika i odwieść na stronę.

— A wy — odezwał się do reszty, czy także robić nie myślicie i czekacie aż dziesiątego wieszac zacząnę?

Ktoś się odezwał — wieszajcie i nas. Inni milczeli.

— Do roboty! — Krzyknął Kaliński; a Szwedzi stojący w około prętami poczęli bić górników, którzy stali niemo i ponuro. Jeden ukląkł nderzony.

— Nie mam siły Jana, Panie Boże odpuść, róbmy bracia póki siłują nas, nie my to, ale szwedzka przemoc winna będzie.

— Nie, nie — rzekł drugi pójdziemy gdzie i Jan, niech nas wieszają.

Szwedzi ciągle smagali i gnębili, a żaden jeszcze za młot nie chwycił. Kaliński zagrał z innego tonu.

— Co chcecie żeby wam za to zapłacono? zapytał.

— My się sami okupim czem mamy, byleście nas nie brali.

Krzyki bitych, zamieszanie które powstało, nie do-

zwoliło dłużej mówić Kalińskiemu; rozkazawszy Szwedom pędzić do roboty siłą, postawiwszy dozorców, starosta pobiegł do Millera chmurny i niespokojny.

Sumienie mówiło, — walczył z niem.

W drodze spotkał żołdaków, wiódących Jana Waćka ze związanymi w tył rękoma. Górnik spojrzał w twarz staroście, nie prosząc mu się, nie mówiąc słowa; jeszcze zdając mu się urągać, szedł bez postrachu, bez lzy na śmierć, której oczekiwał. Kalińskiego przemogło to meztwo tak wielkie i rozkazał go puścić. — Idź rzekł, idź, uciekaj.

Górnik nic nie odpowiedział, uczuwszy ręce wolne, bo mu je zaraz rozwiązano, obejrzał się i zawrócił w stronę, z której go wiedziono, do towarzyszków swoich. Kaliński nie miał czasu i nie chciał oglądać się na niego. A tymczasem stary Waćek, poszedł do miny, którą rozpoczynali płacząc Olkusey robotnicy pod rękami Szwedów; stanął na pagórku ręce złożywszy.

— Ej! bracia, słyszycie — zawołał — a toż na was patrzy Bóg i Matka Jego najświętsza! a wam nie wstyd małego serca, a wam nie żal pracować przeciwko Częstochowie? Niech biją i zabijają, rzućcie młoty i nie róbcie.

Kilku się wstrzymali z płaczem. — Co my poradzimy przeciwko sile? przeciwko tyłu?

— Niech katuja! — zawołał górnik — prędzej u Pana Boga pomstę wywołają. A co to wy? cierpieć nie umiecie? komuż to jak nie nam dać przykład? niech biją, cierpmy. — Wtem chwyciwszy go za kołnierz żołdak przerwał mu mowę; starzec się nie bronił, powleczono go ku ogorzałym belkom niedalekiego rozrzuconego domostwa; zwróciły się oczy braci na ten widok straszny. Jan Waćek szedł na śmierć, a nigdy może męczeństwo nie było zniesione duszą silniejszą, stalszym umysłem. Szwedzi nie czekając zarzucili pętlę na belkę i uwiązawszy stryczek do szyi Jana, podnieśli go.... Oczy wszystkich spoczywały na nim. Kordecki zdala stał na murze i odmawiał wieczorne

modlitwy za umarłych, dając mu rozgrzeszenie, bo widział i czuł, że człowiek ten za swoją wiarę umiera.

W chwili gdy pętla szwedzka zadrgała ua szyi górnika, wszyscy jego bracia rzucili młoty o ziemię, i bicie żołnierzy nie potrafiło na nich wymódl roboty.

— Gińmy jak on! gińmy jak on! — wołać zaczęli.

Szwedzi patrzali na to w głupim podziwieniu, dla nich było to niepojętem: jeden tylko litościwy odciął nieszczęśliwego wisielca, którego ciało upadło bezwładnie na ziemię. Olkuszanie rzucili się twarzą na kamienie i płakali.

Tak minął cały dzień prawie i plagi szwedzkie nie mogły ich do roboty przymusić; znękani, zbici, gwałtem parci, dopiero dni następnych, znużeni, na siłach upadłszy, poczęli robotę, ale tak niechętną! tak ciężką, tak łzawą i smutną, jakiej jeszcze świat nie widział.

XXI.

Zdziwili się wracający z wycieczki pan Czarniecki i jego towarzysze, nie znalazłszy za powrotem owego więźnia związanego z zakneblowaną gębą, którego w fosę rzucili; knebel tylko i sznury zostały w miejscu gdzie leżał — a Nathan, gdyż to on był, uszedł cało: schwytanie zaś jego chwilowe, nie tylko że nie posłużyło, ale raczej zaszkodziło obłączonym.

Wypadkiem zostawiono go pod basztą, u której stał Wachler, a Niemiec uwolniwszy się od zapychającego mu gębe, na prędce uwiazanego kłaka, począł jęczeć i cichym wywoływać głosem Wachlera. Usłyszał to puszkarz, pochylił się za mur i zawołał Nathana. Odpowiedziano mu:

— Cóż ty tu robisz? chyba nie wiesz, że nasi poszli na wasz obóz?

— Gdzie zaś nie wiem! onić to mnie schwycili,

związali i rzucili tutaj, żem ledwie teraz knebel z gęby wykrztusił; wróć i porwaj mnie, bo dobrze sznurami opasali; ratuj bracie, ratuj...

— A jakże cię poratuję? wlałeś sam, sam wylaż.

— Zlituj się, oni mnie zabijają, męczyć będą i twoje ze mną przepadnie; szedłem do ciebie właśnie — wołał Nathan — obiecują ci dwieście talarów, jeśli ułatwisz poddanie.

Wachler milczał i myślał.

— Cicho — rzekł — cicho leż, milcz; zobaczę, może cię potrafię wyratować.

To mówiąc podniósł się nieco, popatrzał na mury i krokiem cichym złodzieja spuścił się w dół ku furtce, którą wyszła wycieczka.

Strach dodawał mu szybkości i zwinności.

Wybiegł, posłuchał, zbliżył się do Niemca i ode-rwał sznur wiążący Nathanowi ręce.

— Idź, idź, uciekaj a pamiętaj, żem ci życie ocalił.

— Nim powrócę mamy czas — rzekł żywo Nathau — twierdzą zdobyć muszą; jeśli do tego dopomożesz, masz dwieście talarów i życie darowane.

— Patrzaj na mnie i pilnujaj dobrze.

— Ależ musicie mieć niechętnych, tchórzów, znieść się z nimi, byleście tylko furtę nam otworzyli, reszta już nasza rzecz.

Wachler głową pokiwał.

— Zobaczymy — rzekł — zobaczymy.

— Gdziez i jak rozmówimy się? — żywo mówił posłaniec, drugi raz nie będąc się już śmiać podkraść.

— O północy dam ci znak wywieszoną czerwoną latarką, jeśli ją zobaczysz na prawo od baszty przychodzi śmiało. Ja tu sam nocą na stanowisku u dział, nikt nie przeszkodzi.

— Do jutra...

Nathan wyrwał się jak oparzony, a Wachler pospieszył furtką nazad do twierdzy.

Nazajutrz Niemiec zszedł rankiem w podwórzec do ludzi, i Zamojski pierwszy postrzegł, że co dawniej milczał jak kamień, to teraz gardłował ciągle między

tłumem, narzekając na upor księży i groźnie malując siły szwedzkie. Opieszale szedł do roboty a gorąco narzekał, wpadło to i innym w oko, że skutkiem może głośnych Niemca przemówień, ci co nie wiele mieli odwagi, i tę tracić zaczynali. Postrach między ludem rozszerzony, stopniami przeszedł do szlachty. Twarze blade obracały się z trwogą na wszystkie strony, jakby już Szwed miał się pokazać na murach; poczęto szeptać tajemnie i częste schadzki u baszty Niemca postrzegano dnia tego i następnych.

A Szwedzi wciąż strzelali do twierdzy, a górnicy olkuscy opieszale twardą rąbali opokę, którą ledwie dotąd napoczęli, niechętną ręką i sercem biorąc się do niej. Miller wszystkich pędził, na wszystkich się gniewał, a w głębi najwięcej sam na siebie, że tu przyszedł. Wejhard milczał knując zdradę. Zdawało im się, że co chwila powinni byli ujrzeć posłów z klasztoru, przynoszących warunki poddania, ale nikt się nie ukazywał. Nathan tylko zrana po wycieczce, przyszedł do namiotu Wejharda, blade i posiniałemi okryty płamami.

— Co się stało? — spytał go hrabia.

— Co? nieszczęście — rzekł Niemiec — wczoraj właśnie podkradłem się pod mury, gdy ta szalona wychodziła zgraja, anim się opatrzył jak mnie pochwycili.

— Jakto? byłeś w ich rękę? i jakżeś się uwolnił?

— Cudem i nie bez szwanku, jak JW. pan widzisz — rzekł Nathan — to są dowody, że służę gorliwie, (wskazywał na sińce i obdarcia). Zakneblowano mi gębę i związanego jak psa rzucono w fosę.

— I któż cię ratował?

— Cudem panie, bom z knebla wygryzł się jakoś, Wachler się do mnie furtką wyrwał i rozwiązał mnie.

— Mówiłżeś z nim?

— Mówilem, obiecuje wszystko, ale chce dużo pieniędzy.

— Cóż powiada o wojsku, o murach, wszakżeś go pytać musiał?

— Nie było tam czasu na długą rozmowę, ledwie-

śmy słów kilka do siebie przemówić mogli. Ale mi zaręczył, że niechętnych wiele, że przeor tylko i kilku upartych mnichów wszystkich trzymają i zmuszają do obrony, bez czego by się pewnie poddali.

Wejhard chodził po namiocie.

— Będiesz-że się z nim widział?

— Dziś lub jutro.

— Idź i spocznij.

Odwrócił się do Kalińskiego.

— Starosto — rzekł — tobie wypadnie jeszcze raz pójść do klasztoru, nie w charakterze posła od nas, ale przyjaciela i doradcy; tyś wymowny (Wejhard znał potęgę pochlebstwa) i Polak, łatwiej ich przekonasz o szaleństwie...

— Jeśli każecie? — rzekł połechtany starosta — nie wątpię, że generał się na to zgodzi, chodźmy do niego.

Nie było blisko do namiotu Millera, konno aż przejechać musieli do niego. Zastali generała nad stołem jako tako ustawionym w ogromnym jego namiocie, wśród posępnej pijackiej biesiady. Widać, że przedmiotem rozmowy była wycieczka nocy ostatniej, która dowodząc Szwedom ich nieopatrności, generałowi jego niedbałstwa, dwakroć ich wobec tych, których mieli za nieuków upokarzała. Namiot wodza przedstawiał obraz gody wejrzenia, oryginalnością swoją. Otwarty od przodu patrzył na twierdzę otoczoną dymami i ostrzeliwaną się zajądło.

Po dolinie i wzgórzu rozsypany był żołnierz szwedzki, krzyk bojowy, huk dział, trąby i bębny odzywające się w różnych stronach, wtórowały biesiadzie. Stół nakryty kilką obrusami różnego pochodzenia, ozdobionymi szlakiem szytym w herby domów polskich, a gdzie indziej w krzyże, dowodzące, że nie szczędzono ołtarzy Pańskich, zalegały srebra staropowiekie niemieckiej trybowanej roboty; a na każdej z tych sztnk bogatych znamię ródowe świadczyło, że były owocem rabunku. Były tam ogromne półmiski pańskie i kubek szlachecki, jedyną pieczęcią, co stał niedawno w szafie za szkłem

w spokojnym gdzieś dworku; potężne puhary mister-
nych kształtów i owe sztuczne podróże z figurkami na
rękojeściach, które dawniej każdy przy sobie nosił i
ulubionemi stroił je napisami i godłami. Książę Hesski,
Sadowski, kilku Polaków, pułkownicy szwedzcy, stół
dokoła obsiadali. Gdy wszedł Wejhard z Kalińskim,
Miller się namarszczył, bo go za pierwszą przyczynę
tych trudów i niesmaków uważał, i zaraz na pierwszym
wstępie pokazał mu wiszącą jeszcze opodał na belce
petlę, na której skonał stary górnik Olkuski.

— Ot, widzicie, jaka to tu wojna, wieszacie potrzeba
sprzymierzeńców tych, których obiecywaliście nam u lu-
du. Wejhard ramionami ruszył i nsiadł. — Ha! rzekł,
to są chwilowe nieprzyjemności, ale przecież idzie.

— Ślicznie idzie w istocie — odpowiedział Sadow-
ski — noc dzisiejsza dowodem.

— To вина nasza — przerwał Miller — zdawało
nam się, że wojujemy z mnichami, a tam są tędzy
żołnierze! Nauka nie pójdzie w las, przyjdą i działa
z Krakowa.

— Wszystko to nie będzie potrzebem — rzekł po
chwili Wejhard!

— Wy mi zawsze nie wiedzieć co obiecujecie.

— Twierdza ostatkiem goni, bliska poddania.

— Tak jest, gdyśmy tu szli, mówiliście, że dnia
pierwszego poddać się miała.

— Teraz to trochę pewniejsze generale — rzekł ci-
szej Wejhard — wiem, że wszyscy są już do ostatka
znużeni walką, zniechęceni, i radziły to skończyć.

— Tak, a jednak parlamentarzy nie przysylają.

— Potrzeba znać sytuację wewnętrzną twierdzy, ta-
jemniczo rzekł Czech. — Naprzykład?

— Tam kilku utrzymuje kilkuset w uporze. Miller
splunął z niechęcią.

— Przyszedłem właśnie prosić generała, żebyś po-
zwolił z radą i namową wysłać starostę Braclawskiego,
jestem pewny, że ich przekona i przyniesie nam punkta,

które się już gotują. Mnisi tylko cokolwiek uparci, załoga bije się zmuszona...

Miller się rozśmiał — niech idzie starosta, kiedy ma ochotę, ale ja wolę traktować kulami niż parlamentarzami; moi posłowie to krakowskie działa.

Wszyscy milczeli.

— Jak na mnichów — krzyknął Miller stukając pięścią o stół, dobrze sobie radzą, na szatana! jeszcześmy nigdzie takiego nie spotkali oporu... kule ich nasze nie biorą... dachów im nawet zapalić nie umiemy. Jeszcze śmieli garścią robić na nas wycieczkę, to rzeczy niepojęte! straty wielkie, cała ich mysza dziura tego nie warta! ale pomszczę się straszliwie, wytnę ich do nogi i to gniazdo zniszczę ze szczerem. De Fossis zabity! Horn ranny śmiertelnie, mówią doktorowie, kilkudziesięć na placu poległo, u nich ani jednego trupa; myśmy dziś wyszli na mnichów i partaczy. Mówił i pił i wstrząsał się z gniewu...

— A tu, dodał, użyjże ludzi do robót, to ich wieść potrzeba, żeby zmusić do kopania góry!! A jesień ciężka, a lud mój marznie i choruje, a zima za pasem! ślicznieśmy się tu wparli! Wejhard milczał.

— Pozwoli generał pójść panu staroście? spytał dawszy mu się wygadać.

— A! jeśli chce niech rusza! — obojętnie rzekł Miller — z Bogiem, ale ja sobie z tego nic nie obiecuję.

— Ja dawniej i lepiej znam Polskę — rzekł Wejhard — u nich najgwałtowniejsze wybuchy, z przeproszeniem pałów, dodał postrzegając pułkowników polskich — sąsiadują ze zwątpieniem i rozpaczą, gdy się najmocniej rwą, najbliżsi są poddania, i dzisiejsza wycieczka dowodzi tylko desperacji.

Niektórzy z Sadowskim potwierdzili to postrzeżenie hrabiego, inni milczeli; starosta na znak Wejharda powstał i wyszedł zaraz, a biesiada ciągnęła się dalej, i pijatka wkrótce zawróciła głowy wodzom, którzy szy-

dząc, skarżąc się, śmiejąc, grożąc i złorzeczając Polsce a klnąc wojnę, zalali w sobie wkrótce resztę serca i myśli.

XXII.

Kaliński z trębaczem i białą chorągwią spieszył znowno do klasztoru, i mało co poczekawszy u fôrty, przez brata Pawła, po oznajmieniu Przeorowi, przyjęty został i wpnszczony zwykłym sposobem. Za nim wciśnęła się żebraczka Konstancja, która większą część dnia spędzała za murami, na chwilę za wchodzącymi wbiegając do klasztoru.

Postać jej więcej niż kiedy wyrażała to obłąkanie wesole, na które patrzeć tak smutno i ciężko. Z nśmiechem wyprzedziła Starostę, który kroczył z miną poważną, i gdy mu już wchodzącemu do klasztoru oczy rozwiązano, pokłoniła się nisko.

— Do nóg upadam jaśnie wielmożnego Szweda — zawołała — do nóg upadam.

— Co to za baba? — spytał brata Pawła Kaliński.

— E! to sobie kobiecina biedna, sługa Najświętszej Panny; tak ją tu nazywają...

— Tak! tak! — szybko pochwyciła Koustancja, i bardzo się ciesząc, że pan tak często chodzi do nas.

— Alboż co? — spytał Starosta.

— A! z uśmiechem kończyła stara — bo już ja wiem co tu pana do nas sprowadza. O! o! ja to wiem! Jaśnie wielmożny Szwed chce się widzieć nawrócić! Chwała Bogu! Tu już panie i Tatarów i Turków i wszelkiego heretyctwa siła się nawróciło, to i pana przyjmą, byle ze skrucą....

— Co ona plecie ta opętana! — z oburzeniem odezwał się Kaliński — albo to ja nie Polak i nie katolik?

— Może Bóg da, że i to przyjdzie! — mówiła sobie

Konstancja — ale dotąd, co mi za katolik, co z Najświętszą Panną wojnę prowadzi.

Kaliński zarumienił się i ramionami tylko ruszył.

— A ja jasnie wielmożnemu Szwedowi powiem — ciągnęła dalej żebraczka — który tu ksiądz najlepszy do dyscypliny, to ksiądz Paweł; do spowiedzi nie ma lepszego jak ksiądz Mielecki, nałaje to prawda, ale tak sumienie wypatroszy jak potrzeba... a do...

— Ale dajże mi pokój babo! — krzyknął Kaliński z gniewem. Brat Paweł umierał ze śmiechu pragnąc go utaić, baba nie puszczała posła.

— Już niech każdy poświadczy, że prawdę mówię — wołała — brat Paweł dyscyplinuje siebie dobrze, a co by to dopiero było, jakby się do cudzych pleców dobrał. Od tegobym życzyła jasnie wielmożnemu Szwedowi rozpocząć nawrócenie.

Kaliński wytrzymać nie mógł, i spieszniej coraz pędził korytarzem, ale żwawiej jeszcze biegła przodem żebraczka.

— Nawróćcie się, nawróćcie, to wam z oczów pa-trzy — woła ciągle — nie wstydźcież się, toć to nie grzech! tylko co prędzej to lepiej, bo widzę, że wam we środku djabeł siadł, i wierci i kreci: jeśli go nie wypędzą, to was rozedmie w niwecz... dla diabła nie ma lepszego sposobu nad dyscyplinę...

Brat Paweł buchnął ogromnym śmiechem nie mogąc go już utaić, a Kaliński łajał, ale w tem i przeor wyszedł naprzeciw starosty. a Konstancja postrzegłszy go, nkloniła się, zakreciła i znikła.

Ledwie odeszła kilka kroków. twarz jej tak dziwnie wesola, zmieniła się zupełnie: smutek głęboki, nienleczony, ciężki, osiadł na jej czole i ustach... dobyła kawałek chleba z torby, pocałowała go, schowała i spiesznym krokiem pobiegła pod okno Lassoty; przysiadła na ziemi, sparła się na rękę i zadumała.

Tymczasem przeor do Definitorium wprowadził Kalińskiego, wiedząc o jego przybyciu, bo mu od fórty znać o tem dano; tu już zgromadzeni byli umyślnie ojcowie i szlachta, aby w obec ich mógł z nimi pomó-

wić. Kordecki spodziewał się podpory w towarzyszach. Lecz o jakże się mylił! oprócz Zamojskiego, który ochoczo życie swoje i syna ważył, wyjąwszy Czarnieckiego, który śmierć wcześniej liczył za prawdopodobne zakończenie swej pracy przy oblężeniu, prócz kilku jeszcze, reszta nie miała ducha co ich ożywiał. I nie dziw! nie wielu w cud nawierzyć może, bo nie wielu są go warci. Z samych duchownych, część znaczna trzymała się tylko Kordeckiego siłą, i zagrzewana sławała gorąco; — zostawiona sobie, chłodła. Przy przeorze wszyscy wotowali za wojnę, sami wzdychali i w długie nocy słuchając bicia dział i krzyków, strach ich przejmował blady; drżały serca, biły piersi niespokojnym oddechem, modlitwę szeptali nie o zwycięstwo, o pokój tylko.

Mnisi to byli, a inna zaprzatała ich wojna, ta nieustanna wojna z sobą, z ciałem, z myślą, z wątpliwością — z tem wszystkiem co się zowie szatanem, a co nigdy. najświętszemu z ludzi nie daje pokoju. Inni nie mieli meztwa. bo im je wlewała liczba i szczęście, a przeciwność i osamotnienie je wydzierały. Dla nich potrzeba było zwycięstw by wzbudzić odwagę. a Polska upadła wszędzie; a wieść z kąd przyszła, to głosiła klęski, to opowiadała niedolę, i opłakana a krwawa. leciała osłonięta szatą żalobną. Zkądże dobyć się miało meztwo dwustu ludziom wśród tysięcy, mnichom, szlachcie i wieśniakom, garści na wyspie Jasno-Górskiej, wśród oceanu szwedzkich żołnierzy.

Stan umysłów ludu, księży i szlachty w Częstochowie cały zależał od Kordeckiego, cały na nim spoczywał; gdyby ciągle nie utrzymywał ducha, wszyscyby upadli. Ale najlżejsza przeciwność obalała dzieło pobożnego przeora, a rozważa zimna, trochę samotności, zbliżenie się dwóch bojaźliwszych, święty ten zapal rozpedzały.

Oprócz kilku wymienionych, każdy potajemnie przewidywał poddanie i myślał jak je najmniej strasznem uczynić, uważając za nieuchronne; bolejąc nad tem, co cicho zwano uporem Kordeckiego. Nie jeden co wstrzą-

śniony mową jego, głośno podniósł rękę i przysięgał do tchu ostatniego walczyć w obronie świętego miejsca: wróciwszy do izby sam siebie nie poznawał, sam sobie się dziwił, gdy spojrzawszy w serce, znalazł je tak zmienionem.

W niższych rzędach obrońców Częstochowej, nad któremi pracował by je zniechęcić Wachler, toż samo rozszerzało się zwątpienie; ludzie to byli po większej części zgromadzeni nagle, bez wyboru, których oddalenie od domów, niepokój o nie i sam widok Szwedów w takiej liczbie, a słuch, że cała Polska już się im pokłoniła, czynił bojaźliwymi. Wprawdzie i tu głos Kordeckiego, stara wiara i pobożność, wyrabiały chwilowe męztwo i do poświęceń gotowość; ale jakże łatwo oneśmielić głos, gdzie odwaga cudem tworzyć się musiała!!

Najemnicy Niemcy, Węgrzy i Szlązacy, stanowiący główną część załogi, wprawniejszą w żołnierkę i umiejętniejszą w swem rzemiośle, nadzieją tylko zapłaty, darami i groźbą utrzymywani byli. Położenie więc klasztoru zależało zupełnie od wodzów, od nieustannej ich baczności, od pilnego wglądania co chwila, nie tylko w stan murów twierdzy, ale w stan serc i umysłów. Ileż to niepokoju, ile trosk codziennych, ile obawy przetrwać było potrzeba, jak czytać w twarzach, jak podsłuchiwać uczucia, by iskra zgubna, nie zapłonęła w przygotowanych na jej przyjęcie umysłach!

Nie była więc całkiem fałszywą rachuba Wejbarda i Kalińskiego, którzy liczyli na to, że przypomnienie stanu Polski i stanu twierdzy zamkniętej oblężeniem, przydać się im mogło. Taki był cel wysłania starosty, który dziś zamierzał sobie być nie parlamentarzem Millera, nie urzędowym posłem, ale jako Polak i obywatel, szedł do obląkanych współbraci. Stosowną też do tego przybrał twarz i postawę. Na korytarzach rozniewany przez żebraczkę, rychło ochłonął, i zgromadziwszy myśli, z całą usilnością na jaką się tylko mógł zdobyć, postanowił użyć swych argumentów. Przyjmowano go jednak jako posła, co było widocznem z uro-

czystego wszystkich zebrania, ale zaraz na wstępie zrzucił z siebie ten charakter, witając przeora słodzącą miną, pokorą i grzecznością wyszukaną.

— Rad jestem — rzekł z uśmiechem — że mogę u waszej przewielebności odetchnąć; nie przychodzę tu wcale jako poseł, ale jako współobywatel, brat, jako Polak, między swemi spędzić chwilę swobodną; a jeśli się ona na co wam przyda, będę bardzo szczęśliwy; proszę mnie tylko dziś nie mieć za Millerowskiego posłańca, bo nim wcale nie jestem.

— Tem lepiej — odpowiedział Kordecki, wskazując mu siedzenie — bo poselstwo do nas byłoby nadaremne, po tylu silnych przemówieniach kulami, które stają za najlepsze argumenta, a przecież jak widzicie upartych nie przekonały.

Starosta unikając zaczepki i mowy o drażliwym przedmiocie, umyślnie obrócił ją na inny przedmiot.

— Nie uwierzycie — rzekł — jakie to ciężkie położenie nas Polaków w tem wojsku szwedzkim; ale to konieczność! niestety! żelazna konieczność. Jesteśmy widzami wojny z bólem serca, a w dodatku nikomu na nic nie przydatni, chyba tylko, że powiększamy ciżbę. Wszyscy milczeli, on mówił dalej ze swym uśmiechem dobrodusznym.

— To też podwójnie dziś miło znaleźć się między swojemi, spocząć trochę, i zapomnieć o nieszczęściach kraju, co na nas to jarzmo włożyły.

Milczano jeszcze, starosta z nikogo ani potakiwania, ani oporu wydobyć nie mógł, wiedział jaki skutek sprawiają słowa jego, bo ani twarz ani usta nie objawiały go dotąd. Przykre to było położenie, obracał głową, szukał do czego by się uczepić, nie mógł znaleźć. — Baczniejszy rzut oka byłby mu oznajmił, że ubolewanie to zreczne, znalazło odgłos w umysłach wielu; ale przytomność przeora i poważne a śledcze wejrzenie jego, tamowało objawienie tego, co się w sercach kryło. Kaliński mówił dalej:

— Prawdziwie od zgonu Zygmunta Augusta nasza

Polska widocznie dążyła do upadku: oczy to nasze widzą, serca czują; a każdy jak umie ją rabuje.

— Szkoda — przerwał Kordecki — że nie możemy się zgodzić na jedno lekarstwo; każdy ją do siebie ciągnie, każdy do niej przyczaja, i jak z dziecieniem Salomona sądu, w końcu z nią być może... Ale Bóg łaskaw i wielki

— A! to też to prawda, w Bogu jednym nadzieja nasza — rzekł pobożnie Kaliński — w Bogu co jej daje takich synów, takich bohaterów jak wy księżę przeorze... ludzi godnych uwielbienia i lepszej, nadewszystko szczęśliwszej sprawy.

To pochlebstwo wprost i niezręcznie rzucone, żadnego nie sprawiło skutku. Kordecki rzucił okiem na krzyż Zbawiciela, jakby mu ofiarował boleść swoją, i milczał.

— Można wam oddać tę sprawiedliwość — kończył starosta — której i nieprzyjacielowi nie skąpię, że z niczego potrafiłście wyrobić rzecz wielką i okazujecie cudów. Gdybyż to na co, prócz gloryfikacji waszej, przydać się mogło — rzekł ciszej.

— Jakto? — żywo się ofuknął przeor, którego to słowo do niecierpliwości, wpředce pohamowanej jednak, przywiodło. Wy myślicie, że mi o wizerną, o lichą, znikomą, o ludzką sławę idzie? A! jakże się grubo mylicie panie starosto! jakże się mylicie!

— Pewnie — przerwał Zamojski — ksiądz przeor z uami wszystkiemi powiedzieć może z głębi serca: *Non est mortale quod opto*. Nie idzie tu o sławę lichą i o poklask ludzi, ale o wiarę, o dusze, obowiązek, o stokroć wyższe i potężniejsze pobudki czynów naszych. *Lex Dei vera est* począł — unosząc się pan miecznik — temu prawu posłuszni, czynimy cośmy powinni!

— A to też z uwielbieniem patrzymy wszyscy — rzekł Kaliński — na stracone usiłowania wasze i daremną pracę!

— Dlaczego daremną — spytał pan Czarniecki — nic nie jest daremnego, zda się choć dobry przykład.

— Daremną — powtórzył Kaliński — bo stoicie szlachetnie przy sprawie zgnbionej, jak Kato.

— Czyjaż to sprawa zgubiona? — posepnie spytał Kordecki — sprawa Boża i sprawiedliwości?

— Nie spierajmy się księżę przeorze — zawołał Kaliński zawsze słodko i przymilajaco — lecz pozwólcie mi mówić: wy oddawna zamknięci w klasztorze, oddani modlitwom, zagrzebani w pobożnej kontemplacji Boga, nie wiecie i nie widzicie co się w koło was dzieje. Dla was bieg rzeczy ziemskich jest obcy, my cośmy się do niego wmieszali, co z tym potokiem płyniemy, jaśniej widzimy stan Polski i *inexorabile* jej *fatum*. Tak! potrzeba się rozstać ze słodką myślą wierności Janowi Kazimierzowi, bo Jan Kazimierz Polskę zgubił i gubi...

Zamojski wzdrygnął się, ale nie przerwał.

— Od Zygmunta III. — mówił poważnie Kaliński, którego na tron powołało przywiązanie nasze do krwi Jagiellońskiej, przywiązanie tak ślepe, żeśmy jej szukali w zmieszanej z inną, byle choć kroplę jej mieć na tronie; wszystko szło opak i na zgube, Zygmunt III. był obcy, nigdy się nie stał naszym, nigdy nie zjednoczył z Polską; obcy umysłem, sercem, nałogami, niewczesnem lub nieumiejętnem ubieganiem się za władzą absolutną, wywołał opór, niesnaski, rozdziwienia, i pierwszy skłonił nas ku upadkowi. Władysław IV. trzymał jeszcze ręką silną, ale niepewną tego, co czynił. na pochyłości góry, losy państwa; Jan Kazimierz ze swą niestałością, ze swym płochym umysłem, do ostatka nas przywiódł. Stan kraju okropny: car z jednej, Szwed z drugiej, Kozacy własni poddani z trzeciej, szarpią nas strony; w środku zamęt nierozplątany. Komuż to wszystko przypisać jeżeli nie jemu?

— Samym sobie! — przerwał przeor — sobie tylko! cóż winien monarcha, któremu nieustannie wiążą ręce, pod pozerem by ich na własnych poddanych nie użył, który pogląda tylko zkad mu zawieje rokosz, i wojować musi nie z nienrzyjacielem tylko, ale z poddanymi swemi. Dalżeście im siły potrzebne do dzieł wielkich? dalżeście im serca wasze?

— Dlaczegoż nigdy tak źle jak teraz nie było? — podchwycił starosta — dlaczego nawet za ojca i brata nie widzieliśmy tych klęsk bez ratunku, dzisiejszych? Tu nie los sam, i nie my, ale głowa narodu jest winną. Pierwszym dla nas kraj być powinien, a gdy sternik na przepaście prowadzi, okrętu raczej niżeli sternika patrzeć winniśmy. Żal mi z serca Jana Kazimierza, boleję nad losem jego jako człowieka, ale nie żalnię go jako króla, i z przekonania idę z Karolem Gustawem. Król co z kolei dwie rzucił na łup stolicę, którego opuściło wojsko, lud, wodzowie, już winien być musi.

— O sroga Boża karo! — zawolał przełożony — i to mówi poddany, syn to na ojca tak się odzywa!

— Jestem naprzód synem kraju — rzekł Kaliński, boleję ale patrzę, płaczę ale wybieram gdzie zbawienie. Dziś najmniejszej niema wątpliwości, że z Janem Kazimierzem trzymając, wszyscybyśmy na Spiz pójść powinni, płakać, lamentować i coraz dalej uciekać. Ale Bóg łaskaw dał nam we wrogu obrońcę, cudem swej dobroci, podpórę, opiekuna, nowego i silnego króla.

Kordecki zżymnął się, milczał. Zamojski ręce ścisnął, Czarniecki się żywo przechadzał, jakby mu ciężko było w miejscu wytrwać; reszta zgromadzenia wymową Kalińskiego zdawała się zdumiona razem i zajęta.

— Palec to Boży widoczny — mówił dalej starosta — cała Polska zwraca się ku temu obrońcy i poddaje mu zgodnie: wojska, województwa, wodzowie, panowie, miasta, zamki, lud, garną się pod jego opiekę. Polska w tej chwili w jego rękach. Wy jedni jak wyspa wśród morza stoicie opierając się sile, oczywistości, rachubie, i rzekłbym rozumowi, gdybym nie umiał cenić nczuć pięknych i świętych, ale czecznych i do niczego nie wiodących, które was ożywiają.

Kordecki jeszcze milczał, a Kaliński którego oka nie uchodziło, że wiele uczynił kilką słowami, pospiesznie ciągnął dalej: — Rozumiem to, że zakonników wiąże przysięga złożona królowi silniej niż innych, bo sądzicie w pobożności swej, że jej życiem nawet bro-

niąc, dotrzymać powinniście. Ale przysięga o tyle tylko obowiązuje, o ile jest z obn stron dotrzymaną, a Jan Kazimierz ją złamał, opuścił nas i nciekł; sam się zrzekł czego utrzymać nie mógł, sam się wyznał i powiedział wychodząc z Krakowa: — Róbcie co się wam zda lepiej. Jakoż miliony, cały naród uznał się swobodnym od przysięgi. I dziś może być heroizmem, ale jest szaleństwem stać przy Janie Kazimierzu, który już królem nie jest *de facto* i *de jure*. Szanuję to obłąkanie, ale go podzielać nie mogę.

— Obłąkanie! — szeptał chodząc Czarniecki — gadzina, gadzina! a jak słodko argumentuje! niepocziwe licho!

Kordecki wstrzymał się widocznie.

— Nie chcę być doradcą — z westchnieniem mówił Kaliński — bo rady odrzucacie choć z serca pochodzą, ale w obec tego co się dzieje, inaczej jak rychłego poddania radzić wam się nie godzi. Jedni, nie zwyciężycie wszystkich, król Karol Gnstaw, którego sobie malujecie jakąś straszną poczwarą, obiecuje dla Polski być ojcem; wszystkie prawa wasze potwierdza, wszystkie zachowuje swobody; katolickiej wiary niszczyć nie myśli, nie prześladuje, owszem na równi z własną opiekować się nią przyrzeka. Kto wie czy dla nas nie nawróci się jak Jaziełło? Jego zamiary względem Jasnej-Góry są ojcowskie; nie opanować ją, ale bronić jej pragnie; chce ją umocnić załogą. Jeśli zniszczona zostanie, wy sami tylko temu winni będziecie.

— Co za troskliwość ojcowska! — mruczał Czarniecki Przeor zadumany, milczał, okiem mierząc twarze wszystkich, a między szlachtą już widocznie zwątpienie i bojaźń widać było. Niektórzy szeptali między sobą znacząco, i gdyby ich Kordeckiego nie wstrzymywała przytomność, znać, że gotowi byli traktować z Kalińskim.

— W istocie — rzekł odważniejszy Moszyński — wszyscy to poniekąd czujemy, co pan starosta *tam facunde* powiada, wszyscy to czujemy, ale cóż, kiedy bo Millera strach...

— Tak! tak! — dodał pan Jan Skórzewski — gdyby choć dobre przynajmniej wyjednać warunki... — Kalińskiego oczy zabiły radością; szlachta się odzywała, przeor zdawał milczeć umyślnie i tylko wyglądać, jak przystąpić od siebie do traktowania. Starosta widział się już u celu, i mówił dalej żywo:

— Z generałem, między nami mówiąc, łatwa sprawa, jego pieniędzmi ująć najłatwiej; a co raz podpisze, tego dochowa, dać mu okup, na który się złożycie łatwo i po wszystkim...

— Ale kościół, skarbcu nie poszannje — odezwał się Moszyński.

— Co się tyczy kościoła, jest dekret królewski, który całość jego zabezpiecza — rzekł Kaliński — nie poważy się go przestąpić Miller, do jednej rzeczy mógłby się tylko przypytać, do dzwonów, miedzi i spiżu, ale i to mu zapłacić można, porozumiewszy się z dowódcą artylerji: to jego sprawa i zarobek.

— A bezpieczeństwo osób? — coraz więcej ośmielony milczeniem Kordeckiego, spytał Skórzewski.

— O! za to ręczyć mogę — odparł starosta — zresztą *optare* z dwojga złego, mniejsze zawsze wybrać należy. Szwed wchodząc jako przyjaciel, inaczej, jako wróg inaczej sobie postąpi; rozjątrzony, szturmem biorąc twierdzę, nie oszczędzać nie będzie.

Niektórzy zadrżeli ze strachu, starosta korzystał z usposobienia, rzekł: — I gdyby chciał, to żołnierza nie utrzyma, skoro rozjadły na mury, a przez mury do twierdzy wpadnie... O! naówczas biada wam, bo wściekły będzie i mściwy, a dość go rozdrażniłście.

— Ale wy panie starosto, przerwał Moszyński, co macie ucho łaskawe u niego, czy nie moglibyście....

Kordecki cierpiał i słuchał, zdawał się twarzą nie przeciwieć tym mowom, jakoby ludzi próbował, a gdy coraz większa liczba szlachty i kilku zakonników ku Kalińskiemu się już zbliżała, gdy starosta zwycięzca rozpromieniał, widząc skutek swej mowy, i gotował zbierać jej owoce, powstał dopiero ze zgrozą na twarzy,

której odmalować niepodobna; płomień miał w oczach, a czoło oblekło się wyrazem ocurzenia.

— A — zawołał wznosząc ręce — ludzie malej wiary, ludzie słabi i biedni, jakże to was lada wiatr nagina gdzie zechce! I jakże kraj nie ma ginąć, jak się do upadku nie chylić, kiedy dziś bohaterowie w obrobie świętości waszych, jutro je gotowicie dla kilku słów miodowych oddać sami w ręce wroga. Słuchałem cię panie — obrócił się do Kalińskiego — z cierpliwością, ze zdumieniem. Zwykli Polacy kłaść winę swoją na barki cudze, i dziś się to tak dzieje! Król wam winien! a któż go opuścił? Kto mu wojska odmówił? kogo miał przy sobie wiernym w nieszczęściu? kto robił związki dla żołdu po obozach? kto zrywał sejmy gdy ojczyzna gwałtu rady wołała? Nie król, nie król, ale my sami... Kto Ruś oburzył jeśli nie my, obojętnie z nią nie braterskiem ale pańskim? Kto pierwszy jeśli nie zdrada wiodła Karola Gustawa? Wiercie jeśli chcecie, że zginąć musimy, ale Bóg silniejszy jest nad wszystkich, Bóg zwycięstwa, Bóg siły i sprawiedliwości. Karze, ale się lituje Bóg. Wygnañcy wracają, padają zwycięzcy. Nie cieszcie się zawczasie; obietnice Szwedów wielkie, patrzcie ich owoców. Z przysięgi nikt nas nie może rozwiązać krom śmierci, nie jesteśmy i nie będziemy poddanymi Karola Gustawa, króla obcej nam wiary i nieprzyjaciela naszej... A! panie starosto, żal mi cię, bo to tylko widzisz, co cię zbliska otacza, a ślepy jesteś na resztę. Podnieś się a spójrz w świat i Polskę z myślą Bożą, inaczej i jaśniej zobaczysz...

To rzekłszy i wstrzymując wybuch pobożnego gniewu, który go przejmował, Kordecki jął żegnać starostę, aby się pozbyć gościa, co siał przestrah i zwątpienie.

— Zmierzcha — rzekł — powrót z twierdzy do obozu mógłby być niebezpiecznym po nocy, zatrzymać zaś przez noc nie śmiemy, bośmy tu obleżeni, ściśnieni i nie mielibyśmy czem przyjąć godnie tak znakomitego gościa.

Kaliński chwycił za czapkę oglądając się dokoła po twarzach i śledząc skutków, jakie sprawiła mowa jego, lecz pożegnany szybko odejść musiał, Zamojski dumnym wzrokiem odwiódł go do drzwi, a Czarniecki odstąpił, żeby uniknąć zbliżenia przy rozstaniu.

Oddano go w ręce brata Pawła, który uradowanego i npokorzonego razem, odprowadził do bramy, Ledwie się przez nią dostał na pole, gdy jadący przed nim z białą chorągwią żołnierz od szwedzkiej kuli poległ. Można miarkować, z jakim przestraczem uchodził starosta do obozu.

Z okien sali, w której jeszcze wszyscy zgromadzeni byli, jedni szepcząc niespokojnie, drudzy milcząc ponuro, a Czarniecki niecierpliwie łajał, ujrzał przeor wyjazd starosty i wystrzał, który powalił o ziemię biednego żołnierza.

— Patrzcie — rzekł wskazując na to — niejest-li to palec Boży i przestroga! przyszedł sypać niezgodę między nami i kuła go śmiercią przestrzegła, że nie same doczesne rzeczy w rachunek życia wschodzić powinny. Cóż strach, co słabość nasza w obec sumienia, wiary i Boga? Bracia! korzmy się i pokutujmy, bośmy słabi jak dzieci — wołał przeor — widziałem jakście chciwie chwyтали słowa węzowe, słowa kusiciela, który jak dzieci straszył was, i jak dzieci nakłaniał gdzie chciał, widziałem serca wasze i płaczę. Dopóki tak niestali, a tak niewierni będziemy Bogu i sobie jakże kraj niema płynąć krwią i łzami? Opamiętajcie się ludzie małego serca i wiercie Bogu; większych on zwycięstw dokonał. Oto ubożuchny Syn przybrany cieśli z dwunastu prostaczkami, bez oręza krom słowa, podbił świat cały; a nie mógłby nas obronić?

— Lecz czy zechce? — cicho spytał Moszyński.

— Zechce, jeśli mu uwierzym, odrzuci małowiernych! ale tu i łudzka rachuba nawet tyle przestraczu płon-nego wzbudzać w was nie powiuna. Musiemy się obronić i obronim się. Zima sama odpędzi Millera, posiłki mogą nadejść od króla.

— Od króla, który ich sam niema? — odrzekł pan Skórzewski.

— Bóg mu je da.

— Ale strzeżonego pan Bóg strzeże, dodał szlachcie.

— Wstyd słuchać takiej mowy, żal na nią odpowiadać. Zamknęliście się ufając opiece Matki Bożej, ufajcież Jej do końca, a włos wam z głowy nie spadnie. Niedowiarków tylko, a nieszczerých Bóg ukarać może. Módlcie się, pracujcie i ufajcie.

Chciano coś mówić jeszcze, ale przeor wyszedł z sali. To wyjście powiodło za sobą mnichów, a szlachtę rozdzieliło na kilka kupek różnych jak zdania. Jedni już o traktowaniu zamysłali, drudzy jeszcze o obronie, inni chcieli przekonywać to, co zwali uporem Kordeckiego. Zamojski, który stałe podzielał wiarę przeora, stał i milczał gotując się na wspaniałą mowę; ale właśnie gdy ją miał rozpocząć i już łacińskie wyrzucił założenie: *Tempus edax rerum*.

Słuchacze mu się rozbiegli, tylko ksiądz Mielecki mimo idący usłyszawszy to zdanie, uśmiechnął się i dorzucił do niego drugie:

— *Tempora praeterunt more fluentis aquae*, napisano na zegarku księdza przeora — rzekł żartobliwie, wszystko to minie, a co sobie u Pana Boga wysłucham, to nasze...

I tak się rozeszli.

XXIII.

Wachler pracował silnie około knującej się zdrady, zmawiając się z Nathanem, który nocą podchodził pod basztę z poselstwą Wejhardowemi; siał strach między łatwowiernym ludem, i włącząc się od kortyny do kortyny, od baszty do baszty, w czasie gdy nikogo z główniejszych wodzów nie było, jednych zyskiwał

sobie obietnicami, drugich postrachem. Niemal połowa załogi ujęta już była i przystała na poddanie się Szwedowi, upatrując zbawienia swego w Wachlerze. Niemiec widząc, że mu się nadzieje wioda, aż zhardtował, i już tylko wyglądał sposobnej chwili, żeby furtę oblęgającym otworzyć: coraz mniej słuchał starszych, coraz opieszalej chodził około dział swoich, wcześniej się Szwedom wysługując. Oni tymczasem nie doczekawszy się dział z Krakowa, bo te złemi drogi szły bardzo powolnie, szturmowali jakimi mogli, nie tylko dniem, ale już i nocą nie dając spokoju Jasnej-Górze. Bezsenność, znużenie, nieustanna praca na dachach i murach, ciągła walka z tak przemagającą siłą do reszty wyzuła z odwagi lud najemny i większą część szlachty.

Już sieć zdrady zasnutą potajemnie, od załogi poczynąta rozszerzać się między schronionych w twierdzy. Kilku ludzi szepnęło coś o tem bojaźliwszej szlachcie, tchórze podali ręce! Znać też było ze zwolnionej obrony, z twarzy bladych i ostygłych, że początkowy zapal wygasł. Kordecki pierwszy to postrzegł, a raczej przeczuł.

Zamojski w podwładnych także doznawał tego oporu bezwładnej massy, która sobą kierować nie dawała; potrzeba było powtarzać rozkazy, i większa ich część zostawała niespełnioną, lub na wpół tylko i niechętnie dokonaną. Najlepsze chęci dowódców rozbiły się o obojętność coraz widoczniejszą ludu. Czarniecki gniewał się i rzucał niecierpliwie, a czekał! podnosząc nieraz już chciał karcić, ale go Kordecki wstrzymywał jeszcze, wmawiając, że gwałt zraża raczej niż jedna serca. Dla wszystkich wytrwałych, widoczniejszem co chwila stawała się uknuta zdrada i chęć załogi, ale nici do odkrycia spisku pochwycić nie było można.

Nazajutrz po bytności Kalińskiego, który wrażenie, jakie uczynił, potrafił odmałować i przedstawić w obozie potężnem; oblężeni ukazali się na murach bezsilni,

potrwożeni, jakby już czekali rychło ich Szwedzi zagarną.

Rano wcisnęła się do klasztoru Konstancja, i z niezwykłym pośpiechem krocząc, naprzód poszła do kaplicy na Prymarję, potem pod Hanny okienko. Tu próżno wyjścia dziewczęcia czekała: Lassota był chory, Hanna wybiedz nie mogła. Jakby sobie coś nagle przypomniała, ucałowawszy mur, zerwała się staruszką i pobiegła w dziedziniec. Widocznie szukała tu kogoś; wtem znany głos przeora i biała jego suknia zwróciła ją ku niemu, pospieszyła naprzeciw Kordeckiego, ze smutną twarzą idącego do kościoła na mury.

— Ojcze! — zawołała zadyszana, całując habit jego — czy pozwolicie biednej grzesznicy powiedzieć sobie słowo?

— Mów, dziecko moje, cóż ci to potrzeba?

— Mnie, nic, ale mam coś ważnego do powiedzenia waszej przewielebności — odpowiedziała Konstancja — tylko nie tn... nie trzeba żeby nas słyszano.

— Wszak nikt nas nie słucha?

— O! mury uszy mają gdy idzie o życie i losy ludzkie.

Przeor wyszedł z nią na środek dziedzińca, gdzie nikt rozmowy posłyszeć nie mógł, a stara poczęła ostrożnie i cicho:

— O tem miałam księdzu przeorowi powiedzieć, że się w twierdzy knuje zdrada.

— Jakże ty o tem wiesz? — zapytał niewzruszony Kordecki.

— Ja nocuję w furcie za murami, a w nocy słyszę jak się ktoś podkrada i rozmawia tu, tylku z kim, dojść nie mogłam.

— Jakże ci się zdaje, któż to być może?...

— Zdaje mi się, że szwargoczą po niemiecku, ale trudno ich było zrozumieć i podchwycić. To pewna, że znoszą się Szwedzi z załogą, jak Bóg Bogiem prawda, niech ksiądz przeor ratuje i radzi.

— Nie wieleżes mnie nauczyła — rzekł Kordecki. i ja sam czegoś się domniemywałem; ale gdzież te rozmowy? w którym miejscu?

— Różnie, najczęściej od wschodnio-południowej strony, mój ojciec.

— A! a! Wachler! — szepnął przeor do siebie — dawno mi ten Niemiec podejrzany. Bóg ci zapłać stara pocziwa slugo Matki Boskiej; idź, a nie mów nikomu. Pan Bóg wynagrodzi twoją pracę.

To mówiąc, przeor żywiej pospieszył na mury, wszedł na nie i prosto dążył do Czarnieckiego, który z obuszkim latał i ludzi opieszałych do dział spędzał i do strzelnic; a już mu się ofukiwali niektórzy i nie słuchało wielu, jakby rozkazów nie rozumieli. Czarniecki był w gniewie i furji, biegał od jednego do drugiego, posyłał szlachtę, a leniwszym się nawet po uszach dostawało. Kordecki odwołał go na stronę.

— Panie Pietrze — rzekł — chodźcieno z Zamojskim na radę do mnie, chwili niema do stracenia, zdrada się knuje, potrzeba o sobie myśleć.

Czarniecki aż się za głowę pochwycił, ale pomiar-kował, że ten ruch zdradzić go może, i udał, że czapki poprawia, ramionami rzucił, a choć stary, biegiem pospieszył do pana miecznika; słowo mu tylko szepnął w ucho, i razem żywo zwrócili się do klasztoru. Po drodze ściągniono tych, którym więcej wierzono, i już wchodzili w korytarze, gdy trąbka ozwała się u wrót pierwszych, zwiastując jakiegoś posłańca. Brat Paweł nadbiegł zdyszany i ucałował rękę przeora.

— A kto tam?

— Wczorajszy starosta — odrzekł braciszek — co z nim robić? chce pomówić.

— Zobaczyć jak wczorajsze nasienie zeszło! — rzekł Kordecki, no, przyjmiemy go w bramie, wpuszczaj bracie i wstrzymaj w swojej izbie.

To mówiąc, puściwszy przodem furtjana, poszli sami do bramy także, i zastali już w ciasnej celce brata Pawła, Kalińskiego uśmiechnionego, pełnego na-

dziei i zdającego wybierać się z nim do wnętrza klasztoru.

— Daruj panie, że cię tu tylko przyjmiemy — rzekł Kordecki — czas nasz, godziny policzone, obrona i nabożeństwo zabierają, nie możemy korzystać z milej jego prezencji. Co rozkażecie panie starosto?

— Nic, chciałem się tylko dowiedzieć póki pora jeszcze, czy nie mogę wam na co być przydatnym, ofiaruję się chętnie do pośredniczenia z Millerem.

— My jeszcze dzięki Bogu o tem nie myślemy — odpowiedział przeor.

— A! to bardzo winszuję — odparł starosta — ale jeszcze raz pozwólcie sobie powiedzieć, źle radzicie, źle czynicie.

— Zostawcie nam z łaski swojej pieczę o sobie — kwaśno a dumnie rzekł Zamojski.

— *Stat pro ratione voluntas* — pochwycił Kaliński odprawiony z kwitkiem — jeśli tak gardzicie moją dobrą chęcią, nie będę więcej natrętnym.

I zniechęcony odwrócił się szybko, myśląc, że go wstrzymają, gdy ich tak zastraszy, ale nikt o tem nie myślał, i Kaliński wyszedł tak żywo z bramy, że jeszcze brat Paweł nie pociągnął zaryglować za nim, a już mu odryglować było potrzeba.

— A teraz do klasztoru — zawołał przeor — kto ma Boga i wiarę w sercu, radźcie i pomóżcie.

W milczeniu przeszli dziedziniec i zgromadzili się wszyscy w celi przeora: tu już niespokojni otoczyli go kołem. Postawiono u drzwi Rudnickiego professa, aby pilnował i nikogo nie wpuszczał bez oznajmienia, a przeor tak począł:

— *Pericu!am in mora*, zdradę mamy w klasztorze dojrzewającą; choć nie wiem spełna kto, co i jak, ale Bóg dopomoże i dowiemy się z Jego łaski reszty. Nieprzyjaciół ma związki z naszymi, nocne schadзки i zmowy pod murami, trzeba to przerwać, ukarać... Powiedziecie naprzód, nie podejrzewacie kogo?

— Wszystkich rzekł gorąco Czarniecki — a zwłaszcza Niemców szoldrów. Już ja to widzę jasno, że ja-

kieś lichy się plecie, bo ani posłuszeństwa, ani ochoty, jak uciał od dni kilku.

— I ja spostrzegam toż samo — rzekł Zamojski — lecz nikogo mianować nie mogę i nie umiem, niemal wszyscy z załogi muszą być w spisku, od kilku dni nie wymodlić, nie wybić, nie wylać posłuszeństwa. Jak z kamienia idzie, ruszają się niechętnie, *servum pecus*, serca gdzieindziej, strzelają miękko, a ledwie z oka spuściwszy, już w podwórcu rady, szepty i jakieś konszachty.

— Jawno tedy, że zdrada jest — rzekł przeor — i woła Boża, może niesprawiedliwy jestem, ale mi coś mówi, że Wachler puszkarz jej sprawcą i głową.

Na te słowa wszyscy jakby nagle światłem olśnieni, zawołali:

— Niechybnie on.

— Widziałem go jak omamiał ludzi.

— Po nocach się włóczy i szepcze.

— Zewsząd do niego chodzą...

— Pozostaje nam sprawdzić to, i zapobiedz złemu — kończył przeor.

— Zawolać go tu — rzekł Zamojski — złęknie się.

— Taka była i myśl moja pierwsza — odparł Kordecki — zasiądźcie wszyscy, pójda po niego.

I wnet Rudnicki wysłał braciszka po Niemca, którego pozorem odebrania placę, zwabić miano.

Niespokój tymczasem wielki opanował przytomnych, twarze były zmienione, przestrasz każdemu czuć się dawał, bo niebezpieczeństwo tajemniczością swą olbrzymiało w ich oczach; krzyki na murach zdawały się oznajmywać nieprzyjaciela, huk kul, wyrwanie miną wyłomu; przeor tylko zatopiony w myślach siedział milczący.

W tem drzwi się otworzyły szeroko i wpuszczono Wachlera. Na widok siedzącej dokoła stołu starszyzny i przeora, którzy jakby go sądzić mieli, wszyscy surowemi twarzami zaraz się obrócili do niego, Niemiec zbladł jak chusta, zabelkotał niezrozumiale i chciał się nazad cofnąć za drzwi, jakby mu przysła

myśl ucieczki. Pomiarkował jednak, że wydałby się tem jednym, i nadrabiając odwagą postąpił krok, ale wejrzenie Kordeckiego; który z niego oka nie spuszczał i wzrok badający w nim utopił, zmieszało go znowu, głowę pochylił, chciał się zawrócić, sam nie wiedział co robił.

Głuche milczenie panowało w celi, wszyscy za przeorem wzrokiem go ścigali; pod wejrzeniami temi jak pod strzałami, coraz bardziej tracąc przytomność, zdrajca gwałtownie do drzwi się rzucił. złorzeczając.

— Wachler! — zawołał łagodnie przeor — odpowiadaj na zapytanie.

— Co, na co? na co ja mam odpowiadać? — bełkotał niezrozumiale puszczarz.

— Z kim, kiedy i jak ułożyłeś się o zdradę i podanie Częstochowej?

Na te słowa rzekłbyś, że piorun uderzył w Niemca. wryty, osłupiały, zdrętwiał. Pan Czarniecki przyskoczył ku niemu.

— Tak jest, szczerze jakiś! wszystko wiadomo! nie myśl mi się zapierać, a chcesz-li życie unieść całe. mów tu zaraz prawdę; nie, to zaraz na gotową szubienicę!

Wachler padł na kolana i ręce złożył drżący, nim usta otworzył, uznał się winnym. Pozostało go wybadać.

Przeor za ten cud dzięki Bogu składał.

Krzysztoporski posunął się ku niemu groźny. surowy, spełniając urząd indagatora, wziął kartę ze stołu i udawał, że z niej czyta.

— Mów — rzekł — jacy są spółnicy twojej zbrodni?

— Ja... darujcie... ja nie wiem... ja... Nathan.

I jakając się, przerywał co chwila łzami, składając ręce, w obawie śmierci, którą uważał za niechybną. Wachler opowiedział, jak go skusił Nathan, jakie z sobą mieli rozmowy, i że już stanął układ o otworzenie furty i wpuszczenie nocą Szwedów.

Wszyscy zadrżeli.

Spisek jak zaraza niewidocznie się rozchodząca i szerząca dotknięciem, oddechem, spójrzeniem niemal, jak posłaniec strachu, przez czas krótki rozpostarł się ogromnie. Cała niemal załoga cudzoziemska, wszyscy najemnicy, kilku nawet szlachty należeli do niego. Wejhard uwiadomiony o liczbie, umawiał się, rachował na nich. Niewysłowionym strachem, to cudowne odkrycie mającej już wybuchnąć zmywy, przejęło wszystkich, jeden Kordecki pozostał niewzruszony, odnosząc to, jak wszystko, do Boga. Wyprowadzono Wachlera pod strażą i osadzono tymczasowo w celi pustej, na jego miejscu innego do dział wyznaczwszy.

Zamojski, Czarniecki, Krzysztoperski, kilku innych świeckich i księży, pozostali radzić, co czynić pozostało. — Czarniecki przebaczyć nie chciał.

— Niemca, ojczyźnie przeorze dobrodzieju, rzekł żwawo, na murach koło baszty powiesić, niech dynda *ad salutare exemplum*, od tego nie odstępuję, potrzebne dla postrachu... Wszyscy poszli za jego zdaniem, oprócz Kordeckiego.

— Dość będzie go wygnąć z fortecy, rzekł, a z nim i głównych spółników jego...

— I samym się pozostać spytał Zamojski — to być nie może.

— Gdy tylko przewódzcę ukarzymy, reszta — pochwylił Czarniecki — kajać się musi, aby tylko Niemca powiesić, *rogo et obsecro*. Reszty tych trutniów z oka nie spuścim i pilnować będziemy.

— Niechętnym zresztą — rzekł Krzysztoperski — podwoić płacę, zachęcić ich nagrodą, a strzedz ciągle, my i księża nieodstępnie będziemy przy działach i na murach, dniem i nocą. Wszystkie stanowiska obsadzone być mogą przez pół szlachtą i księżmi co młodszyimi i silniejszymi; na nikogo się nie spuszczać i nikomu nie ufać... oto moja rada.

— I na nowo wziąć przysięgę z załogi, że do ostatniej kropli krwi bronić się będą — zawołał Zamojski.

— Ale co z Niemcem zrobić?

— Puścić go i wypędzić — rzekł przeor.

— Jak to? żeby o stanie fortecy, murów, o duchu załogi i o wszystkich okolicznościach, dotyczących się nas, dał nieprzyjacielowi wiadomość? to być nie może!

— Puścić! powtórzył Kordecki, wiedzą oni i bez niego jak się mamy; wieszać go nie pozwolę, dość i tak ludu ginie, zostawmy go zgryzotom sumienia i oddajmy Szwedowi, którego pokochał...

— *Magnanimitas* piękna, ale zbyt uczynna — odezwał się Czarniecki — gdyby tak na mnie, dyndałby szołdra na murach, spółników bym przeciwiczył co dziesiątego i takby służyli aż miło.

— Ale pamiętajcie panie Piotrze, żeśmy nie żołnierze a księża, karać nie nasza rzecz; niech truteń idzie precz z ulą, dość dla niego kary. Co się tyczy załogi, dobra była rada pana Zamojskiego; przebaczyć musim i pilnować będziemy. Każcie proszę zwołać wszystkich w podwórze, trzeba się z nimi rozmówić.

Już po twierdzy, gdy postrzeżono długą nieobecność Wachlera, wezwanego do klasztoru, trwoga szerzyć się zaczynała; spiskowi domyślali się odkrycia występku i obawiali kary. Przeczuwając coś biegali przerażeni, niepewni co z sobą czynić mieli, ale ich z oka nie spuszczano. Gdy posłyszano rozkaz żeby się wszystek lud zgromadził w podwórzu, pobladły twarze winnych i zabiły serca. Kilku chcieli uciekać fórtką, dwóch poczęli się już spuszczać z murów: reszta objęta, posłuszną być musiała i szła jak na ścięcie. W towarzystwie kilku księży i dowódców przeor z krzyżem w rękę wyszedł do zgromadzonych, spójrzał po twarzach zlekłych żołdaków i tak się odezwał: — Uknuło zdradę, ale Bóg ją odkrył, wiemy kto do spisku należał, bo przewodzca jego schwytany, jest w rękę naszym. Niech Bóg ukarze lub przebaczy tym, którzy przeciwko niemu, przeciw przysiędze swojej i sumieniu postąpili, my obłąkanych sumieniu własnemu zostawujemy. Słuchajcie i korzcie się dzieci moje! Głowa tej niepoczciwej zdrady przeciwko miejscu świętemu odepchnięta zostanie i wyłączoną z pomiędzy nas; wy macie czas upamiętać się i nagrodzić gorliwością złe, któreście

uczynić zamierzali. Nieszczęsna bojaźń oślepiła was; myślicie, że wpuszczając tu Szweda, byłibyście osłonili się od mordu, współbraci tylko na rzeź i okup swój wydając? Nie — padlibyście razem z niemi. Ale Bóg nie chciał zguby wszystkich, bo opieka Jego wyraźna czuwa nad nami.

Czarniecki nie mogąc wytrwać, przerwał:

— Słowem ksiądz przeor przebacza na ten raz nie-poczciwość waszą, ale na znak najmniejszej złej woli, na najłżejsze podejrzenie. Żołnierskiem i szlacheckiem słowem upewniam, że zdrajcom przepuszczono nie będzie, i powieszać ich każem. A zatem posłuszeństwo nadal.

— Rozporządźcie według myśli waszej, — odezwał się Kordecki do Zamojskiego i pana Piotra — potrzeba podejrzanych oddać pod dozór najmocniejszy.

— Przeliczyć piechotę — rzekł Zamojski żywo — rozdzielmy ją na oddziały, do każdego stauowiska dziesięciu szlachty i dziesięciu Zakonników dodamy dla pilności...

— Płacę waszą — dodał Kordecki — powiększam we dwójnasób i dziś ją z góry wypłacić polecę; ale mi złożycie przysięgę, że do ostatniej kropli krwi bronić będziecie tego przytułku Matki Bożej, gdzie się schronił ostatek wiary przed napaścią heretyków. Idźcie Boga prosić o przebaczenie, za mną, do kościoła! To mówiąc zwrócił się ku murom, wiedąc tłum za sobą milczący, na którego twarzach różne i dziwne malowały się uczucia. Przebaczenie to, gorzej kary zgromiło i upokorzyło; wstyd i gniew na tych co przywiedli do zdrady, przejęły okłakanych; jeli się żywo tłumaczyć i niewinniać. jedni n. drugich składając winę, wszyscy na Wachlera, otoczyli przeora i gwarnie poprzysięgali wierność i posłuszeństwo. — Myśmy niewinni! ojczcie! to Niemiec! wciągneli nas. zdurzyli!

— Ja nie należałem, mówił inny.

— Jam do końca ich gromił.

— Ja chciałem nawet donieść, ojczcie przełożony...

— Co było stało się, oplakiwać potrzeba, że i tu

w tej gromadce musiała być zdrada. Do kościoła, twarzą przed ołtarzem Matki Boskiej padnijcie, ja o przebaczenie prosić. To mówiąc prowadził ich przed ołtarz, i wszystek ten tłum wylekły i niespokojny ukląkł pokornie, nową zagrzaną gorliwością, pragnąc co rychlej zmasać występki swój męztwem i pracą.

Dwóch księży wyznaczono do odebrania nowej przysięgi po nabożeństwie. Kordecki tymczasem kazał dzwonić do definitorium i wszystkim tu zebrać się zakonnikom.

— Ojcowie rzekł do zgromadzonych, w wielkich razach, wielkich należy użyć środków; nie dosyć pracowaliśmy jeszcze, Matka Boża chce z nas mieć stróżów pilniejszych i prawdziwych żołnierzy. Zdrada uknuta groziła nam przed godziną wydaniem w ręce nieprzyjaciela na rzeź i rabunek; Opatrzność ją wskazała i wyrwała jej żądło, umiejmy się na przyszłość od niebezpieczeństw podobnych obwarować. Czterdziestu z nas silniejszych i młodszych na cztery stanowiska rozdzielić się musi, by z oka już nie spuszczać pułkarskiej i załogi. Starsi tylko odtąd, których wiek uwalnia, zostaną obowiązani do chóru północnego, młodszy mieniając się na dzienne i nocne modlitwy, wedle reguły naszej pilnować ich będą... Nie wzdragajmy się pracy na chwałę Bożą, nie skarżmy się i nie frasujemy. W tej chwili oczy kraju całego zwrócone są na Jasną Górę, myśmy od Boga wyznaczonym przykładem, myśmy szkopułem, o który się rozbije moc Szweda...

Wszyscy skłonili głowy, nikt od rozporządzeń nie śmiał się wymawiać.

— Działaj i zapasy powierzam w dozór ojcu Piotrowi (Lassocie). Nie chciałeś wojny, ale ją znoś z mężnem sercem, pracując gorliwie; oddaję ci co mam. w tej chwili najdroższego, bo narzędzie naszej obrony.. Wy starsi, ojcowie Ignacy i Kazimierzu, do gaszenia ogniów z ludźmi przeznaczeni jesteście, bo wam ciężkoby było do boju, a i tu pilność konieczna, a samej czeladzi zaufać już nie można. O Marcelli (Dobrosz) z ojcem Malachowskim wezmą na się ogólny dozór murów

i stanowisk, inspekcją całej twierdzy. Dotąd ufaliśmy szczęściu i opiece Matki Bożej, której nowy dowód dziś mamy, ale przy ufności należy też z nas każdemu, siebie nie szczędząc, pracować z ludem.

— Ojcowie, bracia! zawołał w ostatku Kordecki, na macierzyński żywot Najświętszej Marji Panny, który nosił Zbawiciela świata, na mękę Syna Bożego i cierniową Jego koronę, na zbawienie wasze, na życie przyszłe, zaklinam was, proszę, błagam, nie upadajcie na duchu. Wielki i potężny pan Zastępów, ufajmy Mu! myśmy wśród tej nieszczęśliwej krainy przykładem, otuchą dla tych co jeszcze w zginienie ostatnie nie wierzą i zmartwychstania oczekują! Kto wie, czy w tej garści mnichów bezsilnych, nie spoczywają losy rzeeczypospolitej, czy my nie jesteśmy punktem od którego zmieni się szczęście nieprzyjaciół naszych... Nie opuszczajmy sprawy, którą przysięgliśmy bronić, ze strachu, z braku wiary, dla mizernego spokoju doczesnego... a wielkie będzie dzieło wasze... Kto się nie czuje na siłach, bracia mili, niech powie, niech się usunie; pożałuję go jako obłąkanego brata, ale mu przebaczę; nam potrzeba mężnych i wytrwałych...

Na to wezwanie nikt nie odpowiedział, owszem wszyscy niemal wołali:

— Co każesz spełnim ochotnie, życie nasze w rękę Boga. — Praca nie oderwie nas od modlitwy, bo dusza zakonnika zawsze się modlić powinna i może.

— Za mną więc, kto siły w sobie czuje, za mną bracia.

I wyszli processjonalnie po dwóch, a Kordecki powiódł ich wprost na mury, rozjaśniony, promieniejący nową odwagą, którą wszystkich natchnąć umiał. Zastali całą szlachtę zgromadzoną w podwórzu i oczekującą na nowe rozporządzenia, słuch o zdradzie już się był rozszedł wszędzie i wzbudził przerażenie największe: kobiety, starcy, dzieci, kto tylko schronił się do Częstochowej, wysypali się wszyscy w dziedzińce i ze łzami otoczyli przeora, jak tylko go postrzegli.

— Ojcie! nie opuszczaj nas, nie oddawaj w ręce nieprzyjaciół, zdrada, nieszczęście!

— Co się stało? wołali inni, gdzie zdrada, wskażcie nam winnych!

— Nic, nic, dzieci moje, bądźcie spokojni, i wracajcie do swoich zatrudnień; kto dźwignie broń, kto użytecznym być może, na mury z nami, reszta módlcie się i siedźcie — waszym orężem modlitwa. Nie obawiajcie się, Bóg łaskaw!

— A! zmiłujcie się — zawołała jedna z niewiast całując ręce przeora — nie pozwalajcie oddawać nas Szwedomi...

— Nie! nie! będziemy się bronić do upadłego, odparł Kordecki, nic wam nie grozi, rozchódźcie się i nie trwożcie, a kto pomódz może, niech rąk nie żałuje. Wy panowie bracia, obrócił się do szlachty, wraz z nami na stanowiska; złożyliście w murach twierdzy coście mieli najdroższego, żony i dzieci wasze; brońcie ich z nami razem.

Tu jał wyznaczać dowódców, a każda kupka szlachty i zakonników, poszła strzedz swej dzielnicy na kortynie. Pan Zygmunt Moszyński z ojcem Hilarym Sławoszewskim stać mieli od wschodu-północy u tej baszty której Wachler pilnował wprzód; od zachodu lecono straż Mikołajowi Krzysztoporskiemu i ojcu Ignacemu Mieleckiemu, muichowi żołnierzowi, który jeszcze dawnego nie zabył rzemiosła: od wschodu-południa był pan Piotr Czarniecki i ksiądz Adam Stypulski, od zachodu południa Jan Skórzewski i ojciec Daniel Rychtański.

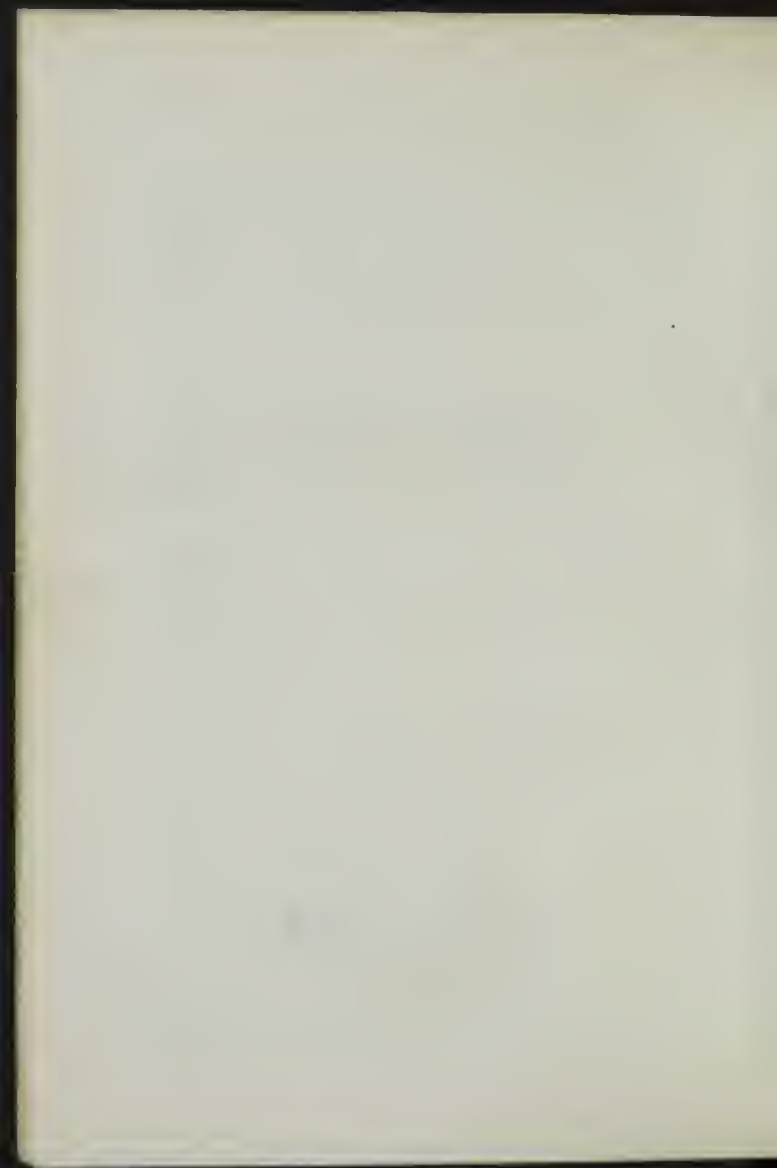
Pobłogosławieni przez przeora rozeszli się wszyscy z nową gorliwością do pracy, ksiądz Piotr Lassota mający prochy i działa w dozorze, był także nocnym stróżem ogniów na murach i wieży. Panu miecznikowi Zamojskiemu z ojcem Ludwikiem Czarnieckim bratem pana Piotra, milczącym, ale zimnowytrwałego charakteru mężem, zwierzchnia władza oddana została, nad którą kierunek przeorowi powierzali chętnie wszyscy; czując jego wyższość nad sobą. Mury nowy całkiem

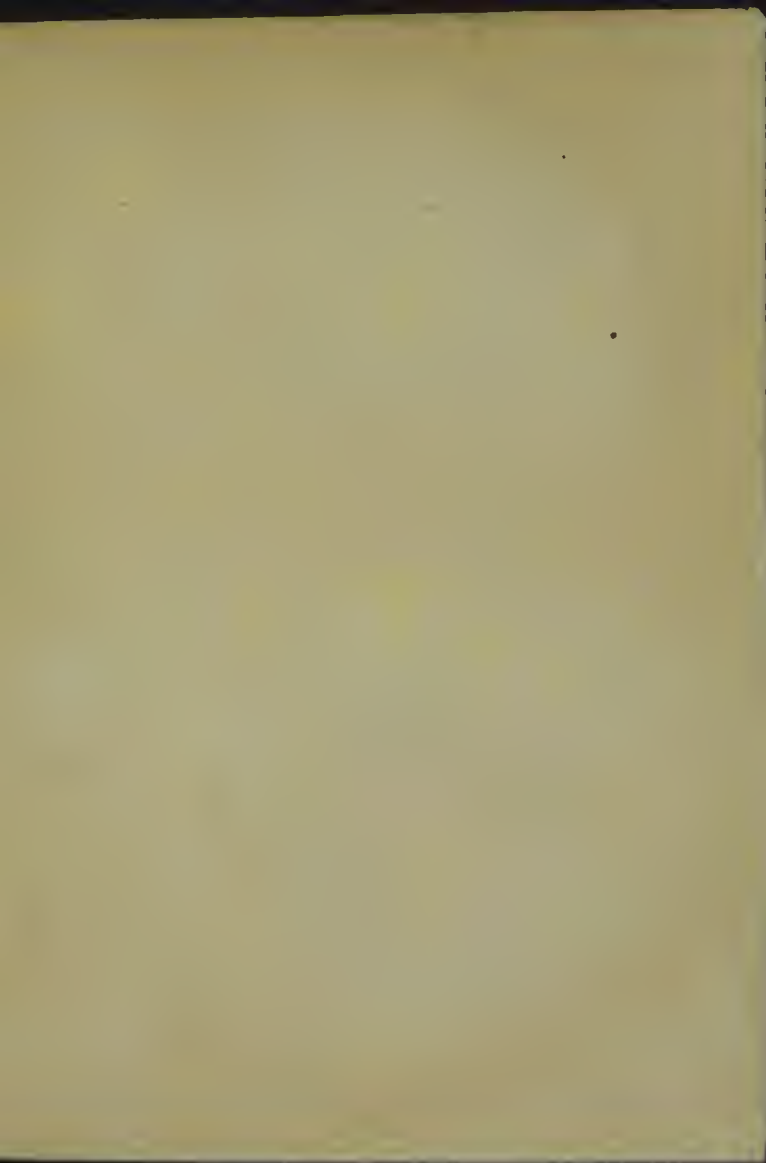
przedstawiały widok, jak gdyby załoga świeża, lud krzepki i nieznużony jeszcze wszedł na nie, bo duch nowy ożywiał każdego, i wodzowie poczuli jednocząc się z nim, że znowu serca były zgodnie i silnie; że załoga wróciła do spójnej, potężnej całości z nimi. Zwątpienie już na żadnej nie ukazywało się twarzy; każdy patrzył skinienia, biegł, garnał się, leciał, starał pociągnąć za sobą drugich i okazać, że nic dla niego trudnem nie będzie. Białe habity Paulinów poraz pierwszy, gęsto powiewały na murach i przy działach, i męźowie zakonnici z różańcem w rękę, z krzyżami w dłoni, oparli się o oręż, czoło pobożne podnosząc przeciwko nieprzyjacielowi z zimną pogardą śmierci. To rozporządzenie przeora wielki zaraz i widoczny sprawiło skutek; bo dozór księży i szlachty nieustanny, ogarnął duchem ufności i męstwa lud, który sam sobie zostawiony wątpił i trwożył się bez przyczyny.

Pod pilną pieczę starszych, pod okiem kapłanów, każdy dreszcz potajemny, każde słowo bojaźliwe, wnet uleczone być mogły i zdawało się, że nic nie potrafi pożyć, chrztem przebaczenia umocnionych żołnierzy. Ale słabe! słabe są serca ludzkie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.











Biblioteka Raczyńskich

JIK 1485



JIK1485